



JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

KSIĘGA 2

PŁONĄCY
MOST

FLANAGAN JOHN
Zwiadowcy 02 - Plonacy Most

JOHN FLANAGAN

J^RALUEN, PICTA I (KeLTIA

ROK 643 WSPÓLNEJ ERY



Prolog

Halt i Will podążali tropem wargalów już od trzech dni. Niedawno widziano jak cztery zwaliste, gruboskórne stwory, oddane zbuntowanemu wielmoży, Morgarathowi, przemierzały tereny lenna Redmont, kierując się na północ. Gdy wieść o tym dotarła do zwiadowcy, natychmiast ruszył za nimi wraz ze swym młodym czeladnikiem, aby przeciąć im drogę.

–Skąd oni się tu wzięli? – spytał Will podczas jednego z krótkich postojów. – Przecież teraz Wąwóz

Trzech Kroków jest chyba naprawdę dobrze strzeżony?

Było to jedyne dostępne przejście łączące królestwo Araluen i płaskowyz, na którym wznosiły się Góry Deszczu i Nocy, gdzie mieściła się siedziba Morgaratha. Królestwo

przygotowywało się do nadchodzącej wojny z Morgarathem, toteż niezbyt liczny stały garnizon pilnujący wąskiego przesmyku został wzmocniony kompanią piechoty i łuczników.

–Owszem, w większej liczbie mógłby przejść tylko tamtędy – przyznał Halt – ale tak mały patrol

zapewne zdołał przekraść się na teren królestwa, drogą przez urwiska.

Górzysty płaskowyż, który stał się miejscem wygnania Morgaratha, wznosił się wysoko nad południowymi krańcami królestwa. Od Wąwozu Trzech Kroków na wschodzie aż ku zachodowi ciągnęły się przepastne urwiska, tworząc naturalną granicę między płaskowyżem i Araluenem. Dalej linia ich skręcała na południowy zachód, przechodząc w kolejną nieprzebytą przeszkodę zwaną Rozpadliną – była to ogromna szczelina biegnąca aż do morza i dzieląca krainę Morgaratha od królestwa Celtów. Przez ostatnich szesnaście lat właśnie te naturalne fortyfikacje chroniły Araluen i sąsiednią Celtię przed najazdami Morgaratha. Jeśli jednak spojrzeć na to z drugiej strony, zapewniały buntownikowi ochronę przed siłami Araluenu.

–Sądziłem, że te urwiska są przeszkodą nie do przebycia? – zdziwił się Will. Halt pozwolił sobie na ponury uśmiech.

–Nie ma przeszkód, których nie dałoby się pokonać. Zwłaszcza jeśli ktoś mało dba o to, jakie straty poniosą wykonawcy jego rozkazów. Przypuszczam, że spuścili się na linach lub zeszli po drabinach sznurowych którejś bezksiężycowej nocy, przy złej pogodzie. Tym sposobem zdołali ominąć nasze straże graniczne.

Wstał, dając tym samym do zrozumienia, że postój dobiegł końca. Will uniósł się również, ramię w ramię podeszli do koni. Wskakując na siodło, Halt stęknął cicho. Rana, jaką odniósł podczas starcia z kalkarami, wciąż jeszcze dokuczala mu nieco.

–Mniej mnie obchodzi, jak się tu dostali – ciągnął. – Idzie o to, dokąd zmierzają i jakie mają zamiary.

Ledwo wymówił te słowa, gdy usłyszeli przed sobą głośny okrzyk, potem jakieś dziwne pomruki, a następnie szczeł broni.

–A tego być może zaraz się dowiemy! – dokończył Halt.

Puścił się galopem, kierując konikiem za pomocą kolan, gdy tymczasem jego ręce napięły potężny długi łuk. Will galopował tuż za nim, ale umiejętnościami jeździeckimi nie dorównywał Haltowi – prawą ręką trzymał wodze, w lewej dzierżył swój własny łuk. Jechali przez rzadki las, pozostawiając troskę o wybór drogi swoim wierzchowcom. Nagle wypadli na szeroką polanę. Wstrzymany przez swego pana Abelard stanął jak wryty, Wyrwij tuż obok niego. Will wypuścił z dłoni wodze i błyskawicznie sięgnął do kolczanu po strzałę. Pośrodku otwartej przestrzeni rósł spory figowiec. U jego stóp znajdowało się małe obozowisko. Z ogniska wznosiła się jeszcze smużka dymu, obok leżał tobolek i koc. Czterech wargalów, których śladami podążali, otoczyło samotnego mężczyznę, opierającego się plecami o pień drzewa. Póki co jego długi miecz trzymał napastników na dystans, lecz wargalowie nie dawali za wygraną, czekając na najmniejszy błąd i wypatrując luki w

szermierczych zasłonach ofiary. Uzbrojeni byli w krótkie miecze i topory, a jeden z nich miał ciężką żelazną włócznię.

Na widok stworów Willowi zaparło dech w piersiach. Pościg trwał długo, a teraz nagle i niespodziewanie ujrzał ich na własne oczy. Byli potężnie zbudowani, mieli długie ryje i wielkie żółte kły, które szczyrzyli teraz, czając się na swą ofiarę. Porośnięci byli kudłatym futrem, a

prócz tego nosili zbroje z czarnej skóry. Mężczyzna odziany był podobnie. Odpierał ich ataki, ale gdy krzyknął, w jego głosie słychać było strach:

–Cofnąć się! Spełniam misję na polecenie lorda Morgaratha. Cofnąć się, to rozkaz!

Rozkazuję wam w

imieniu lorda Morgaratha!

Halt na grzbiecie Abelarda podjechał kilka kroków w ich stronę, by móc lepiej celować.

–Rzucić broń! Wszyscy! – zakrzyknął. Pięć par oczu skierowało się ku niemu, czterej wargalowie i ich

ofiara byli najwyraźniej zaskoczeni. Napastnik uzbrojony we włócznię pierwszy odzyskał przytomność umysłu. Zorientował się, że widok jeźdźca osłabił czujność mężczyzny uzbrojonego w

miecz, zrobił wypad i wbił włócznię w jego ciało. W następnej sekundzie strzała Halta przeszła jego

serce i napastnik padł martwy obok swej ofiary. Mężczyzna opadał jeszcze na kolana, gdy pozostali

wargalowie ruszyli w stronę zwiadowców.

Pomimo niedźwiedziowatej postury poruszali się niewiarygodnie szybko. Druga strzała Halta powaliła wargala szarżującego z lewej strony. Will strzelił do stwora biegnącego z prawej i natychmiast zdał sobie sprawę, że nie docenił prędkości, z jaką poruszała się bestia. Strzała ze świstem przeleciała tam, gdzie wargal znajdował się o ułamek sekundy wcześniej. Chłopak błyskawicznie dobył następnej strzały i dosłyszał ochryply jęk bólu, gdy trzecia strzała Halta utkwiała w piersi środkowego napastnika. Will wypuścił drugą strzałę, celując do ostatniego z wargali, który był już zatrwająco blisko.

Przerażony widokiem dzikich oczu i żółtych klów, zbyt pospiesznie zwolnił cięciwę. Jego strzała nie miała żadnej szansy, by trafić wargala, który niemal już go dopadał.

Napastnik wydał z siebie triumfalny charkot, ale wówczas niespodziewanie Wyrwij ruszył na pomoc swemu panu. Konik zarżał i stanął dęba, mlóćąc przednimi kopytami. Zamiast cofnąć się przed straszliwym stworem, wybiegł do przodu na jego spotkanie. Zaskoczony Will chwycił się lęku siodła.

Wargal był równie dezorientowany. Podobnie jak wszyscy jego pobratymcy, żywił zabobonny lęk przed końmi – lęk, który narodził się podczas bitwy na Wrzosowiskach Hackham Heath przed szesnastoma laty, kiedy to pierwsza armia wargalów Morgaratha została zdziesiątkowana przez aralueńską kawalerię. Na swoją zgubę wargal zawahał się i postąpił krok do tyłu, by uniknąć kopyt tłukących powietrze. Czwarta strzała Halta trafiła go w szyję. Odległość była tak niewielka, że przebiła ją na wylot. Wargal wydał śmiertelny wrzask i runął martwy na trawę.

Blady jak ściana Will zsunął się z końskiego grzbietu, kolana się pod nim ugięły. Musiał przytrzymać się boku Wyrwija, by nie upaść. Halt szybko zeskoczył z siodła i stanął obok chłopca, obejmując go ramieniem.

–Już dobrze, Willu – Głęboki głos zwiadowcy przebił się przez strach, który ogarnął umysł chłopca. – Już po wszystkim.

Ale Will był w stanie tylko potrząsnąć głową, wciąż przerażony sceną, która dopiero co się rozegrała.

–Halt... chybiłem... i to dwa razy! Straciłem głowę i chybiłem! – Było mu wstyd, że tak haniebnie zawiódł swego nauczyciela. Poczuł, że ramię Halta obejmuje go mocniej, uniósł twarz, by spojrzeć w brodate oblicze mistrza i jego ciemne, głęboko osadzone oczy.

–Inną jest rzeczą strzelać do tarczy, a inną do szarżującego wargala. Tarcza zazwyczaj nie próbuje cię zabić.

–To ostatnie zdanie Halt wypowiedział znacznie łagodniejszym tonem. Zdał sobie sprawę, że Will przeszedł wstrząs. I nic dziwnego – przyznał w duchu.

–Ale ja... chybiłem...

–1 to będzie dla ciebie nauką. Następnym razem nie chybisz. Wiesz już teraz, że lepiej oddać jeden dobry strzał niż dwa w pośpiechu – stwierdził stanowczo Halt, po czym ujął Willa za ramię i odwrócił go w stronę obozowiska pod figowcem. – Chodź, zobaczymy, czego uda nam się dowiedzieć o tym człowieku – rzekł, kładąc w ten sposób kres rozmowie o niepowodzeniu Willa.

Odziany na czarno mężczyzna i wargal leżeli martwi obok siebie. Halt przyklęknął, by odwrócić człowieka twarzą do góry. Gwizdnął cicho ze zdumienia.

–To Dirk Reacher – stwierdził, na poły do siebie.

–Ostatnia osoba, którą spodziewałbym się tu ujrzeć.

–Znałeś go? – spytał Will. Nieokielznana ciekawość sprawiła, że zgodnie z przewidywaniami Halta, groza dopiero co minionych chwil zaczęła się oddalać.

–Osobiście wygnałem go z królestwa pięć czy sześć lat temu – wyjaśnił zwiadowca. – Był tchórzem i mordercą. Zdezerterował, a potem przystał do Morgaratha – umilkł na chwilę. – Morgarath ma szczególną zdolność przyciągania ku sobie takich właśnie ludzi. Tylko czego on tu szukał...?

–Wolał, że pełni jakąś misję dla Morgaratha – przypomniał Will, ale Halt pokręcił głową.

–Nie wydaje mi się. Wargalowie ścigali go, a tylko sam Morgarath mógłby im to nakazać, tego zaś by nie uczynił, gdyby Reacher nadal był na jego usługach. Przypuszczam, że znów zdradził. Porzucił Morgaratha, który wysłał wargalów w ślad za nim.

–Dlaczego? – zdziwił się Will. – To znaczy, dlaczego miałby znów zdezerterować? Halt wzruszył ramionami.

–Nadchodzi wojna. Ludzie tacy jak Dirk raczej starają się unikać podobnych nieprzyjemności. Sięgnął po tobolek leżący obok ogniska i zaczął w nim grzebać.

–Szukasz czegoś szczególnego? – zainteresował się Will. Halt zmarszczył brwi; wyraźnie znudziło mu się przeszukiwanie pakunku i po prostu wysypał całą jego zawartość na ziemię.

–No cóż, coś mi mówi, że jeśli Dirk zdradził Morgaratha i zamierzał wrócić do Araluenu, wystarczyłoby się o jakiś fant, którym okupiłby swoją wolność. Tak więc... – urwał w pół zdania, bo dostrzegł starannie złożony pergamin leżący pośród ubrań na zmianę i przyborów do jazdy. Przejrzał pospiesznie dokument i uniósł lekko jedną brew. Will, który spędził u boku zwiadowcy już niemal rok, wiedział, że oznaczało to coś na kształt zdumionego okrzyku, jaki wydalby z siebie ktokolwiek inny na miejscu jego mistrza. Wiedział też, że jeśli będzie próbował przerwać Hakowi, nim ten skończy czytać, zwiadowca po prostu go zignoruje. Odczekał więc, aż Halt złożył pergamin, wstał powoli, spojrział na swego ucznia i dostrzegł naglące pytanie w jego oczach.

–Coś ważnego? – upewnił się Will.

–Można powiedzieć, że tak – stwierdził chłodno Halt.

–Chyba wpadły nam w ręce plany Morgaratha dotyczące zbliżającej się wojny. Pewnie dobrze byłoby je zawieźć do Redmont.

Gwizdnął cicho, a Abelard i Wyrwij podbiegły truchtem do swych panów. Tymczasem w odległości kilkuset metrów czaił się intruz, który wybrał swą kryjówkę niezwykle starannie, mając na uwadze

nawet kierunek wiatru, by koniki zwiadowców nie wyczuły jego obecności. Wróg upewnił się, że Halt i jego uczeń, którzy dosiedli wierzchowców, opuścili łąkę, scenę niewielkiej bitwy, która tu się rozegrała – a potem wyszedł z ukrycia i zwrócił się na południe, ku przepastnym urwiskom. Czas powiadomić Morgaratha, że jego plan się powiódł.

Rozdział 1

Pochodziła północ, gdy samotny jeździec ściągnął wodze swojego wierzchowca przed chatką ukrytą pośród drzew nieopodal Zamku Redmont. Juczny konik, którego prowadził za sobą, także się zatrzymał. Jeździec, wysoki mężczyzna, którego ruchy znamionowała gibkość właściwa młodemu wiekowi, zeskoczył z siodła i wszedł na wąski ganek, schylając się, by nie zawadzić głową o niski okap. Z przylegającej do domu stajni rozległo się ciche rżenie, na które jego własny koń podniósł głowę i odpowiedział podobnym powitaniem.

Przybysz uniósł dłoń, by zapukać do drzwi, kiedy dostrzegł błysk światła za zasłoniętym oknem. Zawahał się. Światło przemierzyło wnętrze pokoju i odezwał się głos:

–Witaj, Gilanie – drzwi stanęły otworem. – Co cię tu sprowadza? – odezwał się Halt. Młody zwiadowca zaśmiał się z niedowierzaniem na widok swojego dawnego mistrza.

–Halt, jak ty to robisz? – zdumiał się. – Skąd zanim jeszcze otwarłeś drzwi, mogłeś wiedzieć, że to właśnie ja przyjechałem w środku nocy?

Halt wzruszył ramionami, dając Gilanowi znak, by wszedł do środka. Zamknął za nim drzwi, przeszedł do schludnie urządzonej kuchni, otworzył drzwiczki pieca i dorzucił dREW do przygasającego już ognia. Postawił miedziany czajnik na blasze, potrząsnąwszy nim uprzednio, by upewnić się, że wewnątrz jest dość wody.

–Kilka minut temu usłyszałem tętent twojego konia – wyjaśnił. – A potem odezwał się Abelard. Rzy w ten sposób tylko na powitanie któregoś z koni zwiadowców – dodał i wzruszył ramionami. Miało to oznaczać, że odpowiedź na pytanie Gilana jest tak prosta, że nie warto poświęcać jej więcej czasu. Gilan zaśmiał się znowu.

–Zapewne – przyznał – tylko że mógł to być którykolwiek z nas, zwiadowców. A jest nas około pięćdziesięciu, nieprawdaż?

Halt przechylił głowę na bok, spoglądając z politowaniem na swego dawnego ucznia.

–Gilanie, kiedy jeszcze usiłowałem cię czegoś nauczyć, słyszałem twoje kroki na tym ganku tysiące

razy. Uwier, że nadal jestem w stanie je rozpoznać.

Młodszy zwiadowca rozłożył bezradnie ręce w geście poddania. Rozpiął klamrę płaszcza i przerzucił go przez oparcie krzesła. Podeszedł bliżej do pieca. Noc była chłodna, toteż nie mógł już się doczekać, kiedy skosztuje gorącego napoju przyrządzonego przez Halta. Skrzypnęły drzwi pokoju na tyłach domu i pojawił się Will, który najwyraźniej w pośpiechu narzucił ubranie na koszulę nocną. Miał potargane włosy i wyglądał na zaspanego.

–Witaj, Gilanie – rzucił niedbale. – Co cię do nas sprowadza? Gilan załamał ręce w żartobliwym geście:

–Doprawdy, czy moje niespodziewane pojawienie się w środku nocy nie jest tu dla nikogo zaskoczeniem? – spytał.

Zajęty przy piecu Halt odwrócił się, by ukryć uśmiech. Kilka minut wcześniej słyszał, jak Will rzucił się do okna na dźwięk końskich kopyt zbliżających się do chaty. Widocznie Will podsłuchiwał rozmowę Halta z Gilanem i postanowił również popisać się stoickim spokojem wobec niespodziewanego

gościa. Znając Willa, Halt był pewien, że chłopak wprost płonie z ciekawości i dalby wszystko, żeby poznać przyczynę tej niespodziewanej wizyty, toteż postanowił zabawić się nieco jego kosztem.

–Już późno, Willu – oznajmił. – Wracaj lepiej do łóżka. Jutro czeka nas pracowity dzień.

Nonszalancja Willa ulotniła się bez śladu, a na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego rozczarowania. Ton w głosie mistrza oznaczał wyraźne polecenie, a on przecież tak bardzo pragnął poznać przyczynę odwiedzin Gilana o tak niezwyklej porze.

–Halt, proszę! – zawołał chłopiec. – Chciałbym wiedzieć, o co chodzi!

Halt i Gilan wymienili rozbawione spojrzenia. Will tymczasem dosłownie przestępował z nogi na nogę w nadziei, że Halt zmieni jednak zdanie i nie każe mu iść spać. Zwiadowca z kamienną twarzą postawił trzy kubki na kuchennym stole.

–W takim razie dobrze się składa, że pomyślałem też o tobie, prawda? – zauważył, a Will dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że dał się nabrać. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i usiadł przy stole.

–Skoro to już sobie wyjaśniliśmy, może zechcesz, Gilanie, wyjawić przyczynę twych niespodziewanych odwiedzin – nim mój uczeń pęknie z ciekawości?

–Chodzi o te plany Morgaratha, które przejąłeś w zeszłym tygodniu. Skoro teraz wiemy, co wróg zamierza uczynić, król pragnie zgromadzić całą armię na równinie Uthal przed następnym nowiem. Skoro Morgarath zamierza przebić się przez Wąwóz Trzech Kroków, musimy być gotowi.

Zdobyty dokument rzeczywiście zawierał bezcenne informacje. Według planu Morgaratha pięciuset skandyjskich najemników miało przedrzeć się przez bagniste mokradła i zaatakować od tyłu aralueński garnizon, strzegący Wąwozu Trzech Kroków. Nawet gdyby nie uwzględnić elementu zaskoczenia, napaść z tej strony była o wiele łatwiejsza, toteż obrońcy Wąwozu nie mieli żadnych szans wobec tak znacznej przewagi nieprzyjaciela. W krótkim czasie przed głównymi siłami Morgaratha droga stałaby otworem i wargalowie weszliby na równiny, mogąc bez przeszkód rozwinąć szyk bojowy.

–Tak więc Duncan zamierza odpowiedzieć zaskoczeniem na próbę zaskoczenia – skonstatował Halt, z

wolna kiwając głową. – Dobre myślenie. W ten sposób przejmemy kontrolę nad polem bitwy.

Teraz Will również skinął głową i stwierdził równie poważnym głosem:

–I dopadniemy wojska Morgaratha uwięzione w przełęczy.

Gilan odwrócił się nieco, by ukryć uśmiech. Zastanowił się przez chwilę, czy on również w swoim czasie próbował naśladować sposób zachowania Halta, gdy był jeszcze jego uczniem. Miał wrażenie, że raczej... tak.

–Wręcz przeciwnie – sprostował. – Gdy tylko jego wojsko rozpocznie natarcie, Duncan zamierza się wycofać na z góry upatrzone stanowiska i pozwolić Morgarathowi rozwinąć szyk na równinach.

–Chce go wpuścić? – Will był tak zdziwiony, że aż zaczął mówić piskliwym głosem. – Czy król oszalał? Dlaczego mielibyśmy...

Zdał sobie sprawę, że obaj zwiadowcy spoglądają na niego w szczególny sposób; Halt z uniesioną brwią, a Gilan z dziwnym uśmieszkiem na ustach.

–To znaczy... – zawahał się, przyszło mu bowiem poniewczasie do głowy, że wątplenie w pełnię władz

umysłowych króla, może zostać uznane za obrazę majestatu. – Nie chciałem powiedzieć

niczego

złego. Chodzi mi tylko o to...

–Och, jestem pewien, że król nie poczulby się urażony, słysząc, jak jakiś nędzny czeladnik pomawia

go o szaleństwo – zauważył Halt. – Królowie wprost uwielbiają, kiedy w ten sposób przywoływać ich do rozumu.

–Ale... pozwolić mu wejść na nasz teren? Po tylu latach? To przecież... – chciał już powiedzieć „szaleństwo”, ale w porę ugryzł się w język. Pamiętał jednak doskonale niedawne spotkanie z wargalami. Myśl o tym, że tysiące takich stworów miałyby bez przeszkód przebyć Wąwóz, mroziła mu krew w żyłach. Pierwszy odpowiedział Halt:

–Oto właśnie chodzi, Willu. „Po tylu latach”. Minęło szesnaście lat, a my wciąż musimy strzec się

Morgaratha, bezustannie próbujemy odgadnąć, co knuje. Przez cały ten czas nasze siły związane są

przy granicach, bo muszą pilnować urwisk i pilnie strzec Wąwozu Trzech Kroków. Przez cały ten czas

inicjatywa pozostaje w jego rękach, to od jego zachcianki zależy, kiedy, gdzie i jak zaatakuje.

Ostatnim przykładem były kalkary, o czym wiesz akurat lepiej niż ktokolwiek inny.

Gilan spoglądał z podziwem na swojego byłego mistrza. Halt w mgnieniu oka pojął, co kryje się za planem króla. Oto kolejny dowód – prócz wielu poprzednich -że władca postępuje słusznie, uważając Halta za jednego ze swych najbardziej zaufanych doradców.

–Halt ma słuszość, Willu – odezwał się. – Jest jeszcze inna przyczyna. Po tych szesnastu latach względnego spokoju zaczynamy popadać w gnuśność. Nie, nie my, nie zwiadowcy. Ale z pewnością wieśniacy, spośród których rekrutują się przecież nasi żołnierze, a nawet i niektórzy baronowie czy rycerze z odległych lenn położonych na północy.

–Widziałeś na własne oczy, z jaką niechęcią niektórzy wieśniacy porzucają swe gospodarstwa, żeby wyruszyć na wojnę – wtrącił Halt. Will w milczeniu skinął głową. Rzeczywiście, ostatni tydzień spędzili wraz z Haltem na wędrowce po wsiach na terenie baronii Redmont. Dokonywali poboru, bowiem to właśnie chłopci stanowili trzon armii. Niejednokrotnie spotkali się z otwarcie wrogim przyjęciem – choć wrogość ta ustępowała, kiedy Halt kładł na szalę całą siłę swej osobowości i autorytetu.

–Otóż zdaniem króla Duncana nadszedł czas, by załatwić tę sprawę raz na zawsze – ciągnął dalej Gilan. – Teraz jesteśmy u szczytu potęgi i sił nam już nie przybędzie; z czasem bezczynność może nas przyprawić co najwyżej o ich utratę. Tak więc oto nadarza się okazja, by uporać się z Morgarathem na dobre.

–Wszystko to jednak nie przybliży nas do odpowiedzi na moje pierwsze pytanie – zauważył Halt. – Cóż sprowadza cię tutaj o tak dziwnej porze?

–Rozkazy Crowleya – odparł krótko Gilan. Położył rulon pergaminu przed Haltem, który rzuciwszy mu pytające spojrzenie, rozwinął pismo i przeczytał je. Will wiedział, że Crowley jest dowódcą wszystkich zwiadowców, najstarszym rangą z całego korpusu. Halt skończył czytać, a następnie starannie zwinął pergamin.

–Jedziesz więc z poselstwem do króla Celtów, Swyddneda – stwierdził. – Domyślam się, że po to, by powołać się na traktat o wzajemnej pomocy, który Duncan zawarł z nim kilka lat temu?

Gilan skinął głową, delektując się kolejnym łykiem rozgrzewającego napoju.

–Król uważa, że potrzebne nam będą wszelkie siły, jakie zdołamy zgromadzić. Halt w zamyśleniu pokiwał głową.

–Trudno się z nim nie zgodzić – rzekł powoli. – Ale...? – Rozłożył ręce w pytającym geście. Przecież skoro Gilan miał jechać z poselstwem do Celtów, im prędzej tam się znajdzie, tym lepiej – zdawał się przez to mówić.

–Otóż – rzekł z naciskiem Gilan – jest to oficjalne posłannictwo do Celtii. – Słowo „oficjalne” wymówił szczególnie dobitnie, a Halt zrozumiał go w mgnieniu oka.

–Oczywiście – kiwnął głową. – Prastare celtyckie tradycje.

–Rzekłbym raczej, że przesady – burknął Gilan. – Jeśli o mnie chodzi, oznacza to po prostu karygodną stratę czasu.

–Jasne, jasne – zgodził się Halt. – Skoro jednak Celtowie obstają przy tych zwyczajach, co innego możesz zrobić?

Will spoglądał na nich z niepokojem. Najwidoczniej obaj zwiadowcy rozumieli się doskonale, ale Will pojmował z tego tyle, co gdyby rozmawiali ze sobą po hiszpańsku.

–Zazwyczaj, kiedy czasy są spokojne, nie zwracamy na to uwagi – powiedział Gilan. – Jednak wobec wszystkich przygotowań, jakich wymaga nadchodząca wojna, jest tyle pracy, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. Po prostu potrzebny jest każdy z nas. Tak więc Crowley doszedł do wniosku...

–Chyba wiem, do jakiego – przerwał mu Halt i właśnie w tym momencie Will już nie wytrzymał.

–A ja nie! – wybuchnął. – O czym wy obaj mówicie? Niby gadacie po aralueńsku, a nie w jakimś obcym języku, ale ja i tak nie mogę się w waszych słowach dopatrzeć żadnego sensu!

Rozdział 2

Halt powoli odwrócił się ku swemu zapalczywemu czeladnikowi i uniósł wysoko brwi. Will skulił się i mruknął:

–Wybaczcie. Przykro mi.

Starszy zwiadowca skinął głową, kwitując jego przeprosiny.

–I słusznie. Natomiast odpowiedź na twoje pytanie jest prosta: to jasne, że Gilan chce mnie zapytać, czy mógłbyś pojechać z nim do Celtii w charakterze posła.

Gilan przytaknął ruchem głowy, a Will zmarszczył brwi; teraz już był zupełnie zdezorientowany.

–Ja? – rzekł z niedowierzaniem w głosie. – Ale dlaczego ja? Na co się mogę przydać w Celtii?

Pożałował tych słów natychmiast, gdy je wypowiedział. Mógłby się raz wreszcie nauczyć, żeby nie dawać Haltowi takich okazji do kpin ze swojej osoby. Halt tymczasem zasznurował usta, udając, że rozważa jego pytanie.

–Na co...? Pewnie na nic. Właściwe pytanie brzmi, czy tutaj jesteś na coś potrzebny. A odpowiedź brzmi: zdecydowanie na nic.

–Ale dlaczego... – zaczął Will i umilkł. Albo mu wyjaśnią, albo nie. Choćby nie wiadomo jak się dopytywał, Halt nie powie niczego ani o sekundę wcześniej, niż uzna za stosowne. Wręcz przeciwnie, odnosił niekiedy wrażenie, że im więcej pytań zadawał, tym chętniej Halt zwlekał z odpowiedzią, bawiąc się utrzymywaniem go w niepewności. W końcu zlitował się nad nim Gilan, który zapewne z własnego doświadczenia wiedział, jak trudno wyciągnąć coś z Halta, kiedy ten zdecyduje się milczeć.

–Chodzi po prostu o to, żeby było nas więcej, Willu – wyjaśnił. – Zgodnie z obyczajami Celtów oficjalne poselstwo winno składać się z trzech osób i szczerze mówiąc, Halt ma rację. Akurat bez ciebie Araluen w tej chwili może się obejść. – Uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem. – Jeśli to ci poprawi nastrój, mogę wyznaczyć, że i mnie wyznaczono do tego zadania dlatego, że jestem najmłodszym z Korpusu Zwiadowców.

–Ale po co aż trzy osoby? – spytał Will, zadowolony, że przynajmniej Gilan skłonny jest odpowiadać

na pytania. – Przecież chodzi o to, żeby po prostu dostarczyć list. Wystarczyłby jeden jeździec,

prawda?

Gilan westchnął.

–O tym właśnie mówiliśmy. To taki przesąd, któremu Celtowie zawzięcie hołdują. Pochodzi z dawnych czasów, kiedy Skottowie, Hibernianie i Celtowie zjednoczeni byli unią pod rządami Rady Celtyckiej. Składało się na nią trzech władców tych krain.

–Rzecz polega na tym – wtrącił Halt – że Gilan oczywiście mógłby pojechać sam, ale wówczas zwlekaliby i zbywali go całymi dniami albo i tygodniami, zanim uporaliby się z kwestiami etykiety oraz protokołu. My zaś nie mamy czasu do stracenia. Jest takie stare celtyckie powiedzenie, w którego prawdziwość wszyscy tam wierzą: „Jeden mąż może być zdrajcą. Dwóch może być w zмовie. Trzem mężom ufajcie, szlachetni panowie”.

–Aha, czyli mam jechać dlatego, że nie jestem tu do niczego potrzebny! – stwierdził Will, nieco urażony. Halt uznał więc, że pora odrobinę podbudować jego urażoną miłość własną – ale

tylko odrobinę.

–Prawdę mówiąc, sprawy tak właśnie się mają. Musisz jednak wiedzieć, że z takim poselstwem do Celtów nie może udać się byle kto. Wszyscy posłowie muszą mieć jakiś oficjalny status lub ustaloną pozycję w świecie. Nie mogą to być na przykład zwykli pacholki czy wieśniacy.

–A ty, Willu – dodał Gilan – należysz do Korpusu Zwiadowców. W oczach Celtów to nie byle co.

–Przecież jestem tylko uczniem – wybąkał Will, ale ku jego zdziwieniu obaj mężczyźni poważnie pokręcili głowami.

–Nosisz Dębowy Liść – rzekł stanowczo Halt. – Z brązu, czy ze srebra – to bez znaczenia. Jesteś jednym z nas.

To stwierdzenie mistrza wyraźnie podniosło Willa na duchu.

–Cóż, to co innego – powiedział. – W takim razie z przyjemnością będę ci towarzyszył, Gilanie.

Halt rzucił chłopcu chłodne spojrzenie. Uznał, że duma Willa dość już została polechtana. Świadomie ignorując słowa chłopaka, zwrócił się do Gilana:

–No dobrze – rzekł – a czy przychodzi ci do głowy jeszcze ktoś, z kogo nie mamy tu żadnego pożytku,

a kto mógłby pełnić rolę trzeciego posła?

Gilan wzruszył ramionami i uśmiechnął się, widząc, jak Willowi zrzęda mina.

–To jest właśnie drugi powód, dla którego Crowley mnie tu przysyła – odpowiedział. – Sądzi, że w

Redmont, jako jednej z największych baronii, może znaleźć się jeszcze jedna osoba odpowiednia do

tej misji. Masz jakiś pomysł?

Halt w zamyśleniu potarł podbródek, wyraźnie coś przyszło mu do głowy.

–Myślę, że mamy tu kogoś, kto w sam raz się nada – stwierdził, i zwracając się do Willa, rzekł: – Ty

lepiej naprawdę już idź spać. Ja pomogę Gilanowi przy koniach, a potem udamy się na zamek.

Will nie oponował. Teraz, gdy Halt wspomniał o spaniu, poczuł nieodpartą chęć, by ziewnąć. Wstał i poczłapał do swojego pokoiku.

–Do zobaczenia rano, Gilanie. – i to o świcie – Gilan uśmiechnął się, a Will uniósł oczy ku niebu,

udając, że ta myśl napawa go przerażeniem.

–Wiedziałem, że to powiesz.

Halt i Gilan w zgodnym milczeniu jechali przez pola ku Zamkowi Redmont. Jednak Gilan, który już dawno nauczył się wyczuwać nastroje swojego dawnego mistrza, miał wrażenie, że Halt chce z nim coś omówić i w rzeczy samej, po jakimś czasie starszy zwiadowca przerwał ciszę.

–To posłannictwo do Celtii zdarzyło się we właściwym czasie. Myślę, że taka wyprawa dobrze

Willowi robi – stwierdził. – Trochę się o niego martwię.

Gilan zmarszczył czoło. Zdążył już polubić tego niesforne go młodzieńca.

–W czym problem? – spytał.

–Od tego starcia z wargalami w zeszłym tygodniu jest jakiś nieswój – wyjaśnił Halt. –

Myśli, że stracił panowanie nad sobą.

–A stracił?

Halt stanowczo pokręcił głową.

–Jasne, że nie. Jest odważniejszy od większości dorosłych mężczyzn. Jednak gdy wargalowie ruszyli na nas, wystrzelił zbyt pośpiesznie i spudłował.

Gilan machnął ręką.

–To żaden wstyd. W końcu nie ma nawet szesnastu lat. Przecież nie uciekł, prawda?

–Ależ nie, skąd. Dotrzymał pola, a nawet strzelił jeszcze raz. Wyrwij zmusił wargala do cofnięcia się, a ja dzięki temu mogłem się rozprawić z paskudą. To dobry koń.

–I ma dobrego pana – dodał Gilan, a Halt skinął głową.

–To prawda. Ale tak czy inaczej wydaje mi się, że kilka tygodni z dala od tych wszystkich wojennych przygotowań dobrze chłopcu robi. Może jeśli spędzi nieco czasu z tobą i z Horace'em, przestanie tak rozpamiętywać swoje niepowodzenie.

–Z Horace'em? – zdziwił się Gilan.

–Horace to jeden z uczniów Szkoły Rycerskiej i przyjaciel Willa. Proponuję go na trzeciego uczestnika waszego poselstwa. – Hak zastanawiał się przez chwilę, a potem dodał: – Tak, chyba tak. Kilka tygodni spędzonych w towarzystwie młodszych ode mnie wpłynie na niego korzystnie. Niezbyt wesóły ze mnie kompan dla młodego chłopaka, niektórzy nawet twierdzą, że od czasu do czasu bywam zbyt ponury.

–Ty? Ponury? A któżby mógł opowiadać o tobie takie rzeczy?

Halt popatrzył uważnie na Gilana. Jego dawny uczeń najwyraźniej czynił wielkie wysiłki, by zachować kamienną twarz.

–Wiesz co, Gilanie? – rzekł kwaśnym tonem. – Sarkazm wcale nie jest pośledniejszą formą humoru.

Sarkazm po prostu nie ma z poczuciem humoru nic wspólnego.

Choć było już po północy, gdy Halt i Gilan dotarli do zamku, w oknach gabinetu barona Aralda wciąż paliło się światło. Baron i sir Rodney, Mistrz Sztuk Walki, mieli niemało zajęć, musieli bowiem przygotować przemarsz swych wojsk na równinę Uthal, gdzie mieli dołączyć do pozostałych sił królestwa. Kiedy Halt wyjaśnił, co sprowadza Gilana do Redmont, sir Rodney od razu zrozumiał, do czego zwiadowca zmierza.

–Masz na myśli Horace'a? – upewnił się Rodney. Niewysoki brodaty zwiadowca niemal niedostrzegalnie kiwnął głową.

–Owszem, to wcale nie jest zły pomysł – stwierdził Rodney i zaczął w zamyśleniu przechadzać się po pokoju. – Ma wystarczającą pozycję, by móc spełnić to zadanie. Bądź co bądź przynależy do Szkoły Rycerskiej, choć jest dopiero uczniem. I tak wyruszamy pod koniec tygodnia, więc nie straci zbyt wielu ćwiczeń... – przerwał i rzucił Gilanowi znaczące spojrzenie. – Może się nawet okazać całkiem przydatnym towarzyszem w podróży.

Młodszy zwiadowca popatrzył pytająco, więc sir Rodney wyjaśnił:

–To jeden z moich najlepszych uczniów, urodzony szermierz. Już przewyższa pod względem

umiejętności szermierczych większość pozostałych kadetów Szkoły Rycerskiej. Natomiast na co dzień

jest trochę zbyt sztywny, brakuje mu elastyczności. Może towarzystwo dwóch niedyscyplinowanych

zwiadowców pomoże mu nabrać nieco dystansu do samego siebie.

Uśmiechnął się krótko, by dać im do zrozumienia, że nie zamierzał nikogo tym żartem obrazić. Rzucił okiem na miecz, który Gilan nosił u pasa. Zwiadowcy rzadko wyposażeni byli w tego rodzaju broń.

–To ty jesteś tym uczniem MacNeila, o ile się nie mylę? Gilan skłonił się.

–Tak, miałem zaszczyt pobierać lekcje u mistrza.

–Hm – mruknął sir Rodney; teraz spoglądał na Gilana zupełnie inaczej, jakby nagle ujrzał go w całkiem nowym świetle. – W takim razie może po drodze nadarzy się okazja, byś udzielił Horace'owi kilku wskazówek. Bylbym wielce zobowiązany. Przekonasz się, że pojętny z niego uczeń.

–Z przyjemnością – Gilan skłonił się znowu. Ten czeladnik rycerski zaczął go naprawdę ciekawić. Podczas swego terminu u Halta wiele słyszał o sir Rodneyu i wiedział doskonale, że w zwyczaju dowódcy Szkoły Rycerskiej nie leżało przesadne wychwalanie swych kadetów.

–A więc sprawa załatwiona – wtrącił baron Arald, któremu spieszno było, by powrócić do tysięcy szczegółów, jakie należało jeszcze ustalić przed wymarszem ku równinie Uthal. – O której chcesz wyruszyć, Gilanie?

–Jak najprędzej po wschodzie słońca, panie – odparł Gilan.

–W takim razie wydam polecenie, by Horace zgłosił się do ciebie przed świtem – zapewnił sir Rodney. Gilan pokłonił się po raz trzeci, czując, że oznacza to zakończenie rozmowy. Następne słowa barona potwierdziły to w całej rozciągłości:

–A teraz wybaczcie nam, proszę. Musimy zająć się pewnym drobiazgiem. Trzeba mianowicie zaplanować wojnę.

Rozdział 3

Niebo było ciężkie od nabrzmiąłych deszczem chmur. Słońce może i wstawało gdzieś na horyzoncie, ale nie było go wcale widać, tylko matowe, szare światło stopniowo i niechętnie wypełniło nieboskłon. Gdy trzej jeźdźcy opuścili ostatnią grań, pozostawiając za sobą masyw, na którym wznosił się Zamek Redmont, nowy dzień zdecydował się wreszcie, jakie przybierze oblicze, i zaczął padać

deszcz – zimny, wiosenny deszczyk. Właściwie była to mżawka, ale mżawka uporczywa. Z początku woda spływała po ich wełnianych płaszczach, jednak wkrótce zaczęła przenikać w głąb włókien. Już po jakichś dwudziestu minutach wszyscy trzej kulili się w siodłach, próbując utrzymać tyle ciepła, ile się dało. Gilan odwrócił się, by spojrzeć na towarzyszy, którzy jechali zgarbieni, wpatrzeni w grzbiety swych wierzchowców. Uśmiechnął się pod nosem, a potem odezwał się do Horace'a, który trzymał się nieco z tyłu, jadąc obok jucznego konika prowadzonego na sznurze przez Gilana.

–Jak tam, Horace – spytał – podobają ci się nasze przygody?

Horace otarł wodę z twarzy i uśmiechnął się.

–Mniej ich, niż się spodziewałem, panie – odparł – ale i tak lepsze to od codziennego drylu. Gilan skinął głową i także odpowiedział mu uśmiechem.

–Nietrudno mi w to uwierzyć – rzekł, po czym dodał przyjaznym tonem: – Nie musisz jechać z tyłu za nami. Wiesz, my, zwiadowcy, przywiązujemy niewiele wagi do ceremoniału. Przyłącz się do nas.

Trącił Blaze'a w bok kolaniem, a gniady konik natychmiast postąpił krok na stronę, czyniąc miejsce dla Horace'a. Chłopak ponaglił konia, by zrównać się ze zwiadowcami.

–Dziękuję, panie – Horace wyraził swą wdzięczność. Gilan zerknął z ukosa na Willa.

–Prawda, jaki uprzejmy? – zastanowił się. – Najwyraźniej w Szkole Rycerskiej dbają o dobre maniere swoich uczniów. Miło, kiedy ktoś zwraca się do człowieka w ten sposób.

Will wyszczerzył zęby, wyczuwając, że Gilan pokpiwa sobie z jego przyjaciela. Jednak uśmiech zniknął z jego oblicza na dźwięk dalszych słów Gilana, który ciągnął w zamyśleniu:

–To wcale nie taki głupi pomysł. Może i ty mógłbyś mówić do mnie „panie”? – rzekł, odwracając

głowę, niby po to, żeby przyjrzeć się drzewom rosnącym wzdłuż drogi, a w gruncie rzeczy po to, by

Will nie dostrzegł uśmiechu, którego Gilan pomimo wszelkich wysiłków nie mógł powstrzymać.

Willa aż zatkało. Nie wierzył własnym uszom.

–Panie? – odezwał się wreszcie. – Gilanie, naprawdę chcesz, żebym mówił do ciebie „panie”? – Gdy

ujrzał zmarszczone brwi starszego towarzysza, poprawił się czym prędzej: – To znaczy, panie Gilanie?

Naprawdę chcesz, panie, żebym mówił do ciebie, to znaczy do pana panie? – ciągnął, płacząc się coraz

bardziej.

Gilan potrząsnął głową.

–Nie. „Pana panie” to nie jest właściwy sposób zwracania się do osoby starszej. Ani „panie

Gilanie".

Zwykle „panie” w zupełności wystarczy, nie uważasz?

Will usiłował sklecić jakieś odpowiednio uprzejme zdanie, ale wszystko mu się pomieszało, więc tylko bezradnie rozłożył ręce.

Gilan dodał:

–W końcu to nie od rzeczy, bo dzięki temu cały czas będziecie pamiętać, kto tu dowodzi, nieprawdaż?

–Tak, zapewne, Gil... to znaczy, panie – Will potrząsnął głową z niedowierzaniem, nie mogąc pogodzić się z tym, że przyjaciel nagle zaczął domagać się tak formalnego tytułowania. Przez kilka minut jechał w milczeniu, aż wreszcie usłyszał obok siebie coś, co przypominało zarazem kichnięcie i prychnięcie: Horace bezskutecznie powstrzymywał śmiech. Will rzucił okiem w jego stronę, a potem popatrzył podejrzliwie na Gilana.

Młody zwiadowca uśmiechał się od ucha do ucha i kręcił głową z udawanym politowaniem:

–To był żart, Willu. Tylko żart. Will pojął, że dał się nabrać, a Horace od samego początku doskonale o tym wiedział.

–Wiedziałem – rzucił niedbale. Teraz Horace roześmiał się już w głos, a Gilan się do niego przyłączył.

Przez cały dzień wędrowali na południe i zatrzymali się na popas dopiero pośród pierwszych wzgórz po drodze do Celtii. Co prawda późnym popołudniem przestało już padać, ale ziemia nadal była mokra. Zaczęli przeszukiwać poszycie pod drzewami o najbujniejszym listowiu, aż w końcu znaleźli dość suchych patyków, by rozpałcić niewielki ogień. Gilan przyłączył się do dwóch uczniów, rozdzielił zadania w taki sposób, by każdy z trójki miał coś do roboty, a potem zjedli posiłek w zgodnej i przyjaznej atmosferze. Horace jednak wciąż odnosił się z niejakim dystansem do wysokiego, młodego zwiadowcy. Will po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że żartując sobie jego kosztem, Gilan starał się sprawić, by Horace poczuł się swobodniej, żeby nie czuł się wykluczony z ich towarzystwa. Na tę myśl Will poczuł przypływ jeszcze większej sympatii do Gilana niż przedtem. Zrozumiał też, jak wiele jeszcze musi się nauczyć o postępowaniu z ludźmi.

Wiedział, że czekają go jeszcze co najmniej cztery lata szkolenia, nim skończy się okres zwiadowczego terminowania. Potem jednak zapewne będzie musiał wykonywać samodzielnie tajne misje, zdobywać informacje o nieprzyjaciolach królestwa lub, być może, pełnić rolę przewodnika dla oddziałów wojska, tak samo jak Halt. Myśl o tym, że pewnego dnia będzie trzeba polegać wyłącznie na własnych umiejętnościach i zręczności, napawała go niepokojem. Owszem, w towarzystwie doświadczonych zwiadowców jak Halt czy Gilan czuł się bezpiecznie. Ich wiedza i zręczność przysparzała im swoistej aury pewności siebie, dzięki której wydawali się niezwyciężeni. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła im dorównać. Musiał przyznać, że w tej chwili mocno w to wątpił.

Westchnął. Czasami życie wydawało się tak piekielnie skomplikowane. Niecały rok temu był tylko bezimiennym, nikomu nieznanym podrzutkiem – podopiecznym przytułku na Zamku Redmont. Potem zaś zaczął nabywać umiejętności zwiadowcy i zyskał sobie powszechne uznanie w całym lennie Redmont. Zdołał bowiem dopomóc baronowi, sir Rodney'owi i Haltowi w pokonaniu straszliwych bestii zwanych kalkarami.

Popatrzył w stronę Horace'a, najzawziętszego wroga z dziecięcych czasów, a teraz przyjaciela. Ciekaw był, czy i jego nachodzą podobne myśli. Myśl o dniach spędzonych w przytulku przypomniła mu o reszcie dawnych przyjaciół – teraz George, Jenny i Alyss pobierali nauki u swych mistrzów. Trochę żałował, że nie było czasu, żeby się z nimi pożegnać, nim wyruszył do Celtii. Szczególnie z Alyss. Na myśl o niej poczuł, że się rumieni. Tamtej nocy w gospodzie Alyss pocałowała go, a on wciąż jeszcze pamiętał miękki dotyk jej warg.

Tak – pomyślał – zwłaszcza z Alyss należało się pożegnać.

Siedząc po drugiej stronie ogniska, Gilan przyglądał się Willowi spod półprzymkniętych powiek. Wiedział, że uczniowi Halta nie jest łatwo. Halt był postacią niemal legendarną, a przez to każdy, będący u niego na terminie, odczuwał silną presję, czasem wręcz nieznośną. Było w tym wiele powagi, a zbyt mało... Właśnie. Uznał, że Willowi przyda się nieco rozrywki.

–No, dobra – odezwał się i bez wysiłku zerwał na nogi. – Lekcje! Will i Horace popatrzyli po sobie.

–Lekcje? – wybąkał Will marudnym tonem, bo po całym dniu spędzonym w siodle marzył mu się raczej odpoczynek.

–A owszem – stwierdził radośnie Gilan. – Na czas tej misji kazano mi dbać o waszą edukację. Teraz Horace wyraził swoje zdziwienie:

–Naszej? To znaczy mojej też? – spytał. – Ale po co miałbym uczyć się czegoś, czego uczą się zwiadowcy?

Gilan sięgnął do swego siodła, do którego przytroczony był jego miecz. Dobył smukłej, lśniącej głowni z cichym świstem; klinga jakby tańczyła i drżała w blaskach ognia.

–Nie. Czegoś, czego nie uczą się zwiadowcy. Chodzi o umiejętność walki, chłopcze. Tylko Bóg jeden wie, jak bardzo może ci się przydać i to wkrótce. Bo wiesz, nadchodzi wojna. – Przyjrzał się krytycznie mocno zbudowanemu chłopakowi. – A teraz pokaż, czego potrafisz dokonać tą wykałaczką, którą nosisz u boku.

–Ach, o to chodzi! – ucieszył się Horace, który nigdy nie miał nic przeciwko dodatkowym ćwiczeniom szermierczym – to odpowiadało mu o wiele bardziej niż jakieś sztuczki zwiadowców. Dobył więc swego miecza, kierując jednak jego głownię w stronę ziemi, jak wymagała tego grzeczność, i stanął przed Gilanem. Gilan schował na powrót swój oręż i wyciągnął dłoń.

–Mogę zobaczyć? – spytał. Horace skłonił się lekko i podał mu miecz rękojeścią do przodu. Gilan ujął broń, potrząsnął nią lekko, a potem zawinął kilka razy w powietrzu.

–Widzisz, Willu? To jest właśnie w mieczu najważniejsze.

Will spojrzął na broń, ale nie zrobiła ona na nim jakiegoś szczególnego wrażenia. Wyglądała raczej pospolicie. Głownia była prosta i pozbawiona ozdób. Rękojeść zrobiono po prostu ze skóry owiniętej wokół trzpienia stalowej klingi, a jelec został dość topornie wykuty z mosiądzu. Wzruszył ramionami.

–Wygląda normalnie – rzekł ostrożnie, by nie urazić uczuć Horace'a.

–Nie o to idzie, jak wygląda – sprostował Gilan – ale jak leży w ręce. Na przykład ten: jest dobrze wyważony, więc można wymachiwać nim cały dzień, nie czując zmęczenia, a głownia jest lekka, ale zarazem mocna. Widziałem dwa razy szersze klingi, które pękały pod mocnym ciosem maczugi. Choć bywały piękne – dodał z uśmiechem – rzeźbione i zdobione, a czasem i

wykładane drogimi kamieniami.

–Sir Rodney powiada, że klejnoty w rękojeści tylko niepotrzebnie dodają ciężaru – wtrącił Horace.

–Mało tego – dodał Gilan, skinąwszy głową. – Stanowią pokusę, ktoś może chcieć cię zaatakować tylko po to, by je zdobyć – oddał miecz Horace'owi i na powrót dobył swego. – Doskonale, Horace. Wiem już, że twój miecz jest dobrej jakości. Teraz pora sprawdzić jego właściciela. Horace nie był pewien, co Gilan ma na myśli.

–Słucham? – wybąkał niezręcznie. Gilan machnął zachęcająco lewą ręką, wskazując na własną osobę.

–No, zaatakuj mnie – zaproponował wesolo. – Przywal mi! Rozpraw się ze mną! Utnij mi głowę!

Horace nadal nie wiedział, co ze sobą począć. Miecz Gilana nawet nie był przygotowany, zwiadowca trzymał go niedbale ostrzem do dołu. Horace rozłożył ręce.

–No już, Horace – ponaglił go Gilan. – Nie chce mi się czekać przez całą noc. Pokaż, co potrafisz. Horace opuścił głownię.

–Ale widzisz, ja jestem szkolonym wojownikiem – wyjaśnił. Gilan skinął głową.

–Wiem o tym – odparł. – Ale szkolonym od niecałego roku. Mam wrażenie, że zbyt wielkiej krzywdy mi nie zrobisz.

Horace spojrział w stronę Willa, szukając u niego poparcia, ale Will mógł tylko wzruszyć ramionami. Spodziewał się, że Gilan wie, co robi. Choć z drugiej strony nie znał go zbyt długo, a co więcej, nigdy nie widział nawet, by dobył miecza z pochwy, nie mówiąc już o jakichś pokazach szermierczych. Gilan tymczasem potrząsnął głową z udawaną rozpaczą.

–No dalej, Horace – zawołał. – Naprawdę mam o tym jako takie pojęcie.

Niechętnie, bez entuzjazmu Horace zaatakował Gilana. Najwyraźniej obawiał się, że jeśli przebije się przez gardę zwiadowcy, może nie starczyć mu doświadczenia, by powstrzymać cios w odpowiedniej chwili, więc może zranić lub zabić przeciwnika. Gilan nawet nie uniósł swojego miecza, by wykonać zasłonę. Odchylił się tylko na bok i ostrze Horace'a minęło go, nie czyniąc mu krzywdy.

–Ruszyć się! – ponaglił chłopaka. – Włóż w to nieco serca!

Horace wziął głęboki wdech i zadał Gilanowi potężny cios zza głowy.

To było jak poezja, jak taniec. Jak woda strumienia płynąca po wygładzonych skałach. Miecz Gilana, zdawało się że poruszony tylko palcami i nadgarstkiem, wybiegł lśniącem łukiem na spotkanie głowni Horace'a. Rozległ się szcęk stali i Horace zamarł w bezruchu, zaskoczony. Od tej zasłony ręka zdrętwiała mu aż po łokieć. Gilan uniósł brwi.

–No, lepiej – pochwalil. – Spróbuj jeszcze raz. Toteż Horace spróbował. Cięć i pchnięć, z boku, znad

głowy, z lewej i z prawej strony.

Za każdym razem miecz Gilana blokował jego atak z głośnym brzękiem. Horace uderzał coraz silniej i szybciej. Jego czoło spłynęło potem. Teraz nie myślał już o tym, żeby nie zranić Gilana. Ciął i pchał jak oszalały, próbując przebić się przez mur zasłon, które jednak zawsze i we właściwej chwili pojawiały się tam, gdzie uderzał.

Wreszcie, gdy Horace był już mocno zdyszany, Gilan zmienił taktykę, rezygnując z

niepozornych zasłon, które tak skutecznie powstrzymywały najpotężniejsze ataki Horace'a. Związał głównię swego miecza z ostrzem Horace'a, wykonał niewielki okrężny ruch, tak że jego głównia znalazła się na wierzchu, a potem z głośnym zgrzytem zmusił chłopaka, by skierował swój miecz ku ziemi. Gdy ostrze dotknęło wilgotnej trawy, Gilan powstrzymał je szybkim ruchem obutej stopy.

–Na razie wystarczy – rzekł spokojnie. Obserwował jednak uważnie Horace'a, aby upewnić się, że do

chłopaka dotarł sygnał o zakończeniu ćwiczenia. Gilan wiedział doskonale, że w ogniu walki

przegrywający zawsze może spróbować jeszcze jednego ciosu – właśnie wtedy, gdy jego przeciwnikowi zdaje się, że starcie jest zakończone.

I wówczas, aż nazbyt często, rzeczywiście jest po wszystkim.

Dostrzegł, że Horace oprzytomniał. Chłopak cofnął się, znajdując się poza zasięgiem jego miecza.

–Nieźle – rzekł Gilan z uznaniem. Przygnębiony i zdyszany Horace wypuścił miecz z dłoni, pozwalając mu upaść na ziemię.

–Nieźle? – zawołał. – To było straszne! Ani przez chwilę nie miałem cienia szansy, by... – zawahał się. Teraz wydało mu się niezbyt uprzejmym przyznać, że przez ostatnie trzy czy cztery minuty wylaził ze skóry, by uciąć Gilanowi głowę. Wreszcie zdołał wykrztusić: – Ani razu nie miałem szansy przebić się przez twoją gardę, panie.

–No, wiesz – Gilan machnął skromnie ręką – mam nieco wprawy.

–O, zapewne! – wysapał Horace. – Ale jesteś zwiadowcą, panie. A wszyscy wiedzą, że zwiadowcy nie posługują się mieczami.

–Najwyraźniej ten akurat się posługuje – uśmiechnął się Will. Trzeba przyznać, że Horace również zdobył się na znużony uśmiech.

–Wyobraź sobie, że zauważyłem – odburknął przyszły rycerz, kłoniąc się z szacunkiem przed Gilanem. – Czy wolno mi spytać, gdzie uczyłeś się szermierki, panie? Nigdy dotąd czegoś podobnego nie widziałem.

Gilan pogroził mu żartobliwie palcem.

–Znowu wyskakujesz mi z tym „panem” – zwiadowca zganiał Horace'a. – Odpowiadając na twoje pytanie: drogi miecza uczył mnie pewien starzec z północy. Nazywał się MacNeil.

–MacNeil! – wyszeptał Horace z podziwem. – Naprawdę, ten MacNeil? MacNeil z Bannock? Gilan przytaknął.

–Właśnie ten – odpowiedział. – Słyszałeś o nim?

–A kto nie słyszał o wielkim MacNeilu?

Will, który nie lubił, kiedy rozmowa dotyczyła czegoś, o czym nie miał pojęcia, postanowił się wtrącić:

–Na przykład ja nie słyszałem. Mogę zaparzyć zioła, jeżeli któryś z was obieca, że mi o nim opowie.

Rozdział 4

No, to opowiedzcie mi o tym Neilu – odezwał się Will, gdy wszyscy trzej siedzieli już wygodnie przy ogniu, a kłęby pary z kubków gorącej ziołowej herbaty ogrzewały ich dłonie.

–O MacNeilu – poprawił go Horace. – To człowiek-legenda.

–Och, nie, to całkiem rzeczywista postać – poprawił go z kolei Gilan. – Uczył mnie całych pięć lat. Zacząłem w wieku jedenastu lat, a potem, kiedy miałem lat czternaście, zostałem uczniem Halta. Jednak dostawałem wolne, żebym mógł nadal pobierać nauki u mistrza MacNeila.

–Ale po co dalej uczyłeś się szermierki, skoro zacząłeś szkolić się na zwiadowcę? – spytał Horace. Gilan wzruszył ramionami.

–Może ktoś uznał, że szkoda byłoby zmarnować tyle lat odbytej już nauki. Ja w każdym razie na pewno chciałem uczyć się dalej, a ponieważ moim ojcem jest sir Dawid z lenna Caraway, potraktowano pobłażliwie te moje chłopięce fanaberie.

Na dźwięk tego imienia Horace wyprostował się nieco.

–Wódz Dawid? – najwyraźniej był pod wrażeniem i to niemalym. – Nowy głównodowodzący? Gilan kiwnął głową, rozbawiony zachwytem chłopca.

–Tenże sam – a potem, widząc że Will wciąż nie ma pojęcia, o kim mowa, wyjaśnił dokładniej: – Mój ojciec został mianowany głównodowodzącym wojsk królewskich zaraz po zamordowaniu lorda Northolta. Podczas bitwy na wrzosowiskach Hackham dowodził jazdą królewską.

Oczy Willa rozszerzyły się.

–Kiedy Morgarath poniósł klęskę i został zepchnięty w góry?

Zarówno Horace, jak i Gilan przytaknęli. Horace uznał, że Willowi należy się obszerniejsze wyjaśnienie:

–Sir Rodney powiada, że koordynacja działań w jego wykonaniu przy użyciu kawalerii i łuczników na

skrzydłach w ostatniej fazie bitwy to klasyka i przedstawia je jako przykład doskonałej taktyki. Nic

dziwnego, że twój ojciec został wybrany na miejsce lorda Northolta.

Will przypomniał im, że rozmowa odeszła od właściwego tematu.

–A więc co twój ojciec miał wspólnego z tym wielkim MacNeilem? – spytał.

–Tyle – odparł Gilan – że mój ojciec również był swego czasu jego uczniem. Tak więc naturalną kolejną rzeczą ów MacNeil wyładował w prowadzonej przez niego Szkole Rycerskiej. To chyba zrozumiałe?

–Chyba tak – zgodził się Will.

–Jak i zrozumiałe jest to, że gdy tylko byłem w stanie utrzymać miecz w ręce, skierowano mnie na nauki do niego. Bądź co bądź byłem synem dowódcy Szkoły Rycerskiej.

–Jak więc się stało, że zostałeś w końcu zwiadowcą? – zainteresował się Horace. – Nie przyjęli cię to stanu rycerskiego?

Obaj zwiadowcy popatrzyli na niego trochę dziwnie, rozbawieni przyjętym z góry założeniem, iż zwiadowcą stać się można tylko wtedy, jeśli ktoś nie nadaje się zupełnie na rycerza albo wojownika. Prawdę rzekłszy, jeszcze całkiem niedawno Will również podzielał ten pogląd, ale teraz zupełnie mu to wyleciało z głowy. Horace zdał sobie sprawę z niezręcznego

milczenia, jakie zapadło, i z tego, jak na niego patrzą. Nagle zrozumiał, że popełnił gafę, i próbował ją naprawić:

–Znaczy... no, wiecie. Przecież większość z nas chce zostać rycerzami, prawda? Will i Gilan wymienili spojrzenia. Gilan uniósł brwi. Horace brnął dalej:

–Znaczy... nie chcę nikogo obrazić ani nic... ale każdy, kogo znam, wolałby być rycerzem – nagle coś sobie przypomniał i poczuł się mniej zawstydzony. Wskazał palcem w stronę Willa:
– Ty też chciałeś! Pamiętam, jak byliśmy dziećmi, powtarzałeś w kółko, że pójdziesz do Szkoły Rycerskiej i zostaniesz sławnym wojownikiem!

Teraz Will poczuł się zakłopotany.

–A ty się ze mnie naśmiewałeś i mówiłeś, że jestem za mały – przypomniał.

–Bo jesteś! – rzucił zapalczywie Horace.

–Czyżby? – Will poczuł, że ogarnia go gniew. – A nie przyszło ci do głowy, że może Halt rozmawiał już wcześniej z sir Rodneyem i powiedział mu, że chce wziąć mnie na ucznia? I może właśnie dlatego nie zostałem przyjęty do Szkoły Rycerskiej? Pomyślałeś o tym kiedyś?

W tej chwili Gilan zrozumiał, że najwyższy czas przerwać ten spór, nim wymknie się spod kontroli.

–Moim zdaniem to wszystko dziecinada – przerwał im stanowczym głosem. Obaj chłopcy, gotowi już na kolejne słowne starcie, zawstydzili się.

–No... tak. Masz rację – mruknął Will. – Przepraszam.

Horace skinął kilka razy głową z zażenowaniem; sam nie wiedział, jak się wplątał w tę małostkową kłótnię.

–Ja też przepraszam – powiedział, a potem powodowany ciekawością spytał: – A tak właśnie było,

Willu? Czy Halt powiedział sir Rodneyowi, żeby cię nie przyjął, bo chciał cię na zwiadowcę?

Will spuścił wzrok i zaczął obracać w palcach sznurówkę swej koszuli.

–No... niezupełnie – przyznał, a potem dodał jeszcze: – Poza tym masz rację. Kiedy byłem dzieciakiem, zawsze chciałem być rycerzem. – Spojrzał na Gilana i szybko wyjaśnił: – Ale teraz za nic

bym się nie zamienił, za nic!

Gilan uśmiechnął się do nich.

–A ze mną było na odwrót – rzekł. – Pamiętajcie, że wychowałem się w Szkole Rycerskiej. U MacNeila zacząłem się uczyć, kiedy miałem jedenaście lat, ale podstawowe szkolenie rozpocząłem w wieku lat dziewięciu.

–To musiało być wspaniale – westchnął z zazdrością Horace. Ku jego zdumieniu Gilan pokręcił głową.

–Nie dla mnie. Znacie to przysłowie o odległych pastwiskach, gdzie trawa wydaje się zieleńsza? Obaj chłopcy popatrzyli na niego, nic nie rozumiejąc.

–Jest też inne: „wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma” – wyjaśnił cierpliwie. Tym razem pojęli, co ma na myśli.

–No i cóż, właśnie tak to odczuwałem. Kiedy miałem dwanaście lat, miałem powyżej uszu całej tej dyscypliny, musztry i defilad – spojrzał z ukosa na Horace'a.

–Coś mi się zdaje, że wiesz, o czym mówię. Barczysty chłopak westchnął.

–Mnie to mówisz! – stęknął. – Ale jazdę konne i fechtunek lubię.

–A kto nie lubi? – zgodził się Gilan. – Jednak mnie dużo bardziej interesowało życie, jakie prowadzili zwiadowcy. Po bitwie na wrzosowiskach Hackham mój ojciec i Halt zaprzyjaźnili się ze sobą, Hak odwiedzał nas często. Widziałem, jak przychodził i jak odchodził. Tajemniczy. Nieprzenikniony. Pomyślałem sobie, że też bym chciał tak przychodzić i odchodzić, kiedy mi się spodoba. Mieszkać w lesie. Ludzie wiedzą o zwiadowcach bardzo niewiele, ja też miałem o nich bardzo nikle pojęcie, jednak takie życie wydało mi się najbardziej ekscytujące z możliwych.

Horace nie był przekonany.

–Zawsze trochę się obawiałem Haka – wyznał. – Kiedyś myślałem, że jest kimś na kształt czarnoksiężnika.

Will parsknął z niedowierzaniem.

–Halt? Czarnoksiężnikiem? Nic podobnego! Horace znów się oburzył:

–Przecież sam tak myślałeś! – wypomniał mu.

–No... pewnie tak. Ale wtedy byłem tylko dzieckiem. – I ja też! – warknął Horacy.

Gilan z rozbawieniem przysłuchiwał się ich rozmowie. Obaj nadal w gruncie rzeczy byli młokosami. A Halt miał rację – pomyślał. Dobrze robi Willowi, jeśli spędzi nieco czasu w towarzystwie swojego rówieśnika.

–I co, poprosiłeś Haka, żeby wziął cię na swojego ucznia? – spytał Will, najwyraźniej chcąc zmienić

temat i nim Gilan zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zadał drugie pytanie: – A co on na to powiedział?

Gilan pokręcił głową.

–O nic go nie prosiłem. Po prostu poszedłem za nim pewnego dnia, gdy opuścił nasz zamek i zagłębił się w lesie.

–Poszedłeś za zwiadowcą? I to w dodatku do lasu? – zdumiał się Horace. Nie wiedział, czy ma podziwiać odwagę Gilana, czy też zdumiewać się jego nierozwagą.

–Gilan jest jednym z najlepszych w kryciu się spośród wszystkich członków Korpusu Zwiadowców – powiedział szybko Will, występując niejako w obronie naiwnego chłopaka, którym kiedyś był Gilan. – Kto wie, może jest najlepszy.

–Ale wtedy na pewno nie byłem – stwierdził Gilan. – Chociaż wydawało mi się, że mam o tym niejakie pojęcie. Jak małe – przekonałem się na własnej skórze, kiedy próbowałem podejść Haka, gdy zatrzymał się na popas. Nagle ktoś złapał mnie za kołnierz i wrzucił do strumienia.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

–Pewnie odesłał cię potem do domu i najadłeś się wstydu? – spytał Horace, ale Gilan znów potrząsnął głową, wciąż z uśmiechem wspominając tamten odległy dzień.

–Nie, przeciwnie. Pozwolił mi zostać ze sobą przez tydzień. Powiedział, że nie najgorzej radziłem sobie, skradając się przez las i że może mam nawet jakieś uzdolnienia w kierunku krycia się. Zaczął mnie uczyć różnych rzeczy, a gdy tydzień minął, byłem już jego czeladnikiem.

–Ale co na to powiedział twój ojciec? – zainteresował się Will. – Przecież na pewno chciał, żebyś był rycerzem, tak jak on. Pewnie był zawiedziony?

–Przeciwnie – odparł Gilan. – A najdziwniejsze z tego wszystkiego było to, że Halt powiedział mi przed odejściem: „Chłopak pewnie będzie próbował pójść za mną w las”. Mój

ojciec zgodził się, że bym został uczniem Halt, o ile ten uzna mnie za odpowiedniego kandydata. Wówczas nie miałem o tym pojęcia.

Horace zmarszczył czoło.

–Skąd Halt mógł wiedzieć, że będziesz chciał go śledzić? Gilan wzruszył ramionami i zerknął znacząco na Willa.

–Halt ma swoje sposoby i różne rzeczy po prostu wie. No nie, Willu? – spytał z uśmiechem. Will przypomniał sobie tamtą mroczną noc w gabinecie barona i rękę, która w ciemnościach schwyciła go za nadgarstek. Halt czekał wówczas na niego, a wiele lat wcześniej wyraźnie oczekiwał, że Gilan będzie usiłował podążać jego tropem.

Spoglądając w żarzący się ogień, odpowiedział po chwili namysłu:

–Kto wie, może na swój sposób rzeczywiście jest magiem – przyznał.

Trzej towarzysze siedzieli w milczeniu jeszcze kilka chwil, rozmyślając. A potem Gilan przeciągnął się i ziewnął.

–Spać mi się chce – oznajmił. – Czasy są niespokojne, więc będziemy wystawiać warty. Willu – ty

pierwszy, potem Horace, potem ja. Dobranoc, chłopaki.

To mówiąc, zawinął się w swój szarozielony płaszcz, a już po chwili oddychał równo i głęboko.

Rozdział 5

Znów wyruszyli w drogę, nim słońce jeszcze zdołało wzejść na dobre ponad horyzont. Chmury rozeszły się już, rozwiane chłodnym, wiejącym z południa wiatrem; powietrze było rześkie i zimne, gdy zaczęli piąć się po skalistych zboczach krętą drogą wiodącą do Celtii. Drzewa stawały się coraz

bardziej przycupnięte i karłowate, źdźbła trawy coraz bardziej chropowate, a z czasem gęsty las zaczął ustępować miejsca wychlostanej wichrem kosodrzewinie. W tej okolicy wicher hulał bez przerwy i widać było, że ukształtował krainę, którą przemierzali. Nieliczne, oddalone domy przytulone były do zbocza wzgórz. Wznoszono je z kamieni, a strome dachy pokrywano łupkiem. To była zimna, surowa część królestwa, a Gilan powiedział im, że im dalej w stronę Celtii, tym krajobraz staje się bardziej dziki. Następnego wieczoru, gdy wypoczęli już przy rozpalonym ognisku, Gilan udzielił Horace'owi kolejnej lekcji szermierki.

–Najważniejsze jest zgranie wszystkiego w czasie -przemawiał do spoconego ucznia. –
Zobacz, robisz

zasłony, usztywniając i napinając całe ramię, zauważyłeś?

Horace popatrzył na swoją prawą rękę. W rzeczy samej, ramię było zablokowane, sztywne jak deska. Skrzywił się, bo z czasem stawało się to naprawdę męczące.

–Ale przecież muszę być gotów na odparcie twojego uderzenia – stwierdził, tłumacząc się. Gilan cierpliwie pokiwał głową, a potem jeszcze raz pokazał mu, co ma na myśli.

–Patrz uważnie... Widzisz, jak ja to robię? Gdy ty mi zadajesz cios, moja dłoń i ramię są rozluźnione, dopiero w ostatniej chwili, gdy twoja głownia znajduje się w miejscu, gdzie chcę ją powstrzymać, wykonuję nieznaczne przeciwuderzenie, widzisz?

Co też uczynił, wykonując nieznaczny ruch, a ostrze jego miecza zatoczyło niewielki łuk.

–Zaciskam dłoń na rękojeści dopiero pod sam koniec, natomiast większość impetu twojego uderzenia

przechwytuje moje ostrze, poruszające się właściwie bezwładnie.

Horace nie był przekonany. Gilanowi przychodziło to z wyraźną łatwością, natomiast...

–No dobrze, ale co będzie, jeśli się spóźnię? Gilan uśmiechnął się od ucha do ucha.

–Cóż, wtedy najprawdopodobniej wróg utnie ci lepetynę – zauważył. Horace'owi najwyraźniej ta odpowiedź nie przypadła do gustu. – Cała zabawa polega na tym, żeby się jednak nie spóźnić -objął życzliwie Gilan.

–Ale... – zaczął znowu chłopak.

–Ale sposobem na to, by osiągnąć właściwe wyczucie czasu jest...? – Gilan zawiesił głos. Horace już wiedział:

–Tak, tak. Ćwiczyć. Gilan znów obdarzył go promiennym uśmiechem.

–No widzisz. Oczywiście. Jesteś gotów? Raz i dwa, i trzy... i cztery, już lepiej, i trzy, i cztery... nie! Nie! Tylko nieznaczny ruch nadgarstka... I raz i dwa...

W powietrzu rozbrzmiewał szcęk ich mieczy. Will przyglądał się treningowi z zainteresowaniem i nie bez pewnej satysfakcji, bowiem zrozumiał, że nie tylko on musi wciąż ćwiczyć do siódmych potów.

Gdy minęło kilka dni, Gilan zorientował się, że Will trochę zanadto się leni. Młodzieniec siedział właśnie przy ognisku i wyglądał oselką ostrze swojego miecza po ćwiczeniach z Horace'em, gdy spojrzenie jego spoczęło na drobnej postaci przyszedłego zwiadowcy.

–Ejże, a czy Halt pokazał ci już obronę przed mieczem za pomocą dwóch noży? – spytał nagle. Zaskoczony Will drgnął.

–Co takiego... za pomocą dwóch noży? – spytał niepewnie.

Gilan westchnął ciężko.

–Obronę przed mieczem. Niech to! Mogłem się domyślić, że czeka mnie więcej roboty.

Dobrze mi

tak, po co brałem ze sobą aż dwóch uczniów. – Powstał z przesadnym westchnieniem i dał

Willowi

znak, by poszedł za nim. Zdumiony chłopiec nie protestował.

Gilan poprowadził go na polankę, gdzie przedtem odbywał ćwiczenia szermiercze z Horace'em. Rycerski czeladnik wciąż prowadził tam walkę z cieniem, zadając uderzenia nieistniejącemu przeciwnikowi i licząc sobie pod nosem rytm walki. Po twarzy splotywał mu pot, a jego koszula była cała mokra.

–Dobrze, Horace! – zawołał Gilan. – Zrób sobie przerwę.

Zmęczonemu Horace'owi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Opuścił miecz i opadł ciężko na pień powalonego drzewa.

–Chyba zaczynam łapać, o co w tym wszystkim idzie – stwierdził.

–Tym lepiej dla ciebie. Jeszcze trzy czy cztery lata, a opanujesz tę sztukę – rzekł Gilan tonem radosnym i zachęcającym, ale oblicze Horace'a wydłużyło się na myśl o długich latach ciężkiej pracy, które go czekały.

–Spójrz na to z drugiej strony – zwrócił mu uwagę Gilan. – Wtedy w całym królestwie będzie zapewne tylko kilku szermierzy, którzy zdołaliby cię zwyciężyć w pojedynku.

Horace rozchmurzył się na chwilę, ale znów zmarkotniał, gdy Gilan dodał:

–Sztuka polega jedynie na tym, by zdołać ich rozpoznać. Głupio by było przez przypadek wyzwać

jednego z nich i dowiedzieć się o tym dopiero poniewczasie, nieprawdaż?

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do mniejszego z chłopców:

–A teraz, Willu – powiedział – przyjrzyjmy się twoim nożom.

–Obu? – spytał na wszelki wypadek Will, a Gilan uniósł oczy ku niebu. Przybrał przy tym wyraz twarzy zdumiewająco podobny do min Halta, kiedy Will zadał o jedno pytanie za wiele.

–No tak... wybacz – mruknął Will, dobywając z pochwy noże i podając je Gilanowi. Starszy zwiadowca nie wziął ich do ręki, tylko przyjrzał się ostrzom i sprawdził, czy są należycie wyostrzone i pokryte warstewką oliwy chroniącej przed rdzą. Gdy przekonał się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, zakomenderował:

–Dobra jest. Saksę trzymasz w prawej ręce, bo to nią blokujesz uderzenie miecza... Will zmarszczył brwi.

–Ale dlaczego miałbym blokować uderzenie miecza? Gilan pochylił się i stuknął go wcale nie tak delikatnie knykciami w czubek głowy.

–No, może dlatego, że ktoś mógłby chcieć uciąć ci głowę, nie? Powód równie dobry, jak każdy inny -wyjaśnił.

–Ale Halt powiada, że my, zwiadowcy, nie bierzemy udziału w bezpośredniej walce – zaprotestował Will.

–Z pewnością, nie na tym polega nasza rola – przyznał Gilan. – Jednak jeśli się zdarzy, że

jesteśmy do tego zmuszeni, lepiej mieć pojęcie, jak sobie wtedy radzić.

Horace, który odsapnął już trochę, wstał z pnia, podszedł do nich i zaczął przysłuchiwać się tej wymianie zdań. W pewnym momencie wtrącił:

–Nie chcesz mi chyba wmówić, że taki mały nóż może powstrzymać cięcie prawdziwego miecza? –

Ton jego głosu brzmiał dość lekceważąco.

Gilan uniósł jedną brew.

–Przyjrzyj się dokładniej temu małemu nożowi, a może zmienisz zdanie – zaproponował.

Horace wyciągnął rękę po nóż. Will szybkim ruchem odwrócił go i wsunął rękojeść w dłoń Horace'a. Will musiał przyznać Horace'owi rację: co prawda saksa rzeczywiście nie jest byle jakim małym nożem, a raczej przypomina krótki miecz, ale w porównaniu z prawdziwym mieczem, takim jak oręż Horace'a czy Gilana, wygląda raczej żałośnie.

Horace machnął na próbę saksą, sprawdzając, jak jest wyważona.

–Ciężki – stwierdził.

–I twardy. Bardzo, bardzo twardy – powiadomił go Gilan. – Noże zwiadowców wytwarzane są przez rzemieślników, którzy do perfekcji opanowali sztukę utwardzania stali. Stępiłbyś na nim swój miecz, a na ostrzu tej saksy nie byłoby nawet ryski.

Horace nie zamierzał ustąpić tak łatwo.

–Może i tak, ale już od tygodnia wpajasz mi zasady ruchu oraz dźwigni – tymczasem przy tak krótkiej głównej ramieniu dźwigni jest zdecydowanie krótsze.

–Słuszna uwaga – zgodził się Gilan. – Tak więc potrzebować będziemy jakiegoś punktu podparcia, nieprawdaż? I tu przychodzi nam z pomocą krótszy nóż, ten do rzucania.

–Nadal nie rozumiem – rzekł Horace, marszcząc brwi coraz bardziej. Will także nie pojmował, ale dobrze chociaż, że jego przyjaciel jako pierwszy przyznał się do swojej niewiedzy. Zrobił więc przemądrzałą minę i czekał, aż Gilan wszystko wytłumaczy. Przeliczył się, bo mało co umykało bystrym oczom zwiadowcy.

–W takim razie może Will mógłby ci wytłumaczyć? – rzucił Gilan kpiącym tonem. Przechylił głowę na bok, spoglądając na Willa wyczekująco.

–No, tego... – zawahał się Will – chodzi o... no... tę tam, obronę za pomocą dwóch noży – wyjąkał. Nastąpiła dłuższa pauza, podczas której Gilan nic nie mówił, więc Will dodał już mniej pewny siebie:

–A co, nie?

–No jasne, że tak! – ucieszył się Gilan. – Może zechciałbyś ją zademonstrować? – Nawet nie czekając na odpowiedź Willa, mówił dalej: – Tak myślałem, że nie zechcesz. Pozwól więc, że ja to uczynię.

Wziął sakse Willa od Horace'a i dobył własnego noża do rzucania, a potem dał nim znak Horace'owi.

–Do rzeczy – polecił. – Dobądź swojego oręża. Horace zrobił to, ale z ociąganiem. Gilan wskazał mu

środek polanki, na której ćwiczyli, a potem stanął w postawie gotowości bojowej. Horace zrobił to samo, z głownią miecza uniesioną ku górze.

–A teraz – rozkazał Gilan – spróbuj cięcia z góry. – Ale... – chłopak wskazał ruchem miecza żałośnie krótką broń w rękach Gilana, miał przy tym bardzo zakłopotaną minę. Gilan

tylko westchnął ciężko.

–Kiedyż wreszcie dotrze do waszych mózdków, że wiem, co robię. A teraz ruszaj się, do roboty! – wrzasnął na Horace'a.

Rosły chłopak, któremu już od długich miesięcy wpajano konieczność natychmiastowego posłuchu wobec wykrzykiwanych poleceń, odebrał to jako rozkaz i natychmiast, machinalnie wykonał mordercze cięcie, mierząc w głowę Gilana. Znow zadźwięczała stal i głównia miecza znieruchomiała w powietrzu. Gilan skrzyżował oba noże przed sobą, podtrzymując ostrze saksy klingą krótszego noża, co pozwoliło mu bez trudu zasłonić się przed ciosem. Horace cofnął się, zaskoczony.

–Teraz rozumiesz? – upewnił się Gilan. – Mniejszy nóż zapewnia naszej dźwigni punkt oparcia i

unieruchamia miecz przeciwnika – kierował te słowa głównie do Willa, który przyglądał się pokazowi

z wielkim zainteresowaniem, a potem znow odezwał się do Horace'a: – Doskonale. Teraz od dołu,

poproszę.

Horace uderzył. Gilan znow złączył klingi obu noży i sparował uderzenie. Rzucił okiem w stronę Willa, który skinął głową na znak, że rozumie, o co chodzi.

–A teraz z boku – poleciał Gilan. Horace znow uderzył i znow jego miecz znieruchomiał, zablokowany przez dwa noże.

–Zaczynasz pojmować? – spytał Gilan Willa.

–Tak. A co z pchnięciem? – spytał chłopak. Gilan skinął głową z uznaniem.

–Masz słuszość, dobre pytanie. W tym wypadku sprawy mają się nieco inaczej. – Gilan zwrócił się do Horace'a: – Nawiasem mówiąc, jeśli zdarzy ci się mieć do czynienia z kimś posługującym się w miarę zręcznie dwoma nożami, pchnięcia są właśnie najbezpieczniejszą i najskuteczniejszą formą ataku. A teraz poproszę o pchnięcie.

Horace zrobił wypad szermierczy, czyli wykonał pchnięcie wraz z krokiem do przodu, dodając uderzeniu dodatkowego impetu. Tym razem Gilan posłużył się tylko dłuższym z noży, odbijając na bok atakujący miecz, którego ostrze przesunęło się obok, zgrzytając metalicznie o klingę saksy.

–Czegoś takiego powstrzymać się nie da – poinformował Willa. – Trzeba więc skierować pchnięcie w

inną stronę. Na szczęście w pchnięciu nie ma tak wielkiej siły jak w cięciu, toteż wystarczy nam

pojedyncze ostrze.

Ponieważ pchnięcie Horace'a nie napotkało właściwie żadnego oporu, chłopak stracił równowagę. Gilan w jednej chwili pochwycił go za koszulę i przyciągnął do siebie, tak że ich ramiona niemal się zetknęły. Zdarzyło się to tak prędko i zwiadowca dokonał tego z taką łatwością, że oczy Horace'a rozwarły się szeroko ze zdumienia.

–A tutaj właśnie krótszy nóż bardzo nam się przyda – zauważył Gilan i zamarkował uderzenie w

nieosłonięty bok pod wyciągniętym ramieniem Horace'a.

Teraz oczy chłopaka rozwarły się jeszcze szerzej, gdy w pełni pojął znaczenie tego, co mu

właśnie pokazano.

–Oczywiście, jeśli nie chcesz zabić przeciwnika albo jeśli ma na sobie kolczugę czy zbroję, zawsze

możesz posłużyć się saksą, żeby go okaleczyć.

Wykonał krótkie cięcie w tył kolana Horace'a, zatrzymując ciężkie i ostre jak brzytwa narzędzie kilka cali od jego nogi.

Horace poruszył się niespokojnie, ale lekcja nie była jeszcze skończona.

–Pamiętaj też – dodał radosnym tonem Gilan – że jeśli nie wypuścisz kołnierza przeciwnika z lewej

dłoni, trzymasz w niej jednocześnie bardzo niebezpieczny i ostry przyrząd – poruszył krótkim nożem o

szerokiej klindze, by zwrócić na nią ich uwagę. – Szybkie pchnięcie pod szczękę i żegnaj, dzielny

szermierzu. Zrozumiano?

Will pokręcił z podziwem głową.

–To niesamowite, Gilanie! – wykrzyknął. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Gilan wypuścił z ręki koszulę Horace'a, a chłopak cofnął się czym prędzej w obawie, że zwiadowca jeszcze na wiele sposobów zdoła wykazać jego bezbronność.

–Nie przechwalamy się szczególnie takimi sztuczkami – przyznał zwiadowca. – Zawsze to lepiej, żeby

nasz ewentualny przeciwnik nie zdawał sobie sprawy z tego, do czego przydać się mogą dwa noże –

rzucił przepaszające spojrzenie Horace'owi. – Rzecz jasna, w Szkołach Rycerskich królestwa uczą

cię tych sztuczek, ale dopiero w trakcie drugiego roku.

Will wyszedł na środek polanki.

–Mogę spróbować? – dobił już krótszego noża, nie mogąc się doczekać, by zastosować nowo poznaną technikę.

–No jasne – zapewnił go Gilan. – Właściwie od teraz możecie co wieczór ćwiczyć razem. Ale nie prawdziwą bronią. Sporządźcie sobie broń ćwiczebną z patyków.

Horace uznał, że to mądra decyzja.

–On ma słuszość, Willu – stwierdził. – Przecież dopiero zaczynasz się tego uczyć, a ja nie chciałbym

ci zrobić krzywdy – zastanowił się przez krótką chwilę i dodał z uśmiechem: – Przynajmniej niezbyt

wielkiej.

Uśmiech jego zbladł jednak, gdy Gilan skorygował nieco jego słowa.

–Owszem, to jeden z powodów – zgodził się zwiadowca – ale jest też drugi, mianowicie nie mamy tyle

czasu, żebyś mógł ostrzyć swój miecz na nowo każdego wieczoru.

Popatrzył znacząco na głównię miecza Horace'a. Czeladnik rycerski podążył za jego wzrokiem, a to, co ujrzał, sprawiło, że jęknął cicho. Na ostrzach jego klingi widoczne były trzy głębokie szczyrby, najwidoczniej powstałe w kontakcie z parującą uderzenia saksą. Spojrzał

więc na głownię ciężkiego noża w nadziei, że i tam ujrzy podobne uszkodzenia. Gilan pokręcił jednak głową i podsunął mu pod nos szeroką głownię.

– Ani śladu – oznajmił wesołym tonem. – Pamiętasz? Mówilem ci, że noże zwiadowców wykonane są ze specjalnej stali.

Horace tymczasem doskonale zdawał sobie sprawę, że czeka go co najmniej godzina mozolnego szlifowania i ostrzenia własnej klingi. Tak więc z nosem na kwintę sięgnął do swego tobołka po ostrzałkę do miecza, siadł na piasku i zaczął przesuwać nią miarowo tam i z powrotem.

– Gilanie – odezwał się Will. – Zastanawiam się...

Gilan uniósł brwi w udawanej desperacji. I znów wyraz jego twarzy nieodparcie przywodził Willowi na myśl Haka.

– Z tobą są ciągle jakieś kłopoty – poskarżył się zwiadowca. – No dobrze, nad czym to się zastanawiałaś?

– Wiesz – zaczął Will powoli – ta sztuka z dwoma nożami to świetna rzecz, ale czy przypadkiem nie byłoby lepiej po prostu zastrzelić szermierza z łuku, nim zdola podejść na tyle blisko, żeby użyć miecza?

– O tak, Willu. Z pewnością byłoby znacznie lepiej – zgodził się pobłażliwie Gilan. – Co jednak zrobisz, jeśli akurat pęknie ci cięciwa?

– Pewnie spróbuję uciec i ukryć się – odpowiedział Will, ale Gilan nie dał się przekonać.

– A jeśli nie będzie dokąd uciec? Wyobraź sobie, że za plecami masz przepaść. Jeszcze krok i po tobie. Cięciwa twojego łuku właśnie pękła, a przed sobą masz groźnego przeciwnika uzbrojonego w miecz. Cóż wtedy?

Will potrząsnął głową.

– No tak, pewnie wtedy musiałbym walczyć – przyznał niechętnie.

– Otóż to – stwierdził Gilan. – Unikamy walki wręcz, jeśli to tylko możliwe. Czasem jednak bywa, że nie ma innego wyboru, więc jednak lepiej być przygotowanym, prawda?

– Pewnie tak – przyznał Will. Do rozmowy znów wtrącił się Horace:

– A co, jeśli trafi się topornik? – spytał. Gilan zerknął ku niemu, jakby tym razem nie miał przygotowanej odpowiedzi.

– Topornik? – powtórzył.

– No właśnie – rzekł Horace. – Człowiek uzbrojony w topór. Czy wasze noże przydają się na coś w starciu z przeciwnikiem, który wyposażony jest w topór bojowy?

Gilan zawahał się.

– Nie radziłbym nikomu stawać przeciw bojowemu toporowi, mając do dyspozycji tylko dwa noże.

– To co mam robić? – spytał Will. Gilan spoglądał to na jednego, to na drugiego z chłopców. Miał dziwne wrażenie, że ktoś usiłuje sobie z niego zakpić.

– Masz go zastrzelić – stwierdził krótko. Will pokręcił głową i rozłożył bezradnie ręce.

– Ale nie mogę – przypomniał. – Pękła cięciwa.

– No to uciekaj, schowaj się gdzieś – rzucił Gilan przez zaciśnięte zęby.

– A przepaść? – zaoponował Horace. – Za plecami ma urwisko, a przed sobą groźnego topornika.

–I co teraz ze mną? – nalegał Will. Gilan westchnął ciężko i popatrzył na nich obu, spoglądając im po kolei w oczy.

–Skacz do przepaści. Tak będzie prościej i schludniej.

Rozdział 6

Gdzie, do diabła, są wszyscy? Gilan ściągnął wodze Blaze'a, rozglądając się po opuszczonym posterunku granicznym. Przy drodze wznosił się niewielki budynek strażnicy, w którym przed wiatrem schronić mogło się dwóch lub trzech mężczyzn. Nieco dalej widać było większy dom, jakby koszary. Zazwyczaj takiego niewielkiego i odległego posterunku strzegłoby z pół tuzina ludzi mieszkających w większym budynku i obejmujących kolejne warty w przydrożnej strażnicy.

Podobnie jak większość budowli w Celtii, obie budowle wzniesione były z szarego, wygładzonego przez rzekę łupku, którego nie brak było w okolicy, a który łatwo się rozwarstwia – i pokryte dachówkami z tego samego materiału. Celtia nigdy nie obfitowała w drewno. Nawet do palenia ognia używano najczęściej węgla lub torfu. Jeśli zaś drewno było dostępne, zużywano je do stemplowania tuneli i galerii w kopalniach rudy żelaza oraz węgla.

Will rozglądał się dokoła niepewnie, jakby spośród gęstych wrzosów porastających ochłostane wichrem wzgórze nagle miała się na nich rzucić cała horda Celtów. Wokół panowała niemal całkowita cisza, a było w niej coś niepokojącego. Żadnego dźwięku, tylko świst wiatru.

–Może trafiliśmy na porę między wartami? – odezwał się; jego słowa wybrzmiały nienaturalnie głośno.

Gilan potrząsnął głową.

–To posterunek graniczny. Powinien być pilnowany przez cały czas.

Zsunął się z siodła, dając jednocześnie znak Willowi i Horace'owi, by nie zsiadali ze swych wierzchowców. Wyrwij, który wyczuł nastrój Willa, zaczął nerwowo przebierać nogami. Chłopak poklepał konika po szyi, aby go uspokoić; Wyrwij na dotyk swego pana zareagował czujnym postawieniem uszu i potrząśnięciem łba, jakby chciał powiedzieć, że nie boi się nikogo i niczego.

–Może ktoś ich napadł i wyparł z tej strażnicy? – zasugerował Horace. Will już wcześniej zauważył, że jak przystało na ucznia Szkoły Rycerskiej, wszystko kojarzy mu się z działaniami wojennymi.

Gilan pchnął drzwi strażnicy i zajrzał do środka.

–Być może – rzekł, rozglądając się po wnętrzu. – Nie widać jednak żadnych śladów walki.

Oparł się o framugę. Wnętrze składało się z jednego pomieszczenia umeblowanego jedynie stołem i dwiema prostymi ławami. Nie było widać żadnego śladu, który wskazywałby, dokąd udali się strażnicy.

–To przejście graniczne o niewielkim znaczeniu – stwierdził po namyśle. – Być może Celtowie po

prostu zrezygnowali z obsadzania go? Bądź co bądź, między Araluenem a Celtią już od trzydziestu lat

panuje pokój.

Odsunął się od framugi i wskazał kciukiem w stronę większego budynku.

–Może tam uda się nam czegoś dowiedzieć.

Obaj chłopcy zeskoczyli z siodła. Horace przywiązał wodze swojego konia i jucznego luzaka do drewnianego szlabanu, który można było opuścić, aby zagrozić drogę. Will po prostu

pozwoił, by wodze Wyrwija opadły swobodnie na ziemię. Dla konika oznaczało to komendę „zostań”. Chłopak dobył luku ze skórzanego sajdaka i przerzucił go przez ramię. Rzecz jasna, cięciwa była już nałożona. Zwiadowcy zawsze podróżowali z lukami gotowymi do użytku. Dostrzegłszy ten gest, Horace poluzował nieco miecz w pochwie i obaj ruszyli za Gilanem w stronę budynku garnizonu.

W środku panował porządek i ład, ale nie było nikogo. Jednak z niektórych oznak można było wywnioskować, że lokatorzy opuścili koszary w pośpiechu. Na stole stało kilka talerzy z zaschniętymi resztkami jedzenia, kilka szafek było otwartych. Na podłodze sypialni leżały różne części ubrań, jakby ich właściciele w pośpiechu upychali rzeczy do tobołków; na większości pryczy brakowało koców.

Gilan przesunął palcem po blacie stołu w jadalni, zostawiając zygzakowaty ślad w pokrywającej go warstwie kurzu. Przyjrzał się w zamyśleniu czubkowi palca.

–Odeszli już dość dawno temu – stwierdził. Horace, który zaglądał właśnie do malej spiżarki pod schodami, drgnął na dźwięk głosu zwiadowcy i uderzył głową o niską framugę drzwi.

–Skąd wiesz? – spytał, bardziej by zamaskować własne zmieszanie, niż z prawdziwej ciekawości.

–Celtowie bardzo cenią sobie czystość i ład – wyjaśnił Gilan. – Ten kurz musiał się tu zgromadzić pod ich nieobecność. Tak więc, na oko, to miejsce zostało porzucone mniej więcej miesiąc temu.

–Ale może jest tak, jak mówiłeś wcześniej – wtrącił Will, schodząc po schodach prowadzących do

pokoju dowódcy. – Może uznali, że nie warto pilnować tego posterunku?

Gilan w roztargnieniu skinął głową, ale widać było z jego miny, że nie jest przekonany.

–W takim wypadku nie opuściliby tego miejsca w pośpiechu. Tymczasem przyjrzyjcie się temu

wszystkiemu – jedzenie na stole, otwarte szafy, ubrania na podłodze. Kiedy likwiduje się taki

posterunek, jego załoga wszystko sprząta i zabiera swoje rzeczy ze sobą. A już Celtowie

w szczególności, bo jak mówiłem, bardzo cenią sobie porządek.

Wyszli znów na zewnątrz; Gilan spoglądał na opustoszały krajobraz w nadziei, że znajdzie tam jakieś rozwiązanie zagadki. Nie dostrzegł jednak niczego prócz ich własnych koni pasących się beztrudnie w trawie rosnącej opodal strażnicy.

–Z mapy wynika, że najbliższą miejscowością jest Pordellath – stwierdził. – Trochę nam to nie po drodze, ale może tam się czegoś dowiemy.

Do Pordellath było zaledwie pięć kilometrów. Jednak w górzystej okolicy droga wiała się po zboczach ostrymi zakrętami. Ujrzeni wioskę dopiero wtedy, gdy znaleźli się już bardzo blisko niej – wyłoniła się nagle zza kolejnego zakrętu. Było już późno i obu chłopcom głód dość porządnie dawał się we znaki: nie zatrzymali się jak zwykle na południowy posiłek, bo chcieli czym prędzej dotrzeć do posterunku granicznego, teraz zaś spieszo im było, by znaleźć się w

Pordellath. Mieli jednak nadzieję, że w wiosce jest jakiś zajazd, w którym znajdzie się ciepły posiłek i chłodny napój. Szczerze mówiąc, już nie mogli się doczekać, toteż byli niemile zdziwieni, kiedy Gilan ściągnął wodze swojego wierzchowca, ujrzawszy położoną na grzbiecie wzgórza miejscowość odległą o niespełna dwieście metrów.

–Co tu się dzieje, do wszystkich diabłów? – spytał na głos. – Zobaczcie sami!

Will i Horace również spoglądali, ale jakoś w żaden sposób nie mogli dopatrzeć się niczego, co mogło zaniepokoić młodego zwiadowcę.

–Nic nie widzę – przyznał po chwili Will. Gilan odwrócił się w jego stronę.

–No właśnie! Nic – powtórzył. – Nic, ani dymu z kominów, ani ludzi na drodze. Wioska jest opustoszała, całkiem tak samo jak strażnica!

Spiął Blaze'a kolanami; gniady koń wpadł cwałem na wyłożoną kamieniami drogę. Za nim Will, potem Horace, którego wierzchowiec zareagował na komendę chwilę później. Z głośnym tupotem kopyt przejechali pośród zabudowań, aż zatrzymali się na małym rynku.

Pordellath było niewielką miejscowością. Składało się tylko z krótkiej głównej ulicy i domów wznoszących się wzdłuż niej. Uliczka kończyła się kwadratowym placem targowym, przy którym dominowała jedna większa budowla, czyli siedziba riadhaha. Pośród Celtów riadhah był dziedzicznym przywódcą lokalnej wspólnoty – przywódcą klanu, burmistrzem i szeryfem w jednej osobie. Posiadał władzę absolutną i rządził niepodzielnie swymi poddanymi.

Tylko że teraz nie było tu żadnych poddanych. Ani też samego riadhaha. Nie było nikogo. Tylko echo końskich kopyt rozbrzmiało na wyłożonym kamieniami placu.

–Hej, jest tam kto?! – zawołał Gilan; jego głos poniósł się echem wzdłuż wąskiej uliczki, odbijając się

od kamiennych ścian domów i docierając do otaczających wioskę wzgórz.

„Kto... to... o...” – rozbrzmiewało coraz nikle, aż wreszcie ucichło. Konie znów postukiwały nerwowo kopytami. Will zawahał się, bo mogłoby to wyglądać na próbę strofowania starszego kolegi i dowódcy, czuł się jednak nieswojo, gdy tak otwarcie oznajmili swą obecność:

–Może lepiej nie robić tyle hałasu? – zasugerował nieśmiało. Gilan rzucił na niego okiem. Na chwilę, na widok najwyraźniej zażenowanego sytuacją chłopca, wrócił mu dobry humor.

–Czemu tak sądzisz? – spytał.

–No, nie wiem – odparł Will, rozglądając się niepewnie po opustoszałym placu. – Może, jeśli ktoś tych wszystkich ludzi dokądś uprowadził, lepiej by było nie dawać mu tak głośno znać o sobie...

Gilan machnął ręką.

–Obawiam się, że na takie środki ostrożności już za późno – zauważył. – Wpadliśmy tu galopem niczym królewska kawaleria, a przybyliśmy drogą, nawet nie próbując się kryć. Gdyby ktoś nas wypatrywał, dawno już by nas dostrzegł.

–No tak, chyba tak – przyznał niechętnie Will. Horace tymczasem podjechał do jednego z domów i wychylał się właśnie z siodła, próbując zajrzeć do środka przez okno. Gilan uznał to za dobrą myśl.

–Rozejrzyjmy się – stwierdził i zeskoczył z siodła. Horace'owi nie było jednak zbyt pilno, by pójść za jego przykładem.

–A co, jeżeli to jakaś zaraza?

–Zaraza? – zdziwił się Gilan. Horace nerwowo przelknął ślinę.

–Tak! Słyszałem, że dawno, dawno temu zdarzały się takie rzeczy; zaraza opustoszała całe miasta, ludzie ginęli... no... tak jak stali.

Mówiąc to odsunął się ze swym wierzchowcem od budynku, kierując się ku środkowej części placu. Will mimo woli zrobił to samo. Gdy tylko Horace wspomniał o zarazie, od razu wyobraził sobie, jak wszyscy trzej leżą martwi na tych kamieniach, ich twarze są poczerniałe, języki wywalone na wierzch, a oczy wytrzeszczone w okrutnej agonii.

–I ta zaraza przychodziła tak znikąd, po prostu z powietrza? – spytał spokojnie Gilan. Horace skwapliwie skinął kilka razy głową.

–Nikt tak naprawdę nie wie, skąd się brała – oznajmił. – Słyszałem, że to nocne powietrze niesie ze sobą mór. Albo też czasem zachodni wiatr. Skąd jednak zaraza by nie nadeszła, uderza tak szybko, że nie ma ucieczki. Po prostu umierasz tam, gdzie jesteś.

–I zaraza dotyka wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, jakie znajdą się na jej drodze? – upewnił się Gilan. Horace znów przytaknął.

–Wszystkich. Wszyscy z miejsca padają trupem! Will poczuł w gardle dziwny, suchy ucisk. Przelknął

ślinę, ale przyszło mu to z trudem. Nagle przeraził się, że może to pierwsze oznaki tej strasznej śmiertelnej choroby. Oddychał coraz szybciej i wcale nie od razu dotarł do niego sens kolejnego pytania Gilana:

–A więc mór nadchodzi z powietrza... a ciała zmarłych też rozplywają się w powietrzu? – spytał zwiadowca niewinnym tonem.

–Tak jest! Tak... – zaczął Horace, a potem zdał sobie sprawę z tego, co Gilan właśnie powiedział. Zawahał się, rozejrzał po opustoszałym rynku. Nigdzie nie było widać ani śladu zwłok ludzi dotkniętych zarazą, którzy padli trupem w jednej chwili.

Tak się złożyło, że ów nieprzyjemny ucisk w gardle Willa ustąpił w jednej chwili.

–E... no tak – podjął Horace, zdając sobie sprawę, że Gilan wykrył całkiem istotną lukę w jego

rozumowaniu. – A może to jakiś nowy rodzaj zarazy? Może właśnie taki, że ciała rozplywają się w powietrzu?

Gilan przyglądał mu się krytycznie, przechyliwszy głowę na bok.

–A może jedna czy dwie osoby przeżyły i pochowały wszystkie zwłoki? – Horace wyraźnie znalazł

nowe rozwiązanie.

–I gdzie są teraz te osoby? – zainteresował się Gilan. Horace wzruszył ramionami.

–Może było im tak smutno, że nie mogli już znieść więcej tego miejsca – powiedział, broniąc do

ostatka obalonej już teorii.

Gilan pokręcił głową.

–Zapewniam cię, Horace, że cokolwiek skłoniło mieszkańców do opuszczenia swych domostw, nie stało się to z przyczyny zarazy – spojrzał na ciemniejące szybko niebo. – Robi się późno. Rozejrzyjmy się, a potem poszukajmy jakiegoś miejsca, w którym spędzimy noc.

–Tutaj? – spytał Will niepewnym głosem. – W tej wiosce?

–W tej wiosce. Chyba że masz ochotę nocować na wzgórzach. Niełatwo tam o schronienie,

a nocą w tych okolicach najczęściej pada deszcz. Osobiście wolałbym spędzić noc pod dachem – nawet pod dachem opustoszałego domostwa.

–Ale... – Will urwał, bo właściwie nie wiedział, co ma powiedzieć.

–Jestem pewien, że twój wierzchowiec także wolałby wypocząć pod dachem niż na deszczu – dodał Gilan, co ostatecznie Willa przekonało. Musiał przede wszystkim dbać o Wyrwij a i nieładnie byłoby skazać konika na noc w deszczu tylko dlatego, że jego właściciel lęka się opuszczonych domów. Skinął więc głową i zeskoczył z siodła.

Rozdział 7

W Pordellath nie znaleźli ani śladu odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Trzej towarzysze przemierzali całą wioskę, wszędzie natykając się na znaki świadczące o tym, że mieszkańcy wynieśli się stąd w niemałym pośpiechu. Najwyraźniej szybko spakowali najniezbędniejsze przedmioty, wszystko inne pozostawiając na miejscu: narzędzia, naczynia kuchenne, ubrania, meble... i wszystko inne. Nie sposób jednak było wywnioskować, dokąd to udali się mieszkańcy Pordellath ani czemu opuścili swą wioskę.

Zaczął się już na dobre ściemniać, więc Gilan zarządził koniec poszukiwań. Wrócili do domu riadhaha, zadbali o schronienie dla koni, które umieścili w niewielkiej szopie przylegającej do budynku, rozsiadłali je i oporzadzili.

Spędzili niespokojną noc. Przynajmniej Will czuł się nieswojo i zdawało mu się, że podobnie było z Horace'em; co do Gilana, to nie sprawiał wrażenia szczególnie niespokojnego, bo gdy Will zluzował go po jego warcie, zwiadowca czym prędzej owinał się płaszczem i natychmiast zasnął. Jednak nawet Gilan zdawał się bardziej przygnębiony niż zwykle i Will odnosił wrażenie, że cała ta sytuacja napawa zwiadowcę większą troską, niż chciał po sobie pokazać.

Pełniąc swoją wartę, Will nie mógł się nadziwić, ile hałasów rozlega się w pustym domu. Skrzypiały drzwi, trzeszczały podłogi, a nawet sufit wydawał jakiś bliżej nieokreślony dźwięk za każdym podmuchem wiatru na zewnątrz. Przy tym na zewnątrz, jak się okazało, znajdowało się całe mnóstwo luźnych przedmiotów, które również tłukły się i trzaskały, toteż Will bez przerwy pozostawał w napięciu, siedząc przy nieoszkłonym oknie frontowego pokoju domu i spoglądając przez szpary w drewnianych okiennicach.

Wszystko wskazywało na to, że księżyc również uznał za stosowne, by go postraszyć, bowiem gdy uniósł się wysoko nad wioskę, za jego sprawą między domami powstały długie, głębokie cienie i Willowi wciąż zdawało się, że chwyta kątem oka ruch kogoś z nich – ruch, który zamierał, gdy tylko kierował spojrzenie w tamtą stronę.

Jeszcze więcej zaczęło się dziać, gdy nadciągnęły chmury, które już to zasłaniały, już to odsłaniały błądy krąg księżyca, na przemian to pograżając plac w głębokich ciemnościach, to rozświetlając go na nowo.

Zgodnie z zapowiedzią Gilana nieco po północy zaczęło padać, więc przybyło też odgłosów takich jak szmer cieknącej wody, kapanie kropli spływających po okapach i wpadających do kałuży.

Will obudził Horace'a i przekazał mu wartę około drugiej w nocy. Ułożył stos koców i poduszek na podłodze największego pokoju, owinał się płaszczem, położył się – a potem leżał tak jeszcze z półtorej godziny, nie mogąc usnąć, nasłuchując bulgotu wody i odgłosów domu oraz zastanawiając się, czy Horace przypadkiem nie usnął i może właśnie w tej chwili jakieś niepojęte krwiożercze i niepowstrzymane okropieństwo zbliża się do domu.

Takie rozmyślenia towarzyszyły mu, kiedy wreszcie zapadł w sen.

Wyruszyli w drogę wcześniej następnego ranka. Deszcz ustał tuż przed świtem, a Gilan zamierzał jak najszybciej dotrzeć do Gwyntaleth, pierwszego większego miasta, jakie znajdowało się na ich drodze. Chciał się bowiem czegoś wreszcie dowiedzieć. Szybko zjedli zimne śniadanie, obmyli się lodowatą wodą ze studni, osiadłali wierzchowce i ruszyli naprzód.

Z początku jechali wolno kamienistą drogą, bo powierzchnia była nierówna, ale kiedy znów

znaleźli się na gościńcu, przeszli do kłusu. Utrzymywali takie tempo przez dwadzieścia minut, potem zwalniali na następne dwadzieścia, by dać wypocząć koniom. Podróżowali w tym rytmie przez cały poranek.

W południe zjedli szybki posiłek i znów dosiedli koni. Ich droga wiodła przez główny teren górniczy Celtii. Minęli więc co najmniej tuzin kopalni węgla lub żelaza: były to wielkie czarne otwory ziejące w zboczach gór, a w ich pobliżu wznosiły się stosy drewnianych bali i kamienne budynki. Nigdzie jednak nie dostrzegli ani jednej oznaki życia. Zupełnie jakby mieszkańcy Celtii po prostu znikli z powierzchni ziemi.

–Mogli porzucić strażnicę, a nawet i wioskę czy dwie – mruknął w pewnej chwili Gilan, właściwie do siebie samego. – Nigdy jednak nie słyszałem, by Celtowie opuścili kopalnię, o ile pozostała w niej choć uncja rudy żelaza.

Wreszcie późnym popołudniem wyjechali na kolejny grzbiet i ujrzeli przed sobą dolinę, a w niej równe rzędy kamiennych dachów: Gwyntaleth. Pośrodku miasta wznosiła się wieżyczka świątyni –Celtowie wyznawali swoją własną religię, w której główną rolę odgrywali bogowie ognia i żelaza. O wiele potężniejsza wieża stanowiła główny element zabudowy obronnej miasta.

Byli jeszcze o wiele a daleko, by stwierdzić, czy po ulicach chodzą ludzie, ale tak samo jak poprzednio z kominów nie unosił się dym, a co więcej – jak stwierdził Gilan – nie dobiegały ich żadne odgłosy.

–Odgłosy? – zdziwił się Horace. – Na przykład jakie?

–Walenia młotem, kucia – odpowiedział zwięźle Gilan. – Pamiętajcie, że Celtowie nie tylko wydobywają rudę żelaza, ale zajmują się też obróbką metalu. Wiatr wieje z południowego zachodu, więc nawet z tej odległości powinniśmy już słyszeć pracujące kuźnie.

–W takim razie przekonajmy się – rzekł Will i już miał pognać Wyrwija naprzód, gdy Gilan powstrzymał go ruchem ręki.

–Myślę, że lepiej będzie, jeżeli sam udam się na zwiady – rzekł powoli, nie spuszczać z oczu miasta rozciągającego się u ich stóp w dolinie. Will uniósł brwi ze zdziwienia.

–Sam? – spytał.

–Zdaje się, że to ty powiedziałeś wczoraj, że wjeżdżając do Pordellath narobiliśmy zbyt wiele hałasu. Chyba rzeczywiście już czas, żebyśmy zaczęli zachowywać nieco więcej ostrożności. Coś tu się dzieje, a ja bardzo chciałbym wiedzieć co.

Will musiał przyznać mu rację, bowiem zdawał sobie sprawę, że właśnie Gilan jest najodpowiedniejszą osobą, by dowiedzieć się czegoś, samemu pozostając niezauważonym. Wszak pośród zwiadowców był mistrzem w sztuce krycia się, a ci nie mieli sobie pod tym względem równych w całym królestwie.

Gilan kazał im zjechać z boczem w dół po stronie przeciwnej niż miasto. Znaleźli tam niewielką kotlinę, w której mogli skryć się i gdzie byli osłonięci od wiatru.

–Zaczekajcie tutaj – polecił im. – Nie palcie ognia. Dopóki nie dowiemy się, w czym rzecz, będziemy

musieli zadowolić się zimnymi posiłkami. Powiniennem wrócić tu po zmierzchu.

Po czym zawrócił Blaze'a i udał się z powrotem na grzbiet wzgórza, którądy wiodła droga

prowadząca do Gwyntaleth.

Will i Horace zajęli się tymczasem rozkładaniem prowizorycznego obozowiska. Nie mieli wiele do roboty. Wystarczyło przymocować plandekę do gałęzi kolczastych krzewów wyrastających z kamiennej ściany żlebu i przygnieść drugi jej koniec kamieniami. Tych akurat nie brakowało. Zyskali dzięki temu coś na kształt schronienia, gdyby znów zaczęło padać. Potem przygotowali ognisko. Nie rozpalili go, bo polecenie Gilana było aż nadto wyraźne, jednak chcieli być gotowi na wypadek, gdyby wrócił zziębnięty w środku nocy i zmienił zdanie.

Najwięcej czasu zajęło im zgromadzenie odpowiedniej ilości drewna na opał. Właściwie do dyspozycji mieli tylko krzaki wrzosu rosnące na zboczach wzgórza. Ich korzenie i gałęzie były twarde, ale za to paliły się znakomicie. Obaj chłopcy nacięli ich pod dostatkiem; Horace posługiwał się przy tym toporkiem, który miał w swym tobołku, a Will długim nożem. Gdy uporali się już z pracami gospodarczymi, siedli po obu stronach nierozpalonego ogniska oparci plecami o kamienie. Will przez kilka minut przesuwiał oselką wzdłuż klingi długiego noża, przywracając jej nieskazitelną ostrość.

–Naprawdę wolę obozować w lesie – oznajmił Horace, poprawiając się po raz dziesiąty, bo kamienne

oparcie niemiłosiernie gniotło go w plecy.

Will w odpowiedzi tylko coś mruknął. Jednak Horace'owi się nudziło, więc gadał dalej, głównie dlatego, że nie miał nic innego do roboty.

–W lesie przynajmniej jest pełno drewna, wystarczy wyciągnąć rękę. Suche gałęzie same spadają z drzew.

–No, nie ma tak, żeby ci leciały prosto do rąk – zauważył Will. On też podjął rozmowę właściwie wyłącznie z nudów; tak naprawdę nie miał nic szczególnego do powiedzenia...

–Nie, do rąk nie. Zazwyczaj spadły już wcześniej i czekają na ciebie – stwierdził Horace. – Ponadto w lesie na ziemi leżą zazwyczaj albo liście, albo igły. Tak czy inaczej, wygodniej się na nich śpi. I są drzewa albo pnie, przynajmniej jest się o co oprzeć. Nie są tak piekielnie kanciaste jak ta skała.

Poruszył się znowu, próbując umościć się wygodniej. Rzucił okiem na Willa, mając w głębi ducha nadzieję, że czeladnik zwiadowcy będzie miał ochotę się z nim spierać. Will jednak znów tylko mruknął. Przyjrzał się ostrzu swojego noża, wsunął saksę do pochwy i położył się. Było mu niewygodnie, więc znów usiadł, rozpiął pas z nożami i zawiesił go na swoim tobołku, o który opierał

się już jego łuk i kolczan. Potem położył się z powrotem, opierając głowę o płaski kamień. Zamknął oczy. Po źle przespanej nocy czuł się wyczerpany i nie chciało mu się rozmawiać.

Horace westchnął cicho, potem dobył swego miecza i zaczął wygładzać jego klingę – właściwie niepotrzebnie, bowiem głównia była już perfekcyjnie wyszlifowana. Ale przynajmniej przez jakiś czas miał się czym zająć. Odchrząknął i rzucił okiem w stronę Willa, by sprawdzić, czy przyjaciel usnął. Przez moment wydawało się, że tak, ale w następnej chwili chłopak poruszył się niespokojnie, wstał i sięgnął po swój płaszcz. Zwinął go i położył na kamieniu, który miał mu służyć za poduszkę, a potem znów się wyciągnął.

–Masz rację z tym lasem – stwierdził. – Znacznie wygodniej się tam śpi.

Horace nie odezwał się. Uznał, że jego miecz jest już dość ostry i wsunął go na powrót do skórzanej, naoliwionej pochwy, po czym oparł go o skalną ścianę. Minęło pięć czy dziesięć

minut, aż Horace wreszcie zaproponował:

–Chcesz poćwiczyć? Przynajmniej czas szybciej minie.

Will otworzył oczy i zastanowił się przez chwilę. Musiał przyznać, że to całkiem niezły pomysł, zresztą usnąć na tych kamulcach i tak nie zdoła.

–Czemu nie – wygrzebał z tobolek ćwiczebne noże, a następnie udali się obaj na drugi koniec kotlinki,

gdzie Horace wyznaczył ćwiczebny krąg w pokrywanym jej dno kamienistym żwirze.

Obaj chłopcy

zajęli pozycje, a potem, na znak dany przez Horace'a, zaczęli ćwiczenia.

Will radził sobie coraz lepiej, ale z całą pewnością to Horace był tu mistrzem. Will mimo woli podziwiał jego szybkość i opanowanie, kiedy drewnianym mieczem zadawał całe serie błyskawicznych ciosów z góry, z dołu, z boku, ukosem... Co więcej, kiedy udawało mu się ominąć obronę Willa, w ostatniej chwili zatrzymywał swój ćwiczebny oręż, by go nie uderzyć. Dotykał tylko lekko miejsca, w które trafiłoby ostrze.

Poza tym nie chęł się w żaden sposób z racji swej wyższości. Już od dawna ćwiczenia z bronią, choćby i drewnianą, stanowiły niezwykle istotną część życia Horace'a. Jeśli ktoś przewyższał przeciwnika, nie był to jeszcze powód, żeby go lekceważyć. Podczas niezliczonych starć odbytych w Szkole Rycerskiej Horace nauczył się na własnej skórze, iż często właśnie niedoceniany partner może okazać się szczególnie groźny.

Wykorzystywał więc swą przewagę jedynie do tego, by pomóc Willowi w nauce, pokazywał mu, w jaki sposób przewidywać, z której strony padnie uderzenie i uczył go podstawowych kombinacji stosowanych przez wszystkich szermierzy oraz w jaki sposób się przed nimi bronić.

Will już niejednokrotnie z żalem skonstatował, że jedną rzeczą jest wiedzieć o tym wszystkim, a całkiem inną zastosować tę wiedzę w praktyce. Zdał też sobie sprawę, że jego dawny wróg, a obecnie przyjaciel, zmienił się bardzo, dojrzał i wydorósł. Ciekaw był, czy i u niego można by dopatrzeć się takich przemian. Miał wrażenie, że raczej nie. Wcale nie czuł się inny pod żadnym względem. A kiedy zdarzyło mu się spojrzeć w lustro, nie odnosił wrażenia, by odmienił się jego wygląd.

–Trzymasz lewą rękę za daleko – pouczył go Horace w przerwie między dwoma starciami.

–Wiem. Spodziewam się uderzenia z boku i chcę być na nie przygotowany. Horace pokręcił głową.

–To bardzo pięknie, ale jeśli trzymasz ten nóż za daleko, mogę bez trudu wykonać fintę, a potem przejść do uderzenia z góry. Zobacz.

Rozpoczął od szerokiego zamachu z boku, a potem szybkim ruchem nadgarstka przeszedł do potężnego uderzenia znad głowy. Zatrzymał drewniane ostrze kilka centymetrów od czoła Willa. Uczeń zwiadowcy musiał przyznać, że w żaden sposób nie zdążyłby odeprzeć ciosu.

–Czasem mi się zdaje, że nigdy się tego nie nauczę – westchnął. Horace poklepał go po ramieniu.

–Chyba żartujesz – stwierdził. – Z każdym dniem idzie ci coraz lepiej. Tymczasem ja nigdy nie byłbym w stanie strzelać z łuku albo rzucać nożem tak dobrze jak ty.

Od pewnego czasu Gilan nalegał, by Will ćwiczył się w swych zwiadowczych umiejętnościach tak często, jak tylko było to możliwe. Horace był pod wrażeniem – mówiąc ogólnie – gdy przekonał się na własne oczy, jakich umiejętności nabral jego drobny przyjaciel.

Nieraz dreszcz go przechodził na myśl, co mogłoby się stać, gdyby miał do czynienia z łucznikiem tak sprawnym jak Will- W oczach Horace'a jego celność była czymś wręcz niesamowitym. Zdawał sobie sprawę, że Will mógłby w mgnieniu oka naszpikować strzałami każdą szczelinę dowolnej zbroi – gdyby tylko zechciał. Trafilby nawet w wąski wizjer zasłaniającego całą twarz hełmu turniejowego.

Nie uświadamiał sobie, że umiejętności Willa jak na zwiadowcę były czymś zupełnie zwyczajnym.

–Spróbujmy jeszcze raz – zaproponował Will znużonym tonem. Wtrącił się jednak jakiś inny głos:

–Już nie próbujmy, chłopaczki. Odlóżmy te wasze patyczki i stańmy grzecznie, bez ruchu. Dobrze?

Obaj chłopcy odwrócili się gwałtownie w stronę, z której dobiegły te słowa. U wejścia do kotlinki, tam gdzie rozbili obóz, stali dwaj mężczyźni o mocno niechlujnym wyglądzie. Obaj byli brodaci i potargani, obaj mieli na sobie przedziwny strój złożony po części ze znoszonych i przetartych lachmanów, po części zaś z rzeczy nowych i najwidoczniej bardzo kosztownych. Wyższy z nich ubrany był w satynową kurtę obficie wyszywaną brokatem, ale pokrytą grubą warstwą brudu. Drugi przyozdobił głowę szkarłatnym kapeluszem, u którego zwisało złamane pióro. W dłoni owiniętej zszarganym bandażem dzierżył drewnianą palkę nabitą żelaznymi kolcami. Jego towarzysz uzbrojony był w długi miecz o wyszczerbionej klindze. Potrząsał nim teraz w stronę Willa i Horace'a.

–No już, chłopaczki. Rzućcie te patyki, bo inaczej zrobicie sobie jakąś krzywdę – polecił i wybuchnął

chrapliwym, gardłowym śmiechem.

Dłoń Willa sięgnęła machinalnie w miejsce, gdzie winien znajdować się długi nóż, ale napotkała pustkę. Ku swemu przerażeniu przypomniał sobie, że jego pas z nożami, luk i strzałami znajduje się obok miejsca na ognisko, wraz z pozostałym dobytkiem. Obaj napastnicy bez trudu zdolają go powstrzymać, nim tam dotrze. Przeklął w myśli swoją nierozagę. Halt byłby wściekły – pomyślał. A w następnej chwili, spoglądając na miecz i maczugę, zdał sobie sprawę, że ma właśnie do czynienia z czymś znacznie poważniejszym nawet od gniewu Halta.

Rozdział 8

Will poczuł na swoim ramieniu rękę Horace'a, który wyraźnie ciągnął go do tyłu.

–Odsuń się, Willu – rzekł cicho Horace. Mężczyzna uzbrojony w pałkę zaśmiał się.

–Tak jest, Willu, odsuń się. Trzymaj się z daleka od tego paskudnego małego łuku, który tu widzę. Nie lubimy łuków, wcale a wcale. Prawda, Carney?

Carney wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Pewnie, Bart, pewnie, że nie lubimy – nagle na jego twarzy pojawił się gniewny grymas. –

Nie

słyszeliście, że macie rzucić te patyki?! – wrzasnął; jego głos zabrzmiał piskliwie i paskudnie. Obaj

mężczyźni ruszyli teraz ku nim.

Dłoń Horace'a wzmogła nagle swój ucisk i Will poczuł szarpnięcie, które sprawiło, że stracił równowagę. Gdy upadał, widział Horace'a, który doskoczył kamieni znajdujących się za nim i pochwycił swój miecz. Jednym ruchem dobył go z pochwy. Już wtedy jego zręczność powinna była dać Bartowi i Carney'owi do myślenia, bowiem nietrudno było się zorientować, że mają do czynienia z kimś, kto wie więcej niż tylko trochę o obchodzeniu się z bronią. Jednak żaden z bandziorów nie grzeszył nadmiarem rozumu. Widzieli tylko chłopca, który mógł mieć może szesnaście lat. Owszem, całkiem rosłego, ale przecież tylko chłopca. Właściwie dziecko, które trzymało w ręce dorosłą broń.

–Oho – odezwał się Carney. – Wzięliśmy ze sobą miecz tatusia, co? Horace spojrzał mu w oczy, zimno i spokojnie.

–Macie jedną szansę. Jeszcze możecie odwrócić się i wycofać. Bart i Carney wymienili spojrzenia w udawanym przestrachu.

–Ojejku, Bart – rzekł Carney. – Mamy ostatnią szansę. Co robimy?

–Ojejku – powtórzył Bart. – Uciekajmy, gdzie pieprz rośnie.

Szli prosto na Horace'a, który spoglądał ku nim. Ćwiczebny kij trzymał teraz w lewej ręce, a miecz w prawej. Kołysał się lekko na ugiętych nogach, gotów do skoku, a Carney z wyszczerbionym i zardzewiałym mieczem trzymanym przed sobą oraz Bart z nabitą kolcami maczugą opartą o ramię i gotową do ciosu szli w jego kierunku.

Will powstał z ziemi i zrobił krok w stronę swojej broni. Widząc to, Carney chciał odciąć mu drogę, ale nie zdążył zrobić ani kroku, gdy Horace zaatakował. Rzucił się do przodu, a jego miecz błysnął nad głową Carneya. Zdumiony jego szybkością, Carney ledwie zdołał niezdarnie się zasłonić. Stracił równowagę, zupełnie nieprzygotowany na tak silne i pewne uderzenie, potknął się i upadł.

W tej samej chwili Bart, widząc, że jego kompan znalazł się w tarapatkach, postąpił do przodu i machnął ciężką maczugą, wymierzając podstępny cios w nieosłonięty bok Horace'a. Spodziewał się, że chłopak będzie próbował odskoczyć do tyłu, by go uniknąć. Tymczasem czeladnik rycerski skoczył do przodu. Kijem trzymanym w lewej dłoni sparował uderzenie, zmieniając trajektorię łuku zakreślanego przez ciężką pałkę. Żelazne kolce uderzyły głucho o ziemię, a Bart aż stęknął z zaskoczenia; uderzenie było tak silne, że ręka zdrętwiała mu od nadgarstka aż po ramię. Horace jednak jeszcze się z nim na dobre nie rozprawił. W jednej chwili, znalazł się twarzą w twarz z Bartem. Było zbyt blisko, żeby Horace mógł posłużyć się głownią miecza, toteż z całej siły trzasnął głowicą jego rękojeści w bok głowy Barta. Oczy

bandyty zaszklily się; opadł na kolana, półprzytomny.

Tymczasem Carney, gorączkowo przebierając nogami, cofał się na plecach. Dźwignął się z wysiłkiem. Stał teraz, spoglądając na Horace'a, zdumiony i rozgniewany. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, że i jego, i jego towarzysza powalił na ziemię zwykły chłopak.

Gnojek miał farta i tyle – pomyślał. – Głupiego farta, nic więcej!

Parsknął ze złością i zacisnął palce na rękojeści miecza, ruszając znów ku chłopcu i mamrocząc przy tym pod nosem pogróżki oraz przekleństwa. Horace stał nieruchomo, czekał. Opanowanie chłopaka sprawiło, że Carney zawahał się przez chwilę. Jeszcze miał szansę, by posłuchać swojego zbójckiego instynktu i zrezygnować z walki. Jednak wściekłość wzięła górę nad rozsądkiem i ruszył do ataku. Zupełnie przy tym przestał zwracać uwagę na Willa. Uczeń zwiadowcy puścił się pędem, pochwycił luk i kolczan, błyskawicznie dobył strzałę i już miał napiąć cięciwę, gdy usłyszał za sobą spokojny głos:

–Nie strzelaj. Chciałbym sobie to obejrzeć. – Odwrócił się, zaskoczony, i ujrzał za sobą Gilana, niemal

niewidocznego pod szarozielonym płaszczem. Opierał się niedbale o długi, prosty luk.

Chciał coś powiedzieć, ale Gilan dał mu znak, żeby milczał.

–Pozwól mu działać – szepnął. – Nic złego się nie stanie, jeśli nie odwrócimy jego uwagi.

–Ale... – jęknął zrozpaczony Will, spoglądając w stronę Horace'a, który właśnie miał się zmierzyć z dorosłym i bardzo rozgniewanym mężczyzną. Widząc, że chłopak naprawdę boi się o swojego przyjaciela, Gilan uspokoił go:

–Horace poradzi sobie z nim – zapewnił. – Widzisz, on jest w tym naprawdę bardzo dobry.

Urodzony

szermierz, jakich mało. Ta obrona kijem przed maczugą, a potem uderzenie głowicą to była czysta

poezja. Znakomita improwizacja!

Kręcąc głową w zadziwieniu, Will spojrzął z powrotem na walczących. Carney właśnie atakował, ze straszliwą siłą i w ślepej furii obsypując Horace'a gradem uderzeń. Horace cofał się powoli, nieznacznymi ruchami nadgarstka przesuwał swoją głownię, która blokowała kolejne cięcia i pchnięcia, a siła tych zasłon powodowała, iż Carneyowi drętwiało ramię. Ku swej wściekłości bandyta żadnym sposobem nie był w stanie przedrzeć się przez obronę chłopaka. Jednocześnie Will słyszał wygłaszane szeptem komentarze Gilana.

–Zuch chłopak! – chwalił zwiadowca. – Zobacz, jak pozwala tamtemu ludzić się, że to do niego należy

inicjatywa. Człeczyna coraz bardziej upaja się swoją zręcznością, a tymczasem... Dobry Boże, ta

zasłona była wprost idealna! Fantastycznie! I ta też! Doskonale!

Najwyraźniej Horace uznał, że pora przestać się cofać. Nadal blokując każde uderzenie Carneya z widoczną łatwością, stał w miejscu i pozwalał, by zbój marnował siły, niczym morska fala rozbijająca się o skałę. Minęło kilka chwil, a uderzenia Carneya stały się wolniejsze i chaotyczne. Dzierżąca długi i ciężki miecz ręka zaczęła słabnąć. Bandyta częściej posługiwał się nożem, który po prostu wbijał w plecy swych przeciwników i nie spodziewał się, by trzeba było więcej niż kilku miażdżących uderzeń, aby uporać się z obroną chłopca, nim zada mu ostateczny cios. Jednak wszystkie jego mordercze uderzenia zostały sparowane z niemal

lekceważącą łatwością. Uderzył znów, tracąc przy tym nieco równowagę. Ostrze Horace'a związało się z jego głównią, zmusił napastnika do opuszczenia miecza, jelce zwarły się ze sobą.

Stali tak oko w oko, Carney dyszał ciężko z wyczerpania, a Horace spoglądał na niego spokojnie, całkowicie panując nad sobą. Po raz pierwszy Carney poczuł lęk, bo wreszcie zdał sobie sprawę, że może rzeczywiście to jeszcze chłopiec, ale ten chłopiec bezwzględnie przewyższa go w sztuce pojedynku.

Po chwili Horace przeszedł do ataku. Odepchnął ręką Carney'a, który zatoczył się do tyłu i cofnął się o kilka kroków, z trudem zachowując równowagę. Horace postąpił ku niemu, uderzając morderczymi, błyskawicznymi kombinacjami ciosów. Z boku, znad głowy i pchnięcie. Z boku, z boku, z drugiego boku, znad głowy. Pchnięcie. I pchnięcie. Pchnięcie. Z boku. Z drugiego boku. Jeden zestaw uderzeń następował natychmiast po drugim, a Carney bronił się teraz rozpaczliwie, próbując zasłonić się swą klingą przed tym bezlitosnym mieczem, który jakby żył własnym życiem i dysponował niewyczerpanym zapasem sił. Czuł, jak jego ramię i nadgarstek omdlewają, tymczasem uderzenia Horace'a stawały się coraz silniejsze i coraz bardziej zdecydowane – aż wreszcie z głośnym szczęknięciem Horace po prostu wytrącił miecz z odrętwiałej ręki przeciwnika.

Carney opadł na kolana, zlany potem, rzeżąc z wyczerpania i czekając na litościwe uderzenie, które położy kres temu wszystkiemu.

–Nie zabijaj go, Horace! – krzyknął Gilan. – Chciałbym mu przedtem zadać kilka pytań.

Horace spojrział w jego stronę, zaskoczony widokiem wysokiego zwiadowcy. Wzruszył ramionami. Tak czy inaczej nie było mu spieszno, by z zimną krwią zatłuc pokonanego już przeciwnika. Kopnięciem odrzucił miecz Carney'a na bok, a potem pchnął obutą stopą ramię bandyty, który upadł na bok. Upadł i leżał, nie będąc w stanie się poruszyć. Rozplakał się; był wyczerpany, pokonany fizycznie i pod każdym innym względem.

–Skąd tu się wziąłeś? – spytał Horace Gilana, wyraźnie oburzony. – Dlaczego mi nie pomogłeś? Gilan uśmiechnął się.

–Kiedy tak sobie na ciebie patrzyłem, coś mi mówiło, że nie potrzebujesz pomocy – odpowiedział.

Wskazał gestem ręki za Horace'a, gdzie Bart powoli właśnie próbował podnieść się z kłeczek i potrząsał głową, jakby powoli odzyskiwał przytomność.

–Chyba warto by się zająć drugim z twoich przyjaciół

–zasugerował. Horace odwrócił się, uniósł niedbale miecz i trzasnął jego płazem w głowę Barta. Ten z cichym stęknieniem padł twarzą w żwir.

–Naprawę uważam, że mogłeś dać jakiś znak – stwierdził.

–Zrobiłbym tak, gdybyś naprawdę był w tarapatach – - zapewnił Gilan.

Przeszedł przez kotlinę i stanął nad Carneyem. Chwycił bandytę za ramię i pociągnął go ku górze, zmuszając do powstania, po czym przeprowadził go siłą pod skalną ścianę i brutalnie na nią pchnął. Gdy Carney zaczął pochylać się do przodu, rozległ się świst stali i bandyta poczuł pod brodą czubek ostrza saksy Gilana, który zmusił go do zachowania wyprostowanej pozycji.

–Wygląda na to, że ci dwaj zupełnie was zaskoczyli, co? – spytał Gilan Willa. Chłopak ze wstydem przytaknął. Dopiero w następnej chwili zrozumiał całe znaczenie słów Gilana i spytał:

–Od jak dawna tu jesteś?

–Odkąd się pojawili – powiedział Gilan. – Nie zdążyłem odjechać daleko, gdy dostrzegłem,

jak ci dwaj skradają się pośród skał. Zostawiłem więc Blaze'a i wróciłem tu ich śladem. Widać było, że mają złe zamiary.

–I nie ostrzegłeś nas? Dlaczego? – spytał Will z niedowierzaniem. Gilan rzucił mu surowe spojrzenie.

–Bo należała wam się nauczka. Przebywacie w nieznanym terenie, cała ludność w tajemniczy sposób znikła, a wy w najlepsze urządzacie sobie ćwiczenia, tak że słyhać was na całe mile dookoła.

–No, ale... – wyjąkał Will. – Myślałem, że powinniśmy ćwiczyć jak najwięcej.

–Nie wtedy, kiedy nie ma nikogo innego, kto miałby oko na to, co się dzieje wokół was. Kiedy ćwiczycie, zwłaszcza rzetelnie, nie zwracacie uwagi na nic poza tym. Przecież ci dwaj narobili takiego hałasu, że obudziliby zmarłego. Wyrwij ostrzegł cię dwukrotnie, a ty nic nie usłyszałeś.

Will nie posiadał się ze wstydu.

–Naprawdę? – wybąkał, a Gilan poważnie skinął głową. Przez chwilę patrzył prosto w oczy Willa, by upewnić się, że dotarł do niego sens tej lekcji i wnioski zostały wyciągnięte. Potem zaś kiwnął lekko głową na znak, że sprawa jest zakończona. Will odpowiedział mu takim samym ruchem głowy: nigdy więcej coś podobnego się już nie zdarzy.

–A teraz – oznajmił Gilan – dowiemy się, co te dwa ptaszki mają nam do wyśpiewania. Odwrócił głowę w stronę Carneya, który wciąż zezował, usiłując dostrzec ostrze noża przyciśnięte do swojego gardła.

–Od jak dawna jesteście w Celtii? – spytał Gilan. Carney zerknął najpierw na niego, a potem znów w dół, na ostrze noża.

–Dzie-dzie-dziesięć albo i jedenaście dni, wielmożny panie – wykrztusił wreszcie.

Gilan skrzywił się.

–Nie jestem żadnym wielmożnym panem – fuknął i dodał, zwracając się do chłopców. – Takie

szumowiny zawsze próbują schlebiać silniejszym od siebie, kiedy tylko znajdą się w opałach. A teraz

gadaj – spojrzał na Carneya. – Co was tu sprowadziło?

Carney zawahał się, odwracając wzrok i nim jeszcze zbójca się odezwał, zwiadowca od razu zdał sobie sprawę, że usłyszy w odpowiedzi łgarstwo.

–My tylko... chcieliśmy sobie pozwiedzać tę krainę, wiel... proszę pana – poprawił się, przypominając sobie w ostatniej chwili, że Gilan zabronił mu nazywać się „wielmożnym panem”. Gilan westchnął i cmoknął z dezaprobatą.

–Wiesz co, zaraz utnę ci łeb i tyle. Naprawdę wątpię, byś miał mi coś ciekawego do powiedzenia. Ale dam ci jeszcze jedną szansę. Gadaj prawdę, i to ZARAZ!!!

Ostatnie słowo wyrzesał wściekle prosto w twarz Carneyowi. Nagła zmiana żartobliwego, niedbalego tonu, który przerodził się w krzyk, była dla bandyty wstrząsem. Na tych kilka sekund Gilan uchylił dobroduszej maski i Carney zdał sobie sprawę, że ma do czynienia ze śmiertelnym zagrożeniem. Znowu ogarnął go strach. Tak jak większość ludzi, lękał się zwiadowców. Wiadomo, że nie należy wprawiać ich w gniew. A ten najwyraźniej był bardzo, ale to bardzo zagniewany.

–Doszła nas wieść, że można tu się nieźle obłowić! – odpowiedział czym prędzej.

–Obłowić się? – powtórzył Gilan, a Carney skwapliwie skinął głową, gotów teraz szczerze i wylewnie odpowiadać na wszystkie pytania.

–No, bo miasta i wioski całkiem tu opustoszały. Nikt niczego nie pilnuje, a wszystkie rzeczy zostały, tylko brać i wybierać. Ale nikogośmy nie skrzywdzili – zapewnił.

–Pewnie, pewnie. Nikogo nie skrzywdziliście, bo nie było kogo skrzywdzić. Tylko zakradliście się tutaj pod ich nieobecność i zrabowaliście wszystko, co ma jakąkolwiek wartość – rzucił kpiącym tonem Gilan. – Pewnie jeszcze powinni być wam za to wdzięczni!

–To wszystko był pomysł Barta, nie mój – dodał Carney, a Gilan znów cmoknął, niezadowolony.

–Gilanie? – odezwał się nieśmiało Will. – Hm?

–Skąd się dowiedzieli, że miasta opustoszały? Przecież my o niczym nie mieliśmy pojęcia.

–Złodziejaszki mają swoje sposoby – wyjaśnił Gilan obu chłopcom. – Tak samo jak sępy, które dowiadują się, że gdzieś dogorywa zwierzę. Między łotrzykami wieści rozchodzą się niezwykle prędko. Gdy tylko jakieś miejsce staje się podatne na ich złodziejskie względy, natychmiast zlatują się niczym muchy do padliny. Jestem pewien, że pośród tych wzgórz kryje się немало ich pobratymców. Przycisnął nieco mocniej ostrze noża do szyi Carneya, tak jednak, że nie przebiło skóry.

–Nieprawdaż? – spytał.

Carney chciał skinąć głową, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że w obecnej sytuacji nie jest to dobry pomysł, więc tylko przelknął ślinę i wyszeptał:

–Tak, panie.

–I jak znam życie, macie tu gdzieś kryjówkę, pewnie w jakiejś jaskini albo w opuszczonej kopalni i tam składacie wasze łupy. Prawda?

Nacisk noża zelżał nieco, tym razem Carney bez obawy o swe życie mógł kiwnąć potakująco głową. Palce jego dłoni machinalnie poruszyły się w stronę mieszka przytroczonego do pasa, a następnie zamarły, gdy zbójca zdał sobie sprawę z tego, co czyni. Jednak Gilan dostrzegł ten gest. Wolną ręką

szarpnął i otworzył mieszek, grzebał w nim przez chwilę, by zaraz wyciągnąć z niego wyświechtaną kartkę papieru złożoną na czworo. Podał ją Willowi. Will rozłożył kartkę, na której niezdarnie narysowana była mapka z zaznaczonymi punktami odniesienia, kierunkami i odległościami.

–Wygląda na to, że swoje łupy zakopali w ziemi – stwierdził. Gilan skinął głową, uśmiechając się blado.

–To dobrze. W takim razie bez tej mapy ich nie odnajdą – skonstatował, a oczy Carneya rozwarły się szeroko w proteście.

–Ale to są nasze... – zaczął, dostrzegłszy w oczach Gilana niebezpieczny błysk.

–To złodziejski łup – rzekł z naciskiem zwiadowca cichym ale stanowczym głosem. – Zakradliście się jak szczury i obrabowaliście ludzi, którzy najwyraźniej mają jakieś poważne kłopoty. Te rzeczy nie należą do was, lecz do nich. Albo do ich rodzin, o ile jeszcze ktoś został przy życiu.

–Żyją. Jeszcze żyją – odezwał się niespodzianie jakiś nieznany głos za nimi. – Wszyscy uciekli przed

Morgarathem. Oczywiście oprócz tych, których pojmał.

Rozdział 9

Gdyby się nie odezwała, wzięliby ją za chłopaka. Stała u wejścia do kotlinki, była smukła i wysoka, a jej jasne włosy obcięte były na krótko. Miała na sobie zszarganą tunikę, bryczesy i wysokie buty z miękkiej skóry sznurowane aż po kolana. Wyglądało na to, że przed wiatrem oraz chłodem górskich nocy chroni ją tylko poplamiona i podarta kurta z owczej skóry, bo nie miała płaszcza na ramionach ani żadnych bagaży na tyle dużych, żeby mogły zawierać koce. Cały jej dobytek mieścił się w niewielkim węzélku związanym z chustek.

–A ty skąd się tu wzięłaś? – Gilan odwrócił się do niej, chowając jednocześnie nóż do pochwy. Carney,

zupełnie wyczerpany, mógł wreszcie opaść na kolana.

Dziewczyna wykonała nieokreślony ruch ręką. Teraz Will spostrzegł, że była mniej więcej w jego wieku, a ponadto pod grubą warstwą brudu skrywała się bardzo ładna twarzyczka.

–No... – urwała niepewnie, próbując zebrać myśli, i Will zdał sobie sprawę, że jest bardzo zmęczona. – Ukrywam się pośród tych wzgórz już od kilku tygodni – odezwała się wreszcie. Jej wygląd to potwierdzał.

–Masz jakieś imię? – spytał Gilan przyjaznym tonem. On także dostrzegł, że dziewczyna jest na skraju

wyczerpania.

Nie odpowiedziała od razu, chyba nie była pewna, czy powinna im je wyjawic.

–Evanlyn Wheeler z lenna Greenfield – przedstawiła się w końcu. Greenfield było niewielkim lennem Aralueny położonym nad morzem. – Byliśmy tu z wizytą u przyjaciół... – przerwała i odwróciła wzrok. Umilkła na moment, a potem sprostowała: – Ściszej mówiąc, moja pani była z wizytą u przyjaciół... kiedy zaatakowali wargalowie.

–Wargalowie! – wyrwało się Willowi, a ona zwróciła na niego spokojne spojrzenie zielonych oczu. Gdy je napotkał, uświadomił sobie, że jest nie tylko bardzo ładna, ale wręcz piękna. Prócz tych fascynujących zielonych oczu i jasnych, leciutko rudawych włosów, jej urody dopełniał niewielki, prosty nos i pełne usta, którym, zdaniem Willa, brakowało tylko uśmiechu. Teraz jednak była jak najdalsza od wesołych myśli. Odpowiadając mu, wzruszyła lekko ramionami.

–Jak sądzisz, dlaczego wszyscy ci ludzie uciekli? Wargalowie już od długich tygodni napadają na wsie i miasta w tej części kraju. Celtowie nie byli w stanie się im przeciwstawić. Porzucili więc swoje

domy i większość z nich uciekła na Półwysep. Niektórzy jednak zostali pojmani. Nie wiem, co się z nimi stało.

Gilan i obaj chłopcy patrzyli po sobie. W głębi duszy spodziewali się, że w końcu dowiedzą się właśnie czegoś takiego. Teraz mieli już stuprocentową pewność.

–Byłem pewien, że za tym wszystkim kryje się Morgarath – rzekł cicho Gilan, a dziewczyna w

milczeniu skinęła głową; w jej oczach pokazały się łzy. Jedna nawet spłynęła po policzku. Podniosła

rękę do oczu i jej ramiona zaczęły drżeć. Gilan postąpił szybko do przodu i złapał ją, chroniąc przed upadkiem.

Ułożył ją troskliwie na ziemi, opierając o jeden z kamieni, które Will i Horace zgromadzili wokół niedoszłego paleniska. Teraz jego głos był łagodny i pełen współczucia.

–Już dobrze – zapewnił ją. – Jesteś bezpieczna. Odpocznij, a my postaramy się o coś do picia i jedzenia dla ciebie – rzucił okiem w stronę Horace'a. – Rozpal ogień, Horace, bardzo cię proszę. Ale nieduży. Tutaj jesteśmy na tyle dobrze schowani, że chyba możemy zaryzykować. A ty, Willu – dodał, unosząc głos, żeby wszyscy zainteresowani dobrze usłyszeli – bądź w pogotowiu i gdyby któryś z tych bandytów próbował się ruszyć, zechciej uprzejmiem przestrzelić mu nogę, dobrze?

Carney, który chciał skorzystać z okazji oraz zamieszania, jakie wywołało nieoczekiwane pojawienie się Evanlyn i zaczął już czułgać się po piargu, zamarł nagle w zupełnym bezruchu. Gilan syknął gniewnie, a potem zmienił rozkazy:

–Chociaż nie, lepiej nie. Ty, Willu, zajmij się ogniem. A ty, Horace, zwiąż tych dwóch.

Obaj chłopcy czym prędzej zajęli się wykonywaniem poleceń. Gilan uznał, że sytuacja została opanowana. Okrył dziewczynę swoim własnym płaszczem, opatulając ją troskliwie. Ona zaś zasłoniła twarz dłońmi, a jej ramiona wciąż drżały, choć nie wydawała z siebie żadnego odgłosu. Otoczył ją ramieniem i zaczął przemawiać do niej półgłosem, powtarzając, że jest bezpieczna i teraz nic już jej nie grozi. Jej bezgłośny szloch uspokoił się po jakimś czasie i dziewczyna zaczęła oddychać miarowo. Will, który zajęty był przygotowaniem gorącego napoju, ku swemu zdumieniu zauważył, że po prostu usnęła. Gilan położył palec na ustach i szepnął:

–Widać, że ma za sobą ciężkie chwile. Pozwólmy jej spać, tak będzie najlepiej. A ty mógłbyś upichcić

jedną z tych swoich pysznych potrawek, których gotowania nauczył cię Halt.

Rzeczywiście, w swoim tobołku Will przechowywał zestaw suszonych składników, które po zmieszaniu ze sobą w gotującej wodzie i pozostawieniu na wolnym ogniu tworzyły w efekcie doskonale dania. Można było do nich dodawać świeże mięso i warzywa, jeśli takowe trafiły się podróżnym po drodze, ale nawet bez tych uzupełniających ingrediencji potrawa o wiele przewyższała swym smakiem zimne racje, które spożywali codziennie. Postawił spoty kociołek z wodą na ogniu i już wkrótce pyszna wołowa potrawka gotowała się z miłym bulgotem, a w chłodnym wieczornym powietrzu rozszedł się smakowity zapach. Nie zapomniał też o gorącym napoju, stawiając emaliowany czajnik pełen wody na gorących węglach obok głównego ognia. Gdy woda zagotowała się i z jego dzióbka zaczęły buchać kłęby pary, uniósł pokrywkę za pomocą rozwidłonego patyka i wrzucił do środka garść ziół. Wkrótce ich aromat zmieszał się z zapachem jedzenia i wszystkim zaczęła cieknąć ślinka. Najwyraźniej rozkoszne zapachy dotarły też do podświadomości Evanlyn. Pociągnęła delikatnie nosem, a potem otworzyła te swoje niesamowite zielone oczy. Przez sekundę lub dwie malowało się w nich przerażenie, gdy próbowała sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i skąd się tu wzięła. Jednak na widok pogodnego oblicza Gilana uspokoiła się od razu.

–Coś tu bardzo ładnie pachnie – stwierdziła, a on uśmiechnął się do niej.

–Może zjesz co nieco, to potem będziesz nam mogła opowiedzieć, co tu się tak naprawdę dzieje – dał znak Willowi, który napełnił emaliowaną miseczkę. Właściwie była to jego własna miska, bo nie mieli

przecież żadnych dodatkowych naczyń. Zaburczało mu w żołądku na myśl, że będzie

musiał czekać, aż Evanlyn skończy – by zaspokoić głód. Horace i Gilan, rzecz jasna, natychmiast obsłużyli się sami.

Evanlyn zabrała się do jedzenia z zapalem, który świadczył, że nie miała w ustach porządnego posiłku już od wielu dni. Gilan i Horace też nie próżnowali. Usłyszeli głos – płaczliwy i proszący – który dobiegał od skalnej ściany, gdzie Horace związał obu bandytów plecami do siebie.

–Czy moglibyśmy dostać coś do jedzenia, panie? – spytał Carney. Gilan między dwiema łyżkami odpowiedział tylko:

–Oczywiście, że nie – i zajął się na powrót kolacją. Evanlyn zdała sobie sprawę, że nie tylko bandyci, ale i Will nic nie je. Zerknęła na swoją miskę i łyżkę trzymaną w rękę, zauważyła, że takimi samymi naczyniami posługują się Gilan oraz Horace i wszystko zrozumiała.

–Och – odezwała się, rzucając Willowi przepraszające spojrzenie. – Może chciałbyś...? – wyciągnęła w jego stronę rękę z miską.

Will oczywiście bardzo chętnie by skorzystał z jej propozycji, ale zdawał też sobie sprawę, jak była wygłodniała. A poza tym, nietrudno było odgadnąć, że w istocie liczy na jego odmowę. Uznał więc, iż istnieje zasadnicza różnica między zwykłym głodem, który był jego udziałem, a jej wygłodzeniem, więc potrząsnął głową, uśmiechając się.

–Jedz, jedz – powiedział. – Ja się pożywię, kiedy skończysz.

Nie nalegała (ku jego lekkiemu rozczarowaniu), tylko znów rzuciła się na potrawkę, przerywając od czasu do czasu, by wypić łyk gorącego ziołowego napoju. W miarę jak się posilała, jej twarzyczka nabierała kolorów. Wkrótce opróżniła miseczkę i zerknęła łakomie na kociołek, który wciąż stał na ogniu. Will zrozumiał ją w mig i ponownie napełnił miseczkę okazałą porcją potrawy. Zajęła się nią niemal tak samo łapczywie jak poprzednio, ledwie przerywając, by zaczerpnąć powietrza. Gdy naczynie było już puste, uśmiechnęła się nieśmiało i podała mu je.

–Dziękuję – powiedziała po prostu, a on niezgrabnie skinął głową.

–Nie ma za co – mruknął, napełniając miskę tym razem na swój użytek. – Pewnie byłaś bardzo głodna.

–Owszem – przyznała. – Nie jadłam przyzwoitego posiłku chyba już od tygodnia. Gilan usiadł wygodniej, przysuwając się do wciąż płonącego ognia.

–Dlaczego? – zainteresował się. – Wydaje mi się, że w opuszczonych domach zostało mnóstwo żywności. Przecież mogłaś z niej skorzystać?

Potrząsnęła głową, a w jej oczach zalśnił lęk, który prześladował ją już od tygodni.

–Nie chciałam ryzykować – wyjaśniła. – Nie wiedziałam, czy nie natrafię na patrole Morgaratha, więc nie ośmieliłam się zapuścić do żadnego z miast. Udało mi się znaleźć nieco warzyw, a w wiejskich domach trafiał się czasem kawałek sera, lecz niewiele więcej.

–Chyba już czas, żebyś opowiedziała nam dokładniej, co takiego tu się wydarzyło – zauważył Gilan, a ona skinęła głową.

–Nie wiem zbyt wiele. Jak już mówiłam, byłam tu... z moją panią, która... złożyła wizytę przyjacielom – znów w jej głosie można było usłyszeć wahanie. Gilan leciutko zmarszczył brwi.

–Domyślam się, że twoja pani wywodzi się ze szlachty, tak? Jest żoną rycerza, a może jakiegoś wielmoży?

Evanlyn przytaknęła:

–Jest córką... pana i pani Caramorn z lenna Greenfield – odpowiedziała szybko. Jednak i to zabrzmiało nieco niepewnie. Gilan zamyślił się przez moment.

–Cóż, słyszałem o nich – stwierdził – ale osobiście ich nie znam.

–Przybyła tu, aby odwiedzić pewną damę dworu króla Swyddneda, która z dawien dawna była jej przyjaciółką... kiedy siły Morgaratha zaatakowały.

Gilan popatrzył na nią uważnie.

–Ale jak to możliwe? – pokręcił głową. – Przecież urwiska i Rozpadlina są nie do przebycia. Nie ma

możliwości, by przebyła je cała armia.

Urwiska wznosiły się od krańca Rozpadliny, tworząc naturalną granicę między Celtią, a Górą Deszczu i Nocy. Granitowe ściany miały wysokość kilkuset metrów; nie było tam przełęczy, nie było jak wspiąć się po nich lub zejść – zwłaszcza, gdy miałyby chodzić o jakies liczniejsze formacje wojsk.

–Halt powiada, że nie ma przeszkód, których tak naprawdę nie dałoby się przebyć – wtrącił Will. – Zwłaszcza, jeśli nie dba się o straty, jakie zostaną przy tym poniesione. •

–Gdy uciekaliśmy na południe, spotkaliśmy grupkę Celtów – odparła dziewczyna. – Powiedzieli nam, w jaki sposób wargalowie zdołali tego dokonać. Posłużyli się linami oraz drabinami powiązanymi ze sobą. Pokonywali urwiska w nocy, po kilku lub kilkunastu. Opuszczali się na dół, a potem za pomocą drabin wspinali się na tę stronę. Czynili to w najbardziej odludnych miejscach, więc nikt ich nie spostrzegł. Dniami ci, którzy przekroczyli już Rozpadlinę, kryli się pośród skał i dolin, aż zgromadził się cały oddział. Nie potrzebowali aż tak wielu wojowników, bo król Swyddned nie utrzymywał pod bronią zbyt wielu ludzi.

Gilan parsknął z dezaprobatą. Uchwycił spojrzenie Willa.

–A powinien. Do tego zobowiązywał go traktat. No ale pamiętasz, co mówiłem o ludziach, którzy

tracą czujność, gnuśnieją? Celtowie woleli drażnić swą ziemię, zamiast jej bronić!

Ruchem głowy dał znać dziewczynie, żeby mówiła dalej.

–Wargalowie opanowali całą tę okolicę, a zwłaszcza interesowali się kopalniami. Z jakichś przyczyn

utrzymywali górników przy życiu, a zabijali wszystkich innych.

Gilan w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

–Pordellath i Gwyntaleth są zupełnie opustoszałe – rzekł. – Czy wiesz może, dokąd udali się ich mieszkańcy?

–Wielu mieszkańców miast zdołało w porę uciec na południe – wyjaśniła. – Wyglądało to tak, jakby wargalowie wręcz starali się ich tam zapędzić.

–To ma sens, przynajmniej tak mi się zdaje – zauważył Gilan. – Skoro zagoniono ich na południe, nie było komu przedrzeć się do Araluenu z wieściami.

–Tak samo mówił dowódca naszej eskorty – przytaknęła Evanlyn. – Król Swyddned i większość jego pozostałych przy życiu wojowników schronili się na południowym zachodzie półwyspu, przy wybrzeżu, aby tam utworzyć linię obronną. Wszyscy Celtowie, którym udało się umknąć przed wargalami, dołączyli do niego.

–A co z tobą? – zainteresował się Gilan.

–Próbowaliśmy uciec w stronę granicy, kiedy natrafiliśmy na zbrojny patrol. Nasi ludzie powstrzymali ich, a moja pani i ja rzuciłyśmy się do ucieczki. Prawie nam się udało, ale jej koń potknął się i zdołali ją pojmać.

Chciałam wrócić, lecz ona krzyknęła, żebym ratowała się, nie zważając na nic. Nie mogłam... chciałam jej pomóc, ale... ja tylko...

Po jej policzkach znów pociekły łzy. Nie zwracała na nie uwagi, nawet nie próbowała ich otrzeć, wpatrywała się tylko milcząco w ogień, wspominając grozę niedawnych zdarzeń. Gdy odezwała się znów, jej głos był prawie niedosłyszalny:

–Udało mi się uciec, ale potem wróciłam, żeby zobaczyć... oni... widziałam, jak... widziałam... –

urwała.

Gilan wziął ją za rękę.

–Nie myśl już o tym – powiedział kojącem głosem, a ona spojrzała na niego z wdzięcznością. – Jeśli

dobrze rozumiem, to po tym, jak... no, potem cały czas ukrywałaś się pośród wzgórz?

W milczeniu skinęła głową, wciąż przeżywając w myślach potworne sceny, których była świadkiem. Will i Horace siedzieli w milczeniu. Spojrzeli po sobie porozumiewawczo: dziewczyna miała sporo szczęścia, skoro zdołała się uratować.

–Tak, od tamtego czasu się ukrywam – odezwała się cicho. – Jakieś dziesięć dni temu mój koń okulał,

więc puściłam go wolno. Podążam cały czas na północ, wędrując nocą i ukrywając się w dzień. Tych

dwóch widziałam parę razy, a także innych takich jak oni – wskazała ruchem ręki Barta i Carneya,

którzy siedzieli skrupowani jak prosiaki przeznaczone na rzeź po drugiej stronie kotliny. – Chowalam

się przed nimi, bo wydawało mi się, że nie można im zaufać.

Carney, wyraźnie urażony nadał policzki. Bart wciąż był zbyt oszołomiony po potężnym uderzeniu płazem miecza w głowę, by okazać jakiegokolwiek zainteresowanie wobec rozgrywających się wokół wydarzeń.

–A potem ujrzałam was trzech, to było dzisiaj rano, kiedy jechaliście doliną, i rozpoznałam, że

należycie do królewskich zwiadowców – no, przynajmniej dwóch z was – poprawiła się. – Bogu nich

będą dzięki, pomyślałam.

Gilan znów spojrzał na nią uważnie, marszcząc lekko czoło. Evanlyn nie zauważyła tego i opowiadała dalej:

–Dotarcie do was zajęło mi prawie cały dzień. W linii prostej to niedaleko, nie było jednak sposobu,

by przedostać się przez dzielącą nas dolinę. Musiałam ją obejść. Potem zaś trzeba było zejść na dół i

znów wspiąć się pod górę. Obawiałam się, że odejdziecie, nim uda mi się przebyć całą tę drogę, no ale

na szczęście nie odeszliście – dodała niepotrzebnie.

Will siedział pochylony do przodu z brodą opartą na dłoni i próbował pojąć sens tego, czego się od niej dowiedzieli.

–Po co Morgarathowi są potrzebni górnicy? – spytał, nie zwracając się do nikogo konkretnie. – Przecież on nie ma kopalni. To bez sensu.

–A może coś znalazł? – zasugerował Horace. – Może trafił na żyłę złota gdzieś w Górach Deszczu i Nocy, a teraz potrzebuje niewolników, którzy wydobędą dla niego kruszec?

Gilan żuł w zamyśleniu źdźbło trawy.

–Niewykluczone – odezwał się po chwili. – Złoto jest mu potrzebne, żeby opłacić Skandian. Może

rzeczywiście ma jakieś kopalnie.

Evanlyn wyprostowała się nieco na wzmiankę o morskich wilkach.

–Skandian? – spytała. – Czy sprzymierzyli się teraz z Morgarathem?

Gilan skinął głową.

–Na to wygląda – rzekł. – Całe królestwo postawione jest w stan gotowości. Jedziemy z wieściami od Duncana do króla Swyddneda.

–Aby go znaleźć, musielibyście udać się na południowy zachód – przypomniała Evanlyn. Will zauważył, że drgnęła lekko, gdy usłyszała imię króla Duncana. – Wątpię jednak, by zdecydował się opuścić swoje pozycje obronne i przyłączyć się do wojsk Araluenu.

Gilan od razu potrząsnął głową.

–Wydaje mi się, że ta sprawa jest ważniejsza od posłannictwa do Swyddneda. W końcu, chodziło

głównie o to, by powiadomić go, że Morgarath szykuje się do uderzenia. Mam wrażenie, że Swyddned

już to zauważył.

Wstał, przeciągnął się i ziewnął. Było już całkiem ciemno.

–Proponuję, żebyśmy ułożyli się do snu i wyspali porządnie. Jutro o świcie wyruszymy z powrotem

na północ – oznajmił. – Ja obejmę pierwszą wartę, więc możesz zachować mój płaszcz, Evanlyn.

Wezmę płaszcz Willa, kiedy on mnie zastąpi.

Evanlyn odpowiedziała po prostu:

–Dziękuję.

Wszyscy zrozumieli, że chodzi jej o coś więcej niż tylko użyczenie okrycia. Will i Horace zajęli się dogaszaniem ogniska, Gilan zaś wziął swój łuk i wspiął się na skalny występ, z którego roztaczał się doskonały widok na ścieżkę prowadzącą do ich kotliny.

Gdy Will pomagał Evanlyn urządzić sobie jako takie legowisko, usłyszał jękliwy głos Carneya:

–Panie, bardzo proszę, czy można by poluznić nieco te liny na noc? Strasznie ciasno są związane... A zaraz potem usłyszał niedbałą odpowiedź Gilana:

–Oczywiście, że nie.

Rozdział 10

Następnego ranka największym kłopotem było podjęcie decyzji, co zrobić z Bartem i Carneyem.

Obaj bandyci spędzili wyjątkowo niewygodną noc. Związani plecami do siebie, siedzieli na twardych kamieniach. Przy każdej zmianie warty Gilan luzował na chwilę więzy, by przywrócić krążenie w ich zdrętwiałych kończynach. W końcu ustąpił i dał im co nieco do jedzenia oraz parę łyków wody. Jednak, tak czy inaczej, było to dla nich wyjątkowo niemile doświadczenie, tym bardziej, że nie mieli pojęcia, co zamierzał z nimi zrobić o poranku.

Prawdę mówiąc, Gilan też zupełnie nie wiedział, co z nimi począć. Nie miał najmniejszego zamiaru wlec ich za sobą w charakterze więźniów. Mieli do dyspozycji tylko cztery wierzchowce, wliczając w to jucznego konia, który dźwigał na swym grzbiecie ich toboły, a teraz będzie musiał nieść także Evanlyn. Był głęboko przekonany, że wieści o dziwnych poczynaniach Morgaratha w Celtii jak najprędzej powinny dotrzeć do króla Duncana, tymczasem kula u nogi, jaką stanowiłoby tych dwóch pieszych więźniów, zdecydowanie opóźniłaby podróż. W dodatku postanowił już, że wyruszy pełnym galopem naprzód, pozostawiając obu uczniów i dziewczynę w tyle – wiedział bowiem doskonale, że oprócz Wyrwija ani koń Horace'a, ani juczny luzak nie dotrzymałyby kroku Blaze'owi. Z tymi właśnie zagadnieniami próbował uporać się podczas śniadania, toteż pozwolił sobie nawet na luksus drugiego kubka ziołowego naparu, choć zapasy mocno się już kurczyły. Bądź co bądź, jeśli wyruszy przodem, jak planował, to przez dobrych kilka dni będzie musiał obyć się bez gorących napojów. Napotkał

pytające spojrzenie Willa, podjął wreszcie decyzję i skinął na niego, dając mu znak, by odszedł z nim na bok.

–Zamierzam ruszyć jak najprędzej do kraju – rzekł półgłosem.

–Sam, tak? – Will zrozumiał od razu. Chłopak szybko myśli, stwierdził w duchu Gilan z uznaniem. Skinął głową.

–To wieści o niebagatelnym znaczeniu, muszę więc dostarczyć je królowi Duncanowi jak najszybciej. Powinien wiedzieć, że nie może liczyć na pomoc Celtów.

–Ale... – Will zawahał się, a Gilan dostrzegł błysk zaniepokojenia w jego oczach. Chłopak rozejrzał się po obozowisku, jakby szukając jakiegoś argumentu, który mógłby przeciwstawić pomysłowi Gilana. W towarzystwie starszego zwiadowcy czuł się bezpiecznie. Gilan, podobnie jak Halt, zawsze wiedział, co w danej chwili należy uczynić. Teraz, gdy zdał sobie sprawę, że będą zdani tylko na siebie, Will zaczął się denerwować. Gilan wyczuł to od razu i położył dłoń na ramieniu chłopca.

–Przejdźmy się kawalek – zaproponował. Odeszli kilkanaście kroków od obozowiska.

Blaze i Wyrwij popatrzyły na nich z zainteresowaniem rozumnymi oczyma, a potem zdały sobie sprawę, że nie są jeszcze potrzebne, toteż powróciły do skubania rzadkiej trawy.

–Wiem, że wciąż nie daje ci spokoju tamto spotkanie z wargalami – Gilan postanowił mówić bez ogródek. Will stanął jak wryty.

–Halt ci powiedział, tak? – W jego głosie pobrzmiwała niepewność. Nie miał pojęcia, jak Halt ocenił jego zachowanie w tamtym starciu. Gilan poważnie skinął głową.

–Oczywiście, że mi powiedział. Stąd wiem, Willu, że nie masz się czego wstydić. Możesz mi wierzyć.

–Ale wiesz, Gilanie, ja wtedy spanikowałem. Zapomniałem wszystkiego, czego się nauczyłem i... Gilan uniósł dłoń, by powstrzymać potok samooskarżeń.

–Wiem tyle, że dotrzymałeś im pola. Nie stchórzylesz – oznajmił stanowczo. Will niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

–No... pewnie nie. Tylko, że...

–Bałeś się, ale nie uciekłeś. Willu, to nie jest tchórzostwo. To właśnie jest odwaga. Ba, najwyższa forma odwagi. Czy nie bałeś się, gdy zabiłeś kalkara?

–Jasne, że się bałem – zachnął się Will. – Ale to było co innego. Kalkar był czterdzieści metrów ode mnie i właśnie zamierzał rzucić się na sir Rodney'a.

–Tymczasem – dokończył za niego Gilan – wargal był dziesięć metrów od ciebie i na ciebie zamierzał

się rzucić. Wielka mi różnica.

Will nie był jednak przekonany.

–Tak naprawdę ocalił mnie Wyrwij – wyznał. Gilan pozwolił sobie na półuśmiech.

–Może uważał, że warto cię ocalić. To bystry konik. I choć ani ja, ani Halt nie możemy się z nim pod tym względem równać, to także żyjemy przekonanie, iż masz swoje zalety.

–Szczerze mówiąc... właściwie zaczynałem w to wątpić – przyznał Will. Jednak po raz pierwszy od wielu tygodni poczuł, że wraca mu wiara w siebie.

–No to nie zaczynaj! – rzucił ostro Gilan. – Brak wiary w siebie jest jak choroba. Jeśli stracisz

panowanie nad nim, twoje wątpliwości staną się rzeczywistością. Z tego, co wydarzyło się podczas

starcia z wargalami, musisz wyciągnąć wnioski. To doświadczenie, które powinno cię wzmocnić, a nie

osłabić.

Chłopak milczał przez chwilę, rozmyślając nad słowami Gilana. Potem wziął głęboki wdech i wyprostował się.

–No, dobra – mruknął i uniósł głowę. – Na czym polegać będzie moje zadanie?

Gilan spoglądał na niego przez dłuższy czas. Dostrzegł przemianę – w postawie chłopca i w tonie jego głosu. Właśnie o taką spokojną determinację mu chodziło.

–Przejmiesz dowodzenie – rzekł spokojnie. – W tej chwili nasze posłannictwo przestaje mieć rację bytu, więc będziesz podążał w ślad za mną do Araluenu, tak prędko, jak tylko będziesz mógł.

–Do Redmont? – spytał Will, a Gilan pokręcił głową.

–Do tej pory cała armia zgromadzi się już na równinie Uthal. Tam właśnie zdążam i tam zastaniesz Halta. Zanim odjadę, przejrzymy mapy i zaplanujemy dla was trasę.

–A co z dziewczyną? – spytał Will. – Mam ją przywieźć ze sobą, czy kiedy znajdziemy się już w Araluenu, zostawić gdzieś po drodze w bezpiecznym miejscu?

Gilan zastanowił się przez moment.

–Przywieź ją ze sobą. Król i jego doradcy mogą chcieć ją przepytac. A znajdzie się wówczas pośród

kwiatu rycerstwa Araluenu, więc trudno wyobrazić sobie dla niej bezpieczniejsze miejsce. Zamilkł na chwilę, a potem uznał, że należy podzielić się swymi domysłami z Willem.

–Co do niej... jest coś jeszcze – zaczął.

–Chcesz powiedzieć – przerwał Will – że w jej opowieści coś się nie zgadza, prawda?

Waha się i przerywa, jakby bała się nam o czymś powiedzieć. – Przyszła mu do głowy nowa myśl i zniżył jeszcze głos, choć mówili cicho, a obozowisko było już dość daleko. – Chyba nie myślisz, że jest szpiegiem? – spytał z niedowierzaniem.

Gilan potrząsnął głową.

–O nie, tego bym się nie obawiał. Pamiętaj jednak, co powiedziała. Gdy tylko nas ujrziała, wiedziała,

że jesteśmy zwiadowcami króla. Jakże ucieszyła się na nasz widok. Zwykli ludzie nie myślą o nas w ten sposób. Zwykli ludzie lękają się nas. Tylko przedstawiciele szlacheckich rodów darzą nas

zaufaniem.

Will zmarszczył czoło.

–A więc przypuszczasz... – zawiesił głos. Właściwie nie był pewien, o czym Gilan mówi.

–Owszem. Przypuszczam, że jest szlachcianką, która podszywa się pod swą pokojówkę.

–No dobrze, ale skoro widzi zwiadowców i cieszy się na ich widok, to czemu nam nie ufa, czemu nie miałaby nam powiedzieć, kim tak naprawdę jest? To chyba nie ma sensu – stwierdził Will, a Gilan wzruszył ramionami.

–Owszem. Ale może nie chodzi o to, że nam nie ufa. Może ma jakieś inne powody, by zataić swoje prawdziwe imię. Myślę, że nie powinieneś się tym kłopotać, ale mimo wszystko dobrze, żebyś zdawał sobie z tego sprawę.

Zawrócili i zaczęli iść w stronę obozowiska.

–Przykro mi, że zostawiam was tak na pastwę losu – dodał Gilan – ale nie jesteście tacy znów

bezbronni. Masz swój łuk i noże, a także Horace'a u boku.

Will rzucił okiem w stronę postawnego czeladnika rycerskiego, który pograżony był w wesolej rozmowie z Evanlyn. Odchyliła właśnie głowę i roześmiała się, a on poczuł ukłucie zazdrości. Jednak natychmiast zdał sobie sprawę, że powinien raczej się cieszyć z obecności przyjaciela.

–Jasne. Nieźle sobie radzi z mieczem, prawda? Gilan zatrzymał go ruchem ręki i popatrzył mu w oczy.

–Słuchaj, nigdy mu tego nie powiem, bo nie jest dobrze, by szermierz popadał w zbytne zadufanie, ale naprawdę radzi sobie dużo lepiej niż nieźle. – Znów dotknął ramienia Willa. – Co nie znaczy, że byście mieli szukać guza. Wargalowie wciąż mogą tu być, więc wędrujcie nocą, a dniami kryjcie się pośród skał.

–Gilan – zagaił Will, przypomniawszy sobie o czymś, co nie dawało mu spokoju. – Jak się pozbędziemy tych dwóch? – wskazał palcem bandziorów, wciąż skrępowanych plecami do siebie, którzy usiłowali przysnąć w tej upiornie niewygodnej pozycji i wciąż budzili się wzajemnie, gdy głowa któregoś z nich opadła na piersi.

–Oto jest pytanie – przyznał zwiadowca. – Przypuszczam, że mógłbym ich powiesić. Posiadam odpowiednie uprawnienia. Bez wątpienia usiłowali stanąć na przeszkodzie poczynaniom posłańców króla. A ponadto dopuścili się rabunku w czasie wojny. I jedno i drugie

oznacza karę śmierci.

Rozejrzał się dookoła, po skalistych zboczach.

–Kłopot w tym, że nie mogę tego zrobić tutaj – dodał półgłosem.

–Chcesz powiedzieć – podjął Will, któremu ten pomysł bardzo nie przypadł do gustu – że twoje uprawnienia, na podstawie których mógłbyś ich powiesić, nie działają poza terenem królestwa?

Gilan uśmiechnął się do niego radośnie.

–Nad tym się akurat nie zastanawiałem. Chodziło mi głównie o to, że trochę trudno byłoby to zrobić

w sytuacji, gdy w promieniu stu kilometrów nie sposób znaleźć drzewa wyższego niż na metr.

Will odetchnął w duchu, zdając sobie sprawę, że Gilan nie planuje przeprowadzenia okrutnej egzekucji. Jednak uśmiech szybko zniknął z twarzy zwiadowcy.

–Jedno wiem na pewno – nie chcę, żebyście znów mieli z nimi kłopoty. Toteż, dopóki się ich nie

pozbedziemy, nie wspominaj ani słowem o mych planach, dobrze?

W końcu okazało się, że problem da się całkiem prosto rozwiązać. Po pierwsze, Gilan kazał Horace'owi złamać miecz Carneya między dwoma kamieniami. Następnie cisnął maczugę Barta w przepaść zionącą u skraju drogi. Słychać było, jak stuka i grzechocze o kolejne skały, nim wylądowała na jej dnie.

Kiedy to już się stało, Gilan kazał obu bandziorom rozebrać się do bielizny.

–Tego nie powinnaś oglądać – pouczył Evanlyn. – Zresztą, nie będzie to ładny widok.

Dziewczyna skryła się do namiotu, chichocząc, a obaj mężczyźni rozebrali się do obszarpanych gaci. Drżeli z zimna.

–Buty też! – nakazał Gilan, a obaj bandyci siedli niezdarnie na kamienistym gruncie i posłusznie zdjęli obuwie.

Gilan trącił czubkiem buta ich ubrania ułożone w stos.

–A teraz zwiążcie to w jeden porządny tobolek, użyjcie swoich pasów – nakazał i dopilnował, by Bart

oraz Carney spełnili polecenie.

Gdy wszystko było już gotowe, przywołał Horace'a i wskazał dwie kupki odzieży oraz stojące obok buty.

–Horace, zechciej posłać to wszystko w ślad za maczugą – poprosił grzecznie.

Horace z radosnym uśmiechem wykonał rozkaz. Bart i Carney próbowali protestować, ale zamilkli w pół słowa pod lodowatym spojrzeniem Gilana.

–I tak wam się upiekło – stwierdził Gilan chłodno. – Jak już mówiłem wcześniej Willowi, mam prawo was powiesić.

Bart i Carney przezornie nie odezwali się więcej ani słowem, zaś Gilan kazał Horace'owi znów ich związać.

Byli potulni, nawet nie próbowali się sprzeciwić – i już po paru minutach znów siedzieli plecami do siebie, trzęsąc się jak osiki na mroźnym wietrze hulającym pośród wzgórz. Gilan

stanął nad nimi i przyglądał im się przez chwilę.

–Narzućcie na nich koc – rzekł z obrzydzeniem. – To znaczy plandekę, końską.

Will wykonał polecenie z uśmiechem. Oczywiście nie użył plandeki Wyrwija, tylko tej, która należała do krępego luzaka. Gilan zabrał się do siodłania Blaze'a, przemawiając jednocześnie do pozostałych uczestników wyprawy przez ramię.

–Jadę na zwiad do Gwyntaleth. Może znajdzie się tam ktoś jeszcze, od kogo dowiem się, co knuje Morgarath

–to mówiąc, spojrział znacząco na Willa, a Will zrozumiał w mgnieniu oka, że Gilan mówi to, by zmylić bandziorów. Skinął nieznacznie głową. – Powiniennem wrócić przed zachodem słońca – mówił dalej Gilan głośno.

–Nie ukrywam, że liczę na coś ciepłego do jedzenia, kiedy wrócę. Wskoczył zgrabnie na siodło i skinął w stronę Willa. Pochylił się i wyszeptał:

–Zostawcie tych dwóch związanych i ruszcie w drogę o zachodzie słońca. Wkrótce się uwolnią, ale potem będą musieli udać się na poszukiwanie butów i odzienia. Bez tego daleko w górach nie zajdą. Dzięki temu będziecie mieli nad nimi dzień przewagi, to powinno wam wystarczyć.

Willowi nie trzeba było tego powtarzać.

–Rozumiem. Wracaj szybko, Gilanie.

Zwiadowca puścił do niego oko. Potem jednak zawahał się przez chwilę... i podjął decyzję.

_ Willu – szepnął. – Czasy są niepewne i nikt z nas nie wie, co się może zdarzyć. Być może to dobry pomysł, żebyś wyjawiał Horace'owi tajne hasło Wyrwija.

Will skrzywił się niechętnie. Słowa, które zapewniały posłuszeństwo wiernego wierzchowca zwiadowcy, były jednym z najpilniej strzeżonych sekretów, więc niechętnie myślał o tym, by zdradzić

je komukolwiek, choćby i zaufanemu przyjacielowi, takiemu jak Horace. Widząc jego wahanie, Gilan powtórzył:

–Nie wiadomo, co się może zdarzyć. Kto wie, może będziesz ranny albo z jakichś innych przyczyn niezdolny do działania... a wówczas, bez hasła, Horace żadnym sposobem nie zdoła nakłonić Wyrwija do posłuszeństwa. To tylko tak, na wszelki wypadek – stwierdził. Will zrozumiał go już jednak i rzeczowo skinął głową.

–Powie mu zaraz – obiecał. – Uważaj na siebie, Gilanie.

Wysoki zwiadowca pochylił się i mocno uścisnął jego dłoń.

–Jeszcze jedno. Przejmujesz dowództwo. To znaczy, że tamci dwoje mają ciebie słuchać. Nie daj im do zrozumienia, że wahasz się, że nie jesteś pewien siebie. Wierz we własne siły, a wówczas i oni w ciebie uwierzą.

Dał znak Blaze'owi kolaniem, gniadosz odwrócił się w stronę drogi. Gilan uniósł rękę na pożegnanie, pomachał Horace'owi i Evanlyn – i odjechał klusem. Wiatr szybko rozwiał kurz wzniesiony przez końskie kopyta. A wówczas Will poczuł się bardzo mały. I bardzo samotny.

Rozdział 11

Tej nocy jechali tak prędko, jak tylko się dało, choć tempo podróży opóźniał juczny konik, który zdolny był tylko do spieszego truchtu. Znow zaczęło padać, przez co wędrowka stała się znacznie bardziej uciążliwa. Ulewa ustała godzinę przed świtem i chmury się rozeszły, toteż pierwsze promienie światła na wschodzie zabarwiły niebo na bladoperłowy kolor. Kiedy na dobre zaczęło się rozjaśniać, Will uznał, że pora już zacząć wypatrywać jakiejś odpowiedniej kryjówki na dzień.

Horace zauważył, że jego przyjaciel się rozgląda. – A może jedźmy dalej? – zaproponował. – Konie nie są tak naprawdę zmęczone, wytrzymają jeszcze parę godzin.

Will zawahał się. Przez całą noc nie spotkali nikogo, nic też nie wskazywało na to, by w okolicy znajdowali się wargalowie. Tym niemniej nie miał ochoty postępować wbrew radom Gilana. Już nieraz przekonał się na własnej skórze, że starsi zwiadowcy zazwyczaj wiedzą, co mówią, i warto się stosować do ich sugestii. W końcu problem rozwiązał się sam, bo za kolejnym zakrętem drogi chłopak ujrzał gąszcz krzewów rosnących jakieś trzydzieści metrów dalej. Choć najwyższe z krzewów nie mierzyły sobie więcej niż trzy metry, były bardzo gęste, co gwarantowało osłonę zarówno przed porywami wiatru jak i niepowołanymi spojrzeniami.

–Zatrzymamy się tutaj – oznajmił stanowczo Will, wskazując krzaki. – To pierwsze znośne

schronienie, jakie trafiło nam się od wielu godzin. Kto wie, kiedy zdarzy się następne?

Horace wzruszył lekko ramionami. Nie miał nic przeciwko temu, żeby to Will decydował o takich rzeczach. Rzucił tylko propozycję, wcale nie próbując uzurpować sobie funkcji, jaką Gilan wyznaczył uczniowi zwiadowcy. Horace był w głębi ducha poczciwcem i odpowiadało mu, że kto inny wydaje rozkazy oraz podejmuje ważne decyzje. Najpierw jechać. Potem się zatrzymać. Walczyć. Jeżeli tylko ufał osobie sprawującej dowodzenie, chętnie okazywał posłuszeństwo. Willowi ufał, a przy tym miał niejasne przekonanie, iż jeśli ktoś przeszedł szkolenie zwiadowcy, stawał się przez to inteligentniejszy i tym samym podejmował trafniejsze decyzje. Rzecz jasna, miał w tym względzie słuszość -przynajmniej w znacznym stopniu. Gdy zsiadli z koni i przeprowadzili je przez gąszcz na polankę, Will cicho odetchnął z ulgą. Cała noc spędzona w siodle dała mu się we znaki bardziej, niż przypuszczał. Robili tylko krótkie postoje, więc teraz miał ochotę na kilka godzin porządnego snu. Pomógł Evanlyn zsiąść z konia – siedziała wysoko na jukach i zejście na dół było dość trudne. Potem zabrał się do rozpakowywania zapasów żywności oraz plandeki, która miała im posłużyć za osłonę przed deszczem. Evanlyn nie odezwała się ani słowem, przeciągnęła się tylko, przeszła parę kroków i usiadła na płaskim kamieniu.

Will zmarszczył nieco brwi i rzucił tobolek z jedzeniem u jej stóp.

–Możesz zająć się przygotowaniem posiłku – polecił, trochę ostrzejszym tonem, niż zamierzał. Drażniło go, że dziewczyna po prostu rozsiadła się wygodnie, pozwalając, by całą robotą zajęli się on z Horace'em. Spojrzała na tobolek i rzuciła gniewnie:

–Nie jestem głodna.

Horace, który zabierał się do rozsiadania swojego wierzchowca, przerwał tę czynność i podszedł do nich.

–Ja się tym zajmę – zaproponował, by nie dopuścić do sporu między tymi dwójkiem. Jednak Will go powstrzymał.

–Nie – rzekł. – Chciałbym, żebyś rozpiął plandekę. Evanlyn może przygotować dla nas jedzenie.

Ich spojrzenia spotkały się. Oboje byli zagniewani, ale Evanlyn po chwili zdała sobie sprawę, że nie ma racji i spuściła wzrok. Wzruszyła lekko ramionami i sięgnęła po pakunek.

–Skoro to dla ciebie takie ważne – mruknęła i spytała: – Czy zgodzisz się, żeby Horace rozpalil

ognisko? Upora się z tym znacznie szybciej niż ja.

Will zastanowił się przez chwilę. Póki znajdowali się jeszcze w Celtii, wolał unikać rozpalania ognia. Przecież właśnie dlatego podróżowali nocą, by nikt ich nie dostrzegł. Byłoby absurdem rozpalać teraz ognisko, którego dym będzie widoczny z daleka. Istniał także drugi powód, o którym wspominał poprzedniego dnia Gilan.

–Nie ma mowy – oświadczył stanowczo. – Musimy obejść się bez ognia. Evanlyn wściekłym gestem cisnęła tobolek z żywnością na ziemię.

–No nie, znowu zimny posiłek! – parsknęła. Will spojrzał na nią spokojnie.

–Jeszcze nie tak dawno byłabyś zachwycona, mogąc zjeść cokolwiek, co tylko nadaje się do jedzenia. Na ciepło czy na zimno, bez znaczenia – przypomniał jej. – Posłuchaj – dodał spokojniejszym tonem – Gilan ma znacznie większe doświadczenie niż którekolwiek z nas, a on powiedział, że za wszelką cenę powinniśmy starać się przemknąć niepostrzeżenie. Rozumiesz?

Mruknęła coś pod nosem. Horace spoglądał na nich, wyraźnie zaniepokojony rodzającym się konfliktem. Postanowił spróbować ich pogodzić.

–Mogę rozpalić małe ognisko, tylko takie do gotowania – zaproponował pojednawczo. – Jeśli rozpalimy go pod krzakami, dym rozproszy się w gałęziach i prawie nie będzie go widać.

–Chodzi nie tylko o to – wyjaśnił Will, zarzucając bukłak z wodą na ramię i wydobywając luk z sajduka przytroczonego do siodła. – Gilan powiedział mi, że wargalowie mają wyjątkowo czuły zmysł powonienia. A jeżeli rozpalimy ognisko, zapach dymu będzie wyczuwalny jeszcze długie godziny po zgaszeniu ognia.

Horace skinął głową; to był decydujący argument. Nim ktokolwiek zdążył rzec coś więcej, Will powiadomił ich:

–Rozejrzę się po okolicy. Sprawdzę, czy nie ma gdzieś w pobliżu świeżej wody. A przy okazji

upewnię się, czy jesteśmy tu sami.

Odwrócił się, nie zwracając uwagi na opryskliwe: „Akurat. A kto by tu się włóczył?“, które dziewczyna rzuciła przez zęby na tyle głośno, żeby ją usłyszał. Zaczął skradać się pośród skał. Starannie zbadal obszar wokół ich obozowiska, kryjąc się jak najstaranniej i poruszając bezszelestnie. Hakt kiedyś pouczył go: „Za każdym razem, gdy dokonujesz rozpoznania terenu, postępuj tak, jakbyś

był przekonany, że w pobliżu znajduje się ktoś, kto nie powinien cię dostrzec. Nigdy nie zakładaj, że nie ma zagrożenia“.

Nie natrafił jednak na żadne ślady wargalów ani Celtów. Znalazł za to mały strumyczek, w którym płynęła kryształowo przejrzysta woda. Prąd był na tyle szybki, że sprawiała wrażenie jak najbardziej zdatnej do picia, jednak Will na wszelki wypadek najpierw jej spróbował, a stwierdziwszy, iż nie jest niczym zanieczyszczona, napelnił po brzezi skórzane bukłaki. Świeża źródłana woda smakowała wybornie, zwłaszcza że od dłuższego czasu musieli zadowalać się

wodą, która mocno już przeszła nieprzyjemnym zapachem skóry. Evanlyn i Horace czekali w obozowisku na jego powrót. Evanlyn rozłożyła na talerzu kawałki suszonego mięsa i twarde suchary, którymi posilali się zamiast chleba. Ku swemu zadowoleniu stwierdził, że na mięsie ułożyła kilka korniszonów: każde urozmaicenie mdłego smaku było mile widziane. Zajadając, zauważył, że na jej talerzu nie było ani jednego.

–Nie lubisz korniszonów? – spytał z ustami pełnymi mięsa i sucharów. Pokręciła głową, nie patrząc mu w oczy.

–Nie bardzo. Horace jednak nie zamierzał dopuścić, by jej poświęcenie poszło na marne:

–Oddała ci ostatnie – powiadomił Willa.

Przez chwilę Willowi zrobiło się głupio. Właśnie pochłonął ostatniego korniszona i miał go w ustach, więc teraz żadną miarą nie mógł już nikogo nim poczęstować.

–Aha. Yhm – wymamrotał, zdając sobie sprawę, że tym samym uczyniła krok do zgody pomiędzy

nimi. – Ee... dziękuję ci, Evanlyn.

Potrząsnęła głową. Will zdał sobie sprawę, że pewnie gdyby nosiła długie włosy, czyli gdyby nie była obcięta na chłopaka, wyglądałoby to znacznie efektowniej.

–Mówiłam – powtórzyła – że nie przepadam za korniszonami.

Jednak teraz w jej głosie pobrzmiwał jakby cień rozbawienia, zły humor minął. Will uśmiechnął się do niej w odpowiedzi.

–Obejmę wartę jako pierwszy – zapowiedział. I uśmiechnął się do Evanlyn jeszcze raz, żeby na pewno

wiedziała, iż nie chowa urazy.

–Jeżeli obejmiesz także drugą wartę, możesz sobie zjeść moje korniszony – powiedział Horace i wszyscy roześmiali się. Odtąd w ich małym obozowisku zapanowała swobodna atmosfera, napięcie znikło. Horace i Evanlyn zaczęli mościć sobie legowiska z koców, płaszczy oraz zgromadzonych pod nimi suchych liści.

Will wziął manierkę z wodą i, okryty płaszczem, wspiał się na jedną z większych skał wznoszących się w pobliżu obozowiska. Ułożył się na tyle wygodnie, na ile to było możliwe. Miał stąd dobry widok zarówno na wznoszące się z jednej strony kamieniste wzgórze, jak i na gęstwinę krzewów, która osłaniała ich od strony drogi. Pamiętając o naukach Halta, ułożył wokół siebie kilka kamieni, starając się, by wyglądało to jak najnaturalniej, dzięki czemu mógł spoglądać pomiędzy nimi, nie unosząc zbyt wysoko głowy. Kręcił się przez kilka minut, bowiem twarde krawędzie skały uwierały go niemiłosiernie, a potem zrezygnował. Uznał, że w ten sposób przynajmniej nie uśnie podczas warty. Nasunął kaptur płaszcza na głowę. Gdy przestał się poruszać, sprawiał wrażenie, jakby wtopił się w tło i stał się niemal niewidzialny.

Nagle uszu Willa dobiegł jakiś dźwięk. Wzmagał się i słabł wraz z podmuchami wiatru. Gdy wiało bardziej, odgłos stawał się wyraźniejszy. Chwilami jednak zupełnie zanikał, toteż z początku wydawało mu się, że to urojenia umysłu, wyczerpanego po nieprzespanej nocy. Jednak dźwięk rozległ się znowu. Niski, rytmiczny odgłos. Jakby szmer głosów, ale niepodobnych do jakiegokolwiek ludzkiego głosu, który kiedykolwiek słyszał. Przez chwilę wydało mu się, że brzmi on trochę jak śpiew, jednak gdy wiatr powiał mocniej i Will dosłyszał ów dźwięk wyraźniej, uświadomił sobie, że nie, bo nie było w nim żadnej melodii. Tylko rytm. Stały, niezmienny rytm.

Wiatr ucichł znów, a odgłos wraz z nim. Will poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach. W tym odgłosie było coś nienaturalnego. Groźnego. Czuł to całym sobą. I znów! Teraz już wiedział: wiele niskich głosów naraz, które skandują coś rytmicznie, unisono. Wiatr wiał z południowego zachodu, a więc dźwięk musiał dochodzić z tego odcinka drogi, który już przebyli. Uniósł się lekko i bardzo ostrożnie przysłonił oczy dłonią, spoglądając w tamtym kierunku. Ze swego stanowiska miał widok na mniej więcej kilometrowy odcinek gościńca, znikającego od czasu do czasu za jakimś wzgórzem lub skałą. Nigdzie nie zauważył najmniejszego nawet śladu ruchu. Szybko zsunął się na dół, by obudzić pozostałych.

Tajemnicze odgłosy rozlegały się coraz bliżej. Nie milkły już, gdy zamierał wiatr. Will, Horace i Evanlyn przycupnęli w krzakach, nasłuchując owych głosów z niepokojem.

–Może powinniście się trochę cofnąć – stwierdził Will. Wiedział, że on sam, ukryty pod płaszczem i z

twarzą ocienioną kapturem jest praktycznie niewidoczny, natomiast stroje towarzyszy nie maskowały

ich tak dobrze. Oboje cofnęli się co prędzej i bez słowa sprzeciwu, zaszywając się głębiej w gęstwinie.

Horace był zaniepokojony, ale i *zarazem* zaciekawiony. Natomiast Evanlyn aż pobladła ze strachu.

Już przedtem Will pospiesznie zwinął obozowisko, zacierając wszystkie ślady ich pobytu na wypadek, gdyby nadciągający właściciele głosów wysłali straż przednią, która sprawdzałaby również pobocze gościńca. Konie odprowadzili dalej, ukrywając je dobre sto metrów od drogi, pośród skał. Tam też pozostawili swoje bagaże. Potem we trójkę ukryli się w krzakach, tak jednak, by mieć widok na drogę.

–Kto to taki? – szepnął niemal bezgłośnie Horace, gdy nieznany dźwięk stał się jeszcze donioślejszy. Według oceny Willa dochodził już zza zakrętu, który znajdował się zaledwie kilkadziesiąt metrów od nich.

–Nie wiesz? – odpowiedziała Evanlyn szeptem drżącym z przerażenia. – To wargalowie.

Rozdział 12

Will i Horace popatrzyli na nią ze zdumieniem. – Wargalowie? Skąd wiesz? – zdziwił się Will. – Już ich słyszałam – wyjaśniła, przygryzając wargę. – Wydają taki odgłos, kiedy maszerują.

Will zastanowił się. Czterej wargalowie, których tropił razem z Haltem, przemieszczali się w milczeniu, ale w końcu nic dziwnego, bo przecież podążali śladem swojej ofiary. Kątem oka Will dostrzegł ruch na drodze. – Na dół! – syknął natychmiast. – Twarzą do ziemi! Horace i Evanlyn natychmiast opuścili głowy. Will nasunął kaptur głębiej na twarz, przytrzymując jego poły przedramieniem, tak że odsłonięte pozostały tylko jego oczy. Ów odgłos, jak się teraz przekonał, był czymś w rodzaju nieustającej komendy wyznaczającej rytm kroków wargalów. Tak samo jak sierżant, który pokrzykuje „lewa, lewa!”, by oddział piechoty szedł w nogę. Naliczył ich około trzydziestki. Rosłe, ociążałe postacie, ubrane w ciężkie, połyskujące metalem kaftany i pludry z jakiegoś grubego materiału. Biegli miarowym truchtem, wydobywając z siebie gardłowy pomruk bez słów – a właściwie, jak zdał sobie właśnie sprawę, były to tylko miarowe postękiwania. Byli uzbrojeni po zęby w krótkie miecze, maczugi i topory bojowe gotowe do natychmiastowego użycia. Póki co nie był jeszcze w stanie dostrzec ich rysów. Biegli w dwóch rzędach, kołysząc się miarowo na boki. W następnej chwili zorientował się, że prowadzą między sobą więźniów. Teraz, gdy zbliżyli się, dostrzegł także, iż pojmani – było ich kilkunastu – ślaniali się i potykali, nie będąc w stanie dotrzymać kroku

biegnącym wargalom. To z pewnością byli Celtowie. Górnicy, sądząc po skórzanych fartuchach i charakterystycznych czapkach na głowach. Widać było, że są skrajnie wyczerpani, zaś wargalowie poganiali ich za pomocą krótkich pejczy. Skandowanie rozległo się głośniejsze.

–Co się dzieje? – spytał szeptem Horace, a Will w tej chwili miał ochotę go udusić.

–Cisza! – syknął. – Ani słowa!

Wargalowie zbliżyli się tymczasem na tyle, że widać już było ich twarze, a raczej pyski. Willa przeszedł dreszcz, gdy przyjrzał się lepiej potężnym żuchwom i grubym, długim nosom przypominającym świńskie ryje. Oczka wargalów były małe i połyskiwały dziką wściekłością, gdy chłostali biczami nieszczęsnych Celtów. Gdy jeden z nich warknął coś do więźnia, który się potknął, Will dostrzegł przez krótką chwilę żółte kły. Poczłł nieodpartą chęć, by skulić się jeszcze bardziej i przypaść do ziemi, ale zdawał sobie sprawę, że przy najmniejszym poruszeniu może zostać zauważony. Musiał zaufać maskowaniu, jakie zapewniał mu płaszcz. Miał też ochotę zamknąć oczy, by nie spoglądać na paszcze tych bestii, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć. Zafascynowany, że zgrozą przyglądał się straszliwym stworom, które wciąż pomrukując miarowo, przebiegały obok jego kryjówki. Celtycki górnik nie mógł stracić równowagi w mniej fortunnym miejscu. Gdy jeden z wargalów chłosnął go pejczem, potknął się, zachwiał, a potem runął na drogę, pociągając za sobą towarzyszy niedoli. Will zorientował się teraz, że wszyscy więźniowie są powiązani razem grubym rzemieniem z surowej skóry. Kolumna zatrzymała się, zapanowało zamieszanie, a miarowe pomruki umilkły. Zamiast nich rozległo się gniewne powarkiwanie i chrapliwe okrzyki wargalów. Obaj więźniowie, których tamten przewrócił, dźwignęli się z trudem na nogi pod gradem razów zadawanych im przez oprawców. Górnik, który upadł pierwszy, leżał nieruchomo, choć jeden z wargalów siekł go wściekle batem. Po chwili przyłączył się do niego drugi, który zaczął tłuc nieszczęśnika ciężkim drzewcem okutej stalą włóczni. Górnik jednak nawet się nie poruszył. Przyglądający się temu

wszystkiemu Will z przerażeniem zrozumiał, że ten człowiek nie żyje. W końcu pojęli to i wargalowie. Padła jakaś niezrozumiała komenda, wydana przez któregoś z nich – z pewnością dowódcę. Dopiero wtedy tamci dwaj przestali pastwić się nad zwłokami i przecięli więzy łączące nieszczęśnika z pozostałymi. Potem ujęli bezwładne ciało za ręce i nogi, by cisnąć je w zarośla, w których krył się Will i jego towarzysze. Ciało upadło z trzaskiem, łamiąc gałęzie i w tej samej chwili Evanlyn wydała cichy okrzyk przerażenia. Stłumiła go niemal natychmiast, właściwie gdy tylko się rozległ... ale jednak o sekundę za późno. Przywódca wargalów jakby coś dosłyszał. Odwrócił się i wpatrywał teraz w miejsce, gdzie leżały zwłoki, podejrzewając, że dźwięk ów wydał nieszczęśny górnik. Zapewne przyszło mu na myśl, że biedak tylko udawał trupa – w rozpaczliwej próbie ucieczki. Padł kolejny rozkaz i wargal z włócznią podszedł do nieboszczyka, stanął nad nim i dźgnął niedbale grotem nieruchome zwłoki.

Nie uspokoiło to jednak w pełni podejrzeń dowódcy. Przez długą chwilę wpatrywał się w krzaki i to dokładnie w to miejsce, gdzie leżał ukryty Will. Chłopak nagle zdał sobie sprawę, że patrzy prosto we wściekle czerwone oczka dzikiej bestii. Miał ochotę spuścić wzrok, bo wydawało mu się, że stwór go widzi. Jednak szkolenie, jakie przeszedł u Halta w ciągu minionego roku, nie poszło na marne. Wiedział, że gdy spuści wzrok, może to spowodować nieznaczny ruch głowy. Tymczasem podstawą, jeśli chodzi o krycie się, nie są wcale czarodziejskie właściwości płaszcza, jak zdaje się wielu ludziom, lecz umiejętność zachowania absolutnego bezruchu przez osobę pod nim schowaną.

A więc wyężdżając całą swą wolę, Will nawet nie drgnął, patrząc na wargala. Zaszło mu w ustach. Serce biło mu chyba dwukrotnie szybciej niż zwykle. Słyszał chrapliwy, ciężki oddech potężnego stwora i widział, jak jego nozdrza poruszają się lekko, próbując wyczuć jakies podejrzaną zapachy niesione przez wiatr. Odwrócił się wreszcie... a potem gwałtownym ruchem cofnął i znów spojrział w to samo miejsce. Na szczęście Will doskonale znał tę starą sztuczkę. Nadal tkwił w całkowitym bezruchu. Wreszcie wargal stęknął gardłowo, a potem rzucił rozkaz swojemu oddziałowi. Znów rozległ się tupot stóp i miarowy pomruk. Ruszyli dalej, zostawiając ciało martwego górnika przy drodze. Gdy odgłos stał się cichszy i wargalowie znikli za kolejnym zakrętem gościńca, Will poczuł, że leżący za nim Horace drgnął.

–Nie ruszaj się! – szepnął. Zawsze istniała możliwość, że za oddziałem wargalów podążał „zamiatacz”

–pełniący rolę bezgłośnie poruszającej się straży tylnej, którego zadaniem było przyłapanie kogoś, kto mógłby sądzić, że niebezpieczeństwo już minęło.

Zmusił się, by doliczyć powoli do stu, nim pozwolił towarzyszom wycofać się głębiej w krzaki, gdzie mogli wreszcie rozprostować zdrewniałe kończyny. Dał znak Horace'owi, żeby zaprowadził Evanlyn do obozowiska, a sam ostrożnie zbliżył się ku skrajowi drogi, by na wszelki wypadek przyjrzeć się z bliska Celtowi. Tak jak przypuszczał, górnik był martwy. Ślady na jego ciele świadczyły o tym, że bito go wielokrotnie w ciągu minionych kilku dni. Na twarzy miał siniaki i krwawe pręgi od bicia. Will nie mógł już nic dla niego zrobić, toteż pozostawił go tam, gdzie cisnęli nieszczęśnika wargalowie, po czym wrócił do swych towarzyszy. Evanlyn płakała. Gdy się zbliżył, podniosła na niego oczy. Jej policzki zalane były łzami, a ramiona drżały od szlochów. Horace stał obok z bezradnym wyrazem twarzy, nie wiedząc, co począć z rękami.

–Przepraszam – wychlipała wreszcie z trudem Evanlyn. – To ten... ten ich śpiew... te

głosy... Od razu

przypomniało mi się, jak...

–Już dobrze, dobrze – rzekł Will uspokajającym tonem. – Dobry Boże, to naprawdę straszliwe stworzenia! – dodał i potrząsnął głową. Horace raz czy dwa przelknął ślinę. Nie widział wargalów. Przez cały czas leżał z twarzą przyciśniętą mocno do piachu. Willowi przyszło do głowy, że pewnie było to równie okropne przeżycie, choć w trochę inny sposób.

–Jak oni wyglądają? – spytał cicho Horace. Will znów pokręcił głową. Prawie nie sposób było ich opisać.

–Jak bestie – odparł. – Jak niedźwiedzie... albo raczej jak skrzyżowanie niedźwiedzia i psa. Poruszają się jednak w postawie wyprostowanej, jak ludzie.

Evanlyn znów się rozplakała.

–Są straszni! – wyszlochala. – Potworne, obmierzłe stwory. O Boże, mam nadzieję, że już nigdy ich

nie zobaczę!

Will podszedł do niej i niezgrabnie dotknął jej ramienia.

–Już odeszli – rzekł cicho, jakby uspokajał małe dziecko. – Odeszli i nic nie mogą ci zrobić.

Wzięła głęboki wdech, żeby zapanować nad sobą. Po chwili popatrzyła na niego z bladym uśmiechem na twarzy. Uniosła dłoń i położyła ją na jego ręce, czerpiąc pociechę z jej ciepła i samego dotyku. Stali tak przez dłuższą chwilę, a Will zastanawiał się, jak ma im wyjawić, co postanowił uczynić.

Rozdział 13

Chcesz jechać za nimi?

Horace spoglądał w osłupieniu na drobną postać przyjaciela. Nie wierzył własnym uszom.

Will nie odezwał się, więc Horace spróbował znów:

–Willu, właśnie dobre pół godziny kryliśmy się w krzakach, modląc się, żeby te poczwary nas nie

wypatrzyły. A teraz chcesz jechać za nimi i dać im jeszcze jedną szansę?

Will rozejrzał się, żeby upewnić się, że Evanlyn znajduje się poza zasięgiem ich głosów. Nie chciał niepotrzebnie straszyć dziewczyny.

–Mów ciszej – napomniął Horace'a, więc jego przyjaciel zniżył głos, jednak przemawiał nadal tak samo żarliwie:

–Ale po co? – dopytywał się. – Co to da?

Will przestąpił nerwowo z nogi na nogę. Szczerze mówiąc, jego samego myśl o podążeniu śladem wargalów napawała przerażeniem. Czuł, że serce nadal bije mu szybko, wciąż znacznie prędzej niż zwykle. Były to straszliwe stwory, całkiem pozbawione jakichkolwiek odruchów litości czy współczucia, czego dobitnie dowodził los zgotowany więźniowi. A jednak był przekonany, że nie wolno przepuścić takiej okazji.

–Słuchaj – rzekł półgłosem. – Halt zawsze powtarzał mi, że równie ważne jak wiedza o poczynaniach

przeciwnika jest zrozumienie, dlaczego zachowuje się on tak, a nie inaczej. Czasem to nawet

ważniejsze.

Horace uparcie pokręcił głową.

–Nie pojmuję – wyznał. W jego mniemaniu pomysł Willa był zupełnym szaleństwem, a w dodatku

przejawem nieodpowiedzialnego i karygodnego ryzykanctwa.

Tak naprawdę Will też nie miał całkowitej pewności, czy postępuje słusznie. Pamiętał jednak wygłoszone przez Gilana na pożegnanie słowa o tym, by nie dawać po sobie poznać, że się waha – a wszystko, czego nauczył się od Halta, mówiło mu, że powinien wykorzystać sytuację.

–Wiemy, że wargalowie wylapują celtyckich górników i dokądś ich prowadzą – wyjaśnił. – Wiemy też,

że Morgarath nie robi niczego bez powodu. To może być szansa, by dowiedzieć się, co knuje.

Horace wzruszył ramionami.

–Potrzeba mu niewolników – stwierdził, ale Willowi to nie wystarczało.

–Ale po co? I dlaczego tylko górników? Evanlyn mówiła przecież, że interesują go jedynie górnicy. Dlaczego? Nie rozumiesz? – nalegał, zmuszając przyjaciela do wysiłku umysłowego. – To może być bardzo ważne. A Halt mówi, że o przebiegu wojny często decyduje jakaś z pozoru nieistotna informacja.

Horace zastanowił się przez chwilę. Musiał przemyśleć słowa przyjaciela. W końcu z wolna kiwnął głową.

–Zgoda – przyznał. – Chyba jednak masz rację. Horace nie myślał szczególnie szybko.

Myślał jednak

metodycznie i – na swój własny sposób – logicznie. Will od razu zrozumiał, że trzeba śledzić wargalów. Horace musiał do tego dojść powoli i mozolnie. Jednak teraz, kiedy już wszystko rozumiał, zdał sobie sprawę, że Willem nie powodowała jakaś nierozumna, awanturnicza zachcianka. Przyszły rycerz był już przekonany.

–No dobrze, skoro mamy za nimi jechać, to pora nam w drogę – stwierdził. Teraz Will był całkowicie zaskoczony.

–Nam? – powtórzył. – Jakim znowu „nam”? Tylko ja pojedę za nimi. Twoim zadaniem będzie odwieźć bezpiecznie Evanlyn do kraju.

–Bo niby kto mi każe? – spytał Horace, trochę wyzywającym tonem. – Moje zadanie, które wyznaczył mi Gilan, polega na tym, żeby towarzyszyć ci oraz pilnować, żebyś nie wpakował się w jakieś kłopoty.

–Jeżeli takie masz rozkazy, to ja je zmieniam – oznajmił Will. Jednak tym razem Horace roześmiał mu się w nos.

–A to niby jakim prawem? – rzucił kpiąco. – Nie możesz zmienić obowiązujących mnie rozkazów. Gilan je wydał, a on jest od ciebie starszy rangą.

–A co z dziewczyną? – przypomniał mu Will. Horace zastanawiał się przez chwilę.

–Damy jej zapas jedzenia i jucznego konia – zaproponował. – Może przecież wrócić sama.

–Co za galanteria z twojej strony – zakpił Will. Horace potrząsnął tylko głową, bowiem nie miał zamiaru dać się wciągnąć w kłótnię na ten temat.

–Sam mówiłeś, że to ważne jak wszyscy diabli – powiedział. – Otóż obawiam się, że niestety masz rację. Toteż Evanlyn po prostu będzie musiała zdać się na los szczęścia, tak samo zresztą jak i my. Poza tym jesteśmy już blisko granicy, jeszcze jedna noc i nasza towarzyszka przekroczy granicę Celtii.

W istocie rzeczy Horace'owi wcale nie uśmiechała się myśl o pozostawieniu Evanlyn jej własnemu losowi. Poza wszystkim polubił dziewczynę. Była bystra, dowcipna i w ogóle dobrze się czuł w jej towarzystwie. Jednak w Szkole Rycerskiej wpojono mu silne poczucie obowiązku, wobec którego wszystko inne musiało zostać odsunięte na dalszy plan.

Will nie dał jeszcze za wygraną:

–Bez ciebie mogę poruszać się znacznie szybciej –stwierdził, ale Horace tylko machnął ręką.

–No i co z tego? Nigdzie nam się nie spieszy. Mamy konie, a wargalowie poruszają się pieszo. Bez trudu dotrzemy im kroku, zwłaszcza że muszą wlec za sobą więźniów.

Właściwie to było dla niego nowe, całkiem mile doświadczenie: spierać się z Willem i pokonywać go za pomocą jego własnej broni, czyli racjonalnych argumentów. Przedtem nigdy mu się to nie udawało. Być może – pomyślał Horace – nieco czasu spędzonego w towarzystwie zwiadowców przyniosło więcej pożytku jego szarym komórkom, niż się mogło wydawać?

–Pomyśl jeszcze o jednym – dodał. – Co będzie, jeżeli natrafimy na coś naprawdę ważnego? Może

trzeba będzie nadal ich śledzić, a ktoś będzie musiał zanieść wiadomość baronowi? Jeżeli będzie nas

dwóch, będziemy mogli się rozdzielić. Ja wrócę z wieściami, a ty będziesz podążał tropem wargalów.

Will musiał przyznać, że argumenty Horace'a były trudne do zbitcia. Teraz, kiedy się nad tym zastanowił, przyszło mu do głowy, że może rzeczywiście lepiej będzie, jeśli wyruszą we dwójkę.

–No dobrze – rzekł wreszcie. – Tylko jakoś musimy powiedzieć o tym Evanlyn.

–Co musicie mi powiedzieć? – spytała dziewczyna. Byli tak pogrążeni w dyskusji, że żaden z nich nie zauważył, jak do nich podeszła. Popatrzyli po sobie, zakłopotani.

–No... wiesz, Will ma taki pomysł... – zaczął Horace i urwał, spoglądając na przyjaciela w nadziei, że ten będzie potrafił lepiej się wysłowić. Jednak okazało się to niepotrzebne.

–Chcecie pójść za wargalami – było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Obaj chłopcy znów spojrzeli po sobie.

–Podsluchiwałaś! – oskarżył ją Will. Potrząsnęła głową.

–Nie. Przecież to chyba oczywiste, nie sądzicie? To nasza jedyna szansa, żeby dowiedzieć się, co knują i dlaczego porywają górników.

–Nasza jedyna szansa? – spytał. – Co za „nasza”? Co chcesz przez to powiedzieć?
Evanlyn uniosła brwi.

–To jasne, że jeżeli wy pójdziecie śladem wargalów, ja udam się razem z wami. Nie zostawicie mnie samej na tym pustkowiu.

–Ale... – zaczął Horace. Dziewczyna popatrzyła na niego spokojnie. – To są wargalowie – dokończył.

–Nie umknęło to mojej uwadze.

Horace rozłożył bezradnie ręce i popatrzył na Willa. Uczeń zwiadowcy powtórzył jego gest, więc Horace spróbował znów:

–To będzie niebezpieczne, a ty już...

Zawahał się. Nie chciał jej przypominać, jak wielkie wrażenie zrobili na niej wargalowie i jak bardzo ich się boi. Evanlyn zrozumiała, co Horace ma na myśli i uśmiechnęła się z goryczą.

–Posłuchaj, boję się tych stworów, to prawda. O ile jednak dobrze rozumiem, chcecie iść za nimi, a nie przyłączyć się do nich.

–No... w sumie tak – przyznał Will. Zwróciła teraz na niego spokojne spojrzenie swych zielonych oczu.

–Robią tyle hałasu, że nie ma obawy, żebyśmy się do nich za bardzo zbliżyli – stwierdziła. – A przy tym może uda nam się przy okazji jakoś popsuć ich plany.

Will musiał przyznać, że Evanlyn mu zaimponowała. Naprawdę miała wszelkie dane po temu, żeby lękać się wargalów, o wiele bardziej niż on czy Horace. A jednak gotowa była odłożyć na bok swój strach, jeśli mogła w ten sposób pokrzyżować plany Morgaratha.

–Jesteś pewna swej decyzji? – spytał.

–Nie. Wcale nie jestem pewna. Słabo mi się robi na myśl, że miałabym znów usłyszeć śpiewkę tych stworów. Ale jeszcze mniejszą ochotę mam zostać tutaj sama.

–Nie chcieliśmy cię zostawić... – zaprotestował Horace.

–A co zamierzaliście zrobić? – spytała i uśmiechnęła się, by nie zabrzmiało to zbyt napastliwie. Zawahał się.

–No tak, chyba chcieliśmy – przyznał.

–No właśnie – stwierdziła. – Skoro mam do wyboru ryzyko, że mogę natrafić albo na kolejny oddział wargalów, albo na bandytów lub też podążać śladami tych bestii w waszym

towarzystwie, to wybieram drugie wyjście.

–Zdajesz sobie sprawę, że znajdujemy się zaledwie 0 dzień drogi od granicy – przypomniał jej Will. – Kiedy znajdziesz się w Araluenie, będziesz względnie bezpieczna.

Ona jednak stanowczo pokręciła głową.

–Znacznie bezpieczniej czuję się z wami – zapewniła. – A zresztą może to i lepiej, żebyście mieli ze

sobą jeszcze kogoś. Choćby po to, żeby pełnić wartę w nocy. W ten sposób złapiecie nieco więcej snu.

–I to są pierwsze rozsądne słowa, jakie od ciebie dziś usłyszałem – stwierdził Horace. I on, i Will zrozumieli, że dziewczyna podjęła decyzję. Obaj też jakimś sposobem pojęli, że skoro Evanlyn raz coś sobie postanowi, nie istnieje żadna siła, która byłaby zdolna ją od tego odwieść.

–To co – spytała – będziemy tak tu stać cały dzień i sobie gawędzić? Wargalowie oddalają się w szybkim tempie.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę miejsca, gdzie ukryli konie.

Rozdział 14

Okazało się, że śledzić wargalów jest jeszcze łatwiej, niż sądziła Evanlyn. Mało rozumni, zdolni do skupienia się na jednym zadaniu, wiedzieli, że mają sprowadzić celtyckich górników do wyznaczonego miejsca. W tej okolicy nie musieli obawiać się niczego. Nie było żywej duszy, która

mogłaby ich zaatakować. Wszyscy tubylcy uciekli już dawno na południe. Nie wystawiali więc straży przedniej ani ariergardy „zamiataczy”. Wydawany przez nich dźwięk, choć brzmiał złowieszczo, maskował jednocześnie wszelkie odgłosy, którymi mogliby się nieopatrznie zdradzić podążający za nimi Will, Horace i Evanlyn.

Wargalowie rozbijali obozowiska tam, gdzie akurat zaskoczyła ich noc. Górnicy pozostawali wówczas spętani pod nadzorem czuwających strażników, podczas gdy reszta stworów spała.

Drugiego dnia rankiem Will zaczął już się orientować, dokąd zmierzają wargalowie. Jechał jakieś trzydzieści metrów przed swymi towarzyszami, licząc, że w razie czego Wyrwij ostrzeże go przed czyhającym niebezpieczeństwem. Teraz zwolnił, czekając, aż Horace i Evanlyn zrównają się z nim.

– Wygląda na to, że kierujemy się w stronę Rozpadliny – stwierdził – choć nie mam pojęcia, w jakim celu.

Można już było dostrzec wznoszące się w oddali urwiska, które piętrzyły się nad potężną przepaścią. Celtia była krajem górzystym, ale kraina Morgaratha wznosiła się jeszcze o kilkaset metrów wyżej.

– Nie zazdroszczę komuś, kto musiał pokonywać tę przepaść przy pomocy lin i drabin – wzdrygnął się Horace.

– Pewnie – zgodził się Will. – Zresztą tak czy inaczej musieli wyszukać jakieś półki skalne, inaczej by sobie nie poradzili. A podobno jest ich bardzo niewiele, w większości gładkie skalne ściany opadają prosto w dół.

– A jednak Morgarath tego dokonał – przyłączyła się do rozmowy Evanlyn. – Może zamierza napaść Araluen w ten sam sposób.

Horace ściągnął wodze swojego konia, by zastanowić się nad jej słowami. Will i Evanlyn zatrzymali się obok niego. Przygryzał przez chwilę usta, przypominając sobie lekcje wbite mu do głowy przez instruktorów sir Rodneya. Potrząsnął głową.

– To nie to samo – oznajmił w końcu. – Atak na Celtię nosił charakter raczej wypadu niż prawdziwej

inwazji. Morgarath nie potrzebował więcej niż pięciuset wojowników, którzy mogli przy tym sami

nieść cały ekwipunek. Tymczasem żeby zaatakować Araluen, będzie potrzebował regularnej armii,

której nie da się spuścić na linach po urwisku. Do tego nie wystarczą drabiny czy mosty ze sznura.

Will obserwował go z zainteresowaniem. Od tej strony jeszcze Hórace'a nie znał. Najwyraźniej w ciągu ostatnich siedmiu czy ośmiu miesięcy Horace nauczył się czegoś więcej niż tylko fechtunku.

–A może? Jeśli miałby na to dość czasu... – zaproponował. Ale tym razem Horace już stanowczo pokręcił głową.

–Ludzi, czy w tym wypadku wargalów, można w ten sposób przerzucić. Owszem. Jeśli ma się do dyspozycji naprawdę sporo czasu, można całkiem znacznymi siłami przekroczyć Rozpadlinę. Co prawda, im dłużej by to trwało, tym większe ryzyko, że sprawa się wyda. Jednak regularna armia potrzebuje całej masy różnego ekwipunku – ciężkiej broni, wozów z prowiantem i wyposażeniem, zapasowej broni i polowych kuźni, w których się tę broń naprawia. Do ciągnięcia wozów potrzebne są konie i woły. Tego wszystkiego nie da się tak po prostu opuścić na linach. A tym bardziej wciągnąć na drugą stronę. To po prostu niewykonalne. Sir Karel powiedział, że...

Popatrzył na towarzyszy, którzy spoglądali na niego z wyraźnym szacunkiem i zaczerwienił się.

–Przepraszam, nie chciałem tak się wymądrzać – mruknął pod nosem i spał konia.

Jednak Will ruszył zaraz za nim. Był pod wrażeniem, nie zdawał sobie bowiem sprawy ze wszystkich uwarunkowań.

–Co ty? – zagaił. – Mówisz do rzeczy.

–Wciąż jednak nie znamy odpowiedzi na pytanie, co takiego Morgarath knuje – przypomniała Evanlyn.

–Pewnie wkrótce się tego dowiemy. – Will wzruszył ramionami i popędził Wyrwija, by znów zająć pozycję na przedzie.

Dowiedzieli się już następnego dnia wieczorem.

Tak jak poprzednio, pierwszą oznaką były odgłosy: stukot młotków uderzających w skałę i drewno. Potem, gdy zbliżyli się nieco, usłyszeli coś jeszcze: rozlegające się cały czas, choć nieregularnie, charakterystyczne trzaskanie. Will dał znak pozostałym, by się zatrzymali, sam zaś zsiadł z konia i zakradł się ostrożnie skrajem drogi do ostatniego zakrętu.

Okryty płaszczem, przesuwając się niepostrzeżenie od jednej plamy cienia do drugiej, zszedł z drogi i skierował się na przelaj ku wzniesieniu, z którego miał widok na kolejny odcinek gościńca. Niemal od razu ujrzał górną część solidnej drewnianej budowli, którą tam wznoszono: składała się z czterech drewnianych wież, połączonych ze sobą grubymi linami i rusztowaniem z belek. Serce zabiło mu mocniej, wiedział już bowiem, na co patrzy. Podszedł jednak bliżej, by się upewnić.

Tak, to było to, czego się obawiał. Potężny drewniany most był już właściwie na ukończeniu. Po drugiej stronie Rozpadliny Morgarath odkrył jedną z nielicznych skalnych półek, w dodatku położoną niemal na tym samym poziomie, co krawędź urwiska po stronie Celtii. Naturalny występ skalny został poszerzony na tyle, że można było rozpocząć budowę. Dwie wieże wznosiły się po tamtej stronie, dwie pozostałe po stronie Celtii, a na potężnych linach zwisała drewniana konstrukcja, po której nad oszalamiającą głębią Rozpadliny przejść mogło obok siebie nawet sześciu ludzi.

Pojmani przez wargalów Celtowie, uwijali się przy pracy, stukając młotkami i pilując belki. Odgłosom tym towarzyszyło trzaskanie batów, którymi posługiwali się wargalowie-nadzorczy.

Z drugiej strony Rozpadliny dochodził stukot kilofów. Dobywał się z ujścia tunelu

otwierającego się w skalnej ścianie. Właściwie była to tylko szczelina w urwisku, nieco tylko szersza niż rozpiętość męskich ramion – jednak na jego oczach celtyccy więźniowie kuli zapamiętałe u wyjścia, łupiąc twardą skałę, poszerzając i powiększając niewielki otwór.

Will popatrzył wyżej, badając skalne urwisko, wznoszące się po drugiej stronie. Nie było na nim widać lin ani drabin prowadzących na dół, toteż doszedł do wniosku, że wargalowie i ich więźniowie muszą przechodzić tym właśnie tunelem.

Oddział, którego śladami podążali, zmierzał nad Rozpadlinę. Pierwszych piętnaście metrów mostu było jeszcze niegotowe, przebyć Rozpadlinę można było tylko po prowizorycznym chodniku z belek, tak wąskim, że skuci parami Celtowie z trudem się na nim mieścili. Jednak byli przyzwyczajeni do oszalałymi wysokości oraz przejść, które każdego innego przyprawiłyby o zawrót głowy. Przeprawa odbywała się bez żadnych incydentów.

Młody zwiadowca uznał, że dowiedział się już dostatecznie wiele. Czas wracać. Wycofał się pod osłonę skał, a potem, zginając się niemal wpół, pobiegł z powrotem do oczekujących towarzyszy.

Gdy był już przy nich, opadł ciężko na ziemię, opierając się o kamień. Napięcie ostatnich dwóch dni zaczęło dawać o sobie znać, nie mówiąc już o wyczerpującej odpowiedzialności, z jaką wiązała się funkcja dowódcy. Był nawet trochę zaskoczony, zdając sobie sprawę, że jest po prostu fizycznie zmęczony. Nie miał dotąd pojęcia, że psychiczne obciążenie może tak bardzo wyczerpać jego siły.

–No i co tam się dzieje? Widziałeś coś? – spytał Horace. Will podniósł na niego zmęczony wzrok.

–Widziałem. Widziałem most – odpowiedział. – Budują ogromny most. Horace zmarszczył brwi, nic nie rozumiejąc.

–Po co Morgarath miałby budować most?

–To bardzo duży most, już mówiłem. Na tyle wielki, że można przeprowadzić po nim całą armię. Sam dopiero co mówiłeś, że Morgarath nie będzie w stanie przerzucić regularnej armii z całym wyposażeniem przez urwiska i Rozpadlinę, a tymczasem on już od dawna buduje most, który mu to umożliwi.

Evanlyn wyrwała zwisającą luźno nitkę ze swojej kurtki.

–Do tego właśnie potrzebował Celtów – zauważyła. Gdy obaj chłopcy popatrzyli na nią, dodała: –Słyną z tego, że są wyśmienitymi budowniczymi. Wargalom brakuje takich umiejętności, nigdy nie byliby w stanie niczego zbudować.

–No tak, górnicy! – uświadomił sobie Will. – Nie powiedziałem wam jeszcze, że drążą tam również tunel. Widziałem wąską szczelinę, jakby ujście jaskini, które poszerzają.

–Dokąd prowadzi? – zainteresował się Horace, a Will wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Chyba powinniśmy to sprawdzić. Bądź co bądź, płaskowyż znajduje się kilkaset stóp ponad tym miejscem. Jednak musi być jakieś dojście do mostu, a ja nie widziałem tam ani lin, ani drabin.

Horace wstał i zaczął się powoli przechadzać tam i z powrotem, zastanawiając się nad każdym słowem, które padło z ust przyjaciela. Po jego twarzy widać było, że wyteęza umysł.

–Nie rozumiem tego – oświadczył wreszcie.

–Horace, tu nie ma czego rozumieć – stwierdził Will, może odrobinę zbyt opryskliwym

tonem. – Przez Rozpadlinę przerzucono most wielki jak wszyscy diabli. Na tyle duży, że Morgarath i wszyscy jego wargalowie, a także wozy, kuźnie polowe, woły, konie oraz ciotka z wujem mogą przejść po nim bez najmniejszego trudu.

Horace odczekał, aż Will skończy swą tyradę. Pochylił głowę na bok.

–Mogę coś powiedzieć? – spytał dobrodusznie, a Will zawstydzil się, bo rzeczywiście trochę

przesadził i dał znać przepaszającym gestem Horace'owi, by mówił dalej. – Otóż, nie rozumiem

dłaczego – ciągnął Horace, powoli i wyraźnie – o tym moście nie było ani słowa wzmianki w planach,

które przechwyciliście z Haltem.

Evanlyn zainteresowała się:

–W planach? – spytała. – W jakich planach?

Will jednak od razu zdał sobie sprawę, że Horace utrafił w samo sedno, więc uniósł dłoń, co miało oznaczać, że za chwilę jej wszystko wyjaśni.

–Masz rację – stwierdził cicho. – W tamtych papierach nie było najmniejszej wzmianki o przeprawie przez Rozpadlinę.

–A przecież to nie byle jakie przedsięwzięcie. Morgarath z pewnością przywiązuje do niego wielką wagę – dokończył Horace. Will skinął głową. Zaciekawiona Evanlyn powtórzyła pytanie:

–O jakich znowu planach mówicie?

Horace ulitował się nad nią, zdając sobie sprawę, że przysłuchiwanie się rozmowie, nie wiedząc, o co chodzi, musi być irytujące.

–Will i Halt – to jest jego mistrz – przechwycili kopię planów wojennych Morgaratha. Było to parę tygodni temu. Znajdował się tam szczegółowy opis, jak jego wojska mają przebić się przez Wąwóz Trzech Kroków. Zamieszczona w nich była nawet data, kiedy mają to uczynić, oraz informacje o tym, w jaki sposób skandyjscy najemnicy mają ich wesprzeć. A o moście – ani słowa.

–Ale dlaczego? – zdziwiła się Evanlyn.

Jednak Will zaczynał już rozumieć, co Morgarath zamyśla, toteż z każdą chwilą ogarniało go coraz większe przerażenie.

–Chyba – wtrącił – że Morgarath właśnie życzył sobie, żeby te plany wpadły w nasze ręce.

–Oszalałeś? – wypalił natychmiast Horace. – Przecież przy okazji zginął jeden z jego zaufanych ludzi. Will spokojnie popatrzył mu w oczy.

–Czy coś takiego powstrzymałoby Morgaratha? Nie liczy się przecież z cudzym życiem. Przemyślmy to raz jeszcze. Halt ma takie powiedzonko: „Jeśli nie rozumiesz przyczyny, dla której coś się dzieje, zadaj sobie pytanie: co z tego czegoś może wyniknąć, a przede wszystkim – kto na tym skorzysta?”.

–No i? – spytała Evanlyn. – Co wynika z tego, że przejęliście jego plany?

–Król Duncan przemieścił armię na równinę Uthal, by okrążyć wojska Morgaratha po przekroczeniu przez nie Wąwozu – wyjaśnił Horace.

Evanlyn kiwnęła głową i przeszła do drugiej części równania:

–A kto na tym skorzysta? Will spojrzał na nią. Już wiedział, że doszła do tego samego

wniosku co on.

–Morgarath – wycedził. – O ile te plany są fałszywe. Evanlyn skinęła głową. Horace jednak jeszcze nie zrozumiał.

–Fałszywe? Jak to?

–Chodzi mi o to – wyjaśnił cierpliwie Will – że Morgarath prawdopodobnie życzył sobie, abyśmy poznali te plany. Chciał, żeby armia araluńska zgromadziła się na równinie Uthal. Cała armia. A to dlatego, że Wąwóz Trzech Kroków nie będzie tym miejscem, z którego nastąpi główne natarcie. Nadejdzie ono bowiem właśnie stąd – atak z zaskoczenia, na tyły. Nasza armia znajdzie się w pułapce i zostanie zniszczona.

Na twarzy Horace'a odmalowała się zgroza. Doskonale wiedział, jak straszliwe skutki może mieć zmasowane natarcie na tyły armii. Wojska Araluenu znajdują się w kleszczach między Skandianami i wargalami z przodu oraz drugą armią wargalów, która zada morderczy cios w plecy. Sytuacja, jakiej najbardziej ze wszystkiego obawia się każdy dowódca. Pewna klęska.

–W takim razie musimy ich o tym powiadomić. Natychmiast!

–Pewnie, że musimy – zgodził się Will. – Chcę jednak sprawdzić jeszcze jedno, ten tunel, który tam drążą. Nie wiemy, czy jest już ukończony, czy dopiero w budowie ani też dokąd prowadzi. Chcę go sobie obejrzeć dziś w nocy.

Nim jeszcze skończył, Horace gwałtownie pokręcił głową.

–Willu, musimy wyruszyć natychmiast – przekonywał. – Nie możemy zwlekać tylko po to, żeby

zaspokoić naszą ciekawość.

Kwestię rozstrzygnęła Evanlyn.

–Horace, masz rację – stwierdziła. – Król musi się o tym dowiedzieć i to jak najprędzej.

Ale my

najpierw musimy się upewnić, że przez nasz pośpiech nie zostanie znów wprowadzony w błąd. Być

może do ukończenia tego tunelu, o którym mówił Will, potrzeba jeszcze wielu tygodni.

Albo może

wcale nie prowadzi na płaskowyż, tylko jest schronieniem dla wargalów i robotników.

Może to

jeszcze jeden fortel, który ma za zadanie wprowadzić w błąd naszych dowódców i skłonić ich do

rozproszenia sił, żeby chronić tyły. Musimy dowiedzieć się jak najwięcej. Jeśli w tym celu trzeba

zaczekać jeszcze kilka godzin, to zaczekajmy.

Will przyjrzał się dziewczynie z ciekawością. Zdecydowanie przemawiała zbyt stanowczo a nawet władczo, jak na pokojówkę. Doszedł do wniosku, że Gilan nie mylił się co do niej.

–Za godzinę się ściemni, Horace. Dziś w nocy przejdziemy na drugą stronę i przyjrzymy się

wszystkiemu dokładnie.

Horace spoglądał bezradnie na swoich towarzyszy. Takie postawienie sprawy zupełnie mu nie odpowiadało. Instykt podpowiadał mu, że trzeba natychmiast wskoczyć na konia i pędzić, aby jak najprędzej przekazać ważną wieść. Jednak został przegłosowany. A przy tym, nadal

bardziej wierzył w zdolność rozumowania Willa niż w swoją własną. Szkolono go do walki, a nie do tego rodzaju skomplikowanych przemyśleń. Dał więc się przekonać, choć niechętnie.

–No, dobrze – powiedział. – Sprawdzimy to dziś w nocy. Ale jutro wyruszamy.

Owinięty płaszczem, poruszając się ostrożnie i bezszelestnie, Will powrócił na swój punkt obserwacyjny. Przyglądał się uważnie mostowi; był pewien, że Halt oczekiwałby od niego wyczerpującego opisu i dokładnego rysunku.

Spędził na swym posterunku niecałe dziesięć minut, gdy nagle rozległ się przeraźliwy sygnał grany na rogu.

Zamarł, przerażony. Przez chwilę sądził, że to alarm i że któryś ze strażników spostrzegł go, jak przemykał pośród skał. Zaraz potem rozległy się chrapliwe okrzyki wargalów i trzaskanie biczów. Gdy uniósł głowę, ujrzał, że Celtowie schodzą z mostu, prowadzeni przez strażników, a potem kierują się w stronę nieukończonego tunelu. Po drodze więźniowie rzucali swe narzędzia na stosy. Wargalowie ponownie przypinali ich do łańcucha.

Spojrzał ku horyzontowi po zachodniej stronie. Ostatni skrawek słońca skrył się za linią wzgórz. Will zrozumiał, że dźwięk rogu oznaczał po prostu koniec dnia pracy. Więźniowie wracali teraz do miejsca, gdzie przetrzymywano ich w ciągu nocy.

Tylko przez chwilę zapanowało zamieszanie – gdy dwóch celtyckich więźniów zatrzymało się parę metrów przed wejściem do tunelu, próbując podnieść leżącą tam bezwładną postać. Jednak pełniący straż wargalowie natychmiast rzucili się ku nim, odpędzając górników przy użyciu batów i zmuszając do pozostawienia nieruchomej postaci na miejscu.

Jeden po drugim znikli w wąskim wejściu do tunelu.

Will pozostawał w bezruchu jeszcze przez dziesięć minut, obawiając się, że któryś z wargalów może powtórnie wyłonić się z tunelu. Było jednak cicho i nikt się nie pojawił. Pozostała tylko nieruchoma, leżąca sylwetka. Robiło się coraz ciemniej, więc Will nie widział jej zbyt dokładnie. Miał wrażenie, że było to ciało jednego z górników, ale nie był tego pewien. Potem jednak sylwetka poruszyła się i zrozumiał, że ten człowiek, kimkolwiek był, wciąż pozostawał przy życiu.

Rozdział 15

Stąpając ostrożnie, Will i Horace przebyli piętnaście metrów nad przepaścią po wąskiej kładce z desek. Will, któremu obcy był lęk wysokości, mógłby tamtędy choćby przebiec, jednak szedł wolniej przez wzgląd na swego bardziej ociężałego i bardziej podatnego na zawrót głowy przyjaciela.

Gdy znaleźli się już wreszcie na szerokim chodniku mostu, Horace odetchnął z ulgą. Teraz zatrzymali się na chwilę, by przyjrzeć się konstrukcji. Była solidna, jak przystało na dzieło Celtów, którzy z dawien dawna słynęli ze swej biegłości w budowaniu tuneli oraz mostów. W zimnym powietrzu czuć było zapach świeżego sosnowego drewna, a także jakiś inny, słodkawy i kręcący w nosie. Przez chwilę nie wiedzieli, co to takiego. Pierwszy zorientował się Horace:

–Smola – szepnął.

Rzeczywiście, grube liny nośne i idące od nich sznury, do których przymocowano belki, były nasączone gęstą mazią. Will dotknął jednej z nich, była lepka.

–Pewnie chodzi o to, żeby liny nie strzępiły się albo żeby szybko nie przegniły na deszczu – uznał.

Obie potężne liny nośne splecione były z trzech cieńszych, chociaż wcale nie cienkich lin, a następnie szczerze nasączone smolą dla ochrony. Dodatkową zaletą takiego rozwiązania był fakt, że w miarę twardnienia, smola mocniej wiązała je ze sobą. Horace rozejrzał się.

–Tak jak mówileś. Nie ma straży. W jego głosie słychać było dezaprobatę.

–Są albo bardzo zadufani w sobie, albo bardzo nieroztropni – zauważył Will.

Było już całkiem ciemno, a księżyc nie pokazał się jeszcze na nieboskłonie. Will ruszył ku wschodniej krawędzi Rozpadliny. Horace poluzował miecz w pochwie i podążył za nim. Postać u wejścia tunelu leżała w tej samej pozycji, w jakiej Will widział ją ostatnio. Nie poruszała się już. Obaj chłopcy zbliżyli się i przykucnęli obok – był to istotnie celtycki górnik. Jego pierś tylko nieznacznie unosiła się i opadała.

–Jeszcze żyje – szepnął Will.

–Ale ledwo, ledwo – stwierdził Horace, który przyłożył palec do szyi Celta, aby wymacać puls. Czując dotyk, mężczyzna powoli otworzył oczy i spojrzał na nich nieprzytomnym wzrokiem.

–Kim... jesteście? – zdołał wyrzucić. Will zsunął manierkę z ramienia i zwilżył usta mężczyzny. Ten zlizzał chciwie wilgoć z ust i wycharczał znowu, próbując unieść się na ramieniu: – Jeszcze.

Will powstrzymał go delikatnie i znów przyłożył manierkę do mężczyzny ust.

–Leż spokojnie, przyjacielu – powiedział cicho. – Nie zrobimy ci krzywdy.

Jednak ktoś mu już krzywdę zrobił i to niemałą. Na jego twarzy widniały strupy zakrzepłej krwi od co najmniej kilkunastu uderzeń biczem. Skórzany bezrękawnik Celta był poszarpany i rozdarty, a na nagiej piersi widać było więcej śladów chłosty – starszych i całkiem świeżych.

–Kim jesteś? – spytał szeptem Will.

–Glendyss – jęknął mężczyzna, jakby dziwiąc się brzmieniu własnego imienia. Potem zakasłał, rzęzenie wstrząsnęło całym jego ciałem. Will i Horace popatrzyli po sobie. Obaj zdawali sobie sprawę, że nieszczęśnik nie pociągnie już długo.

–Od dawna tu jesteś? – spytał Will, sącząc powoli wodę z manierki do wyschniętych,

spękanych ust umierającego.

–Miesiące... – odpowiedział Glendyss ledwo dosłyszalnym głosem. – Miesiące, całe miesiące już tu jestem... Drażylem tunel.

Chłopcy znów popatrzyli po sobie, tym razem z niedowierzaniem. Czyżby nieszczęśnik bredził w malignie?

–Jesteś tu od wielu miesięcy? – Will pochylił się niżej, żeby lepiej słyszeć. – Przecież wargalowie napadli na was dopiero miesiąc temu?

Glendyss jednak potrząsnął głową. Próbował coś powiedzieć, ale znów przerwał mu atak kaszlu. Widać było, że słabnie z każdą chwilą. Potem jednak zdołał przemówić, choć tak cicho, że Will i Horace musieli pochylić się nad samą jego twarzą.

–Zabrali nas prawie rok temu... Potajemnie... z różnych miejsc, jednego stąd, drugiego stamtąd...

razem było nas pięćdziesięciu. Z tamtych... większość... już nie żyje. Ja też wkrótce umrę – przerwał,

próbując złapać oddech. Widać było, że każde słowo wypowiada z najwyższym trudem. Will i Horace

próbowali zrozumieć sens, tego co przed chwilą usłyszeli.

–Jak to możliwe, że nikt nie zauważył, co się dzieje? – zastanawiał się Horace. – Znikło pięćdziesięciu ludzi i nikt nie zwrócił na to uwagi?

Will chyba jednak wiedział, jak do tego doszło.

–Powiedział, że porywali ich w różnych miejscach, z całej Celtii. Jasne, że gdyby zniknęło pięćdziesięciu ludzi naraz, podniósłby się rwetes. Ale gdy w jakiejś okolicy ginie jeden człowiek, w innej dwóch... cóż, to się zdarza, toteż ich zaginięcie zauważyły tylko rodziny i sąsiedzi. Nikt nie miał pojęcia, co się tak naprawdę dzieje.

–No, może – przyznał Horace – ale po co to wszystko? Przecież teraz Morgarath działa otwarcie, nie kryjąc się z niczym, a i tak o jego poczynaniach dowiedzieliśmy się tylko przypadkiem.

–Może dowiemy się czegoś więcej, kiedy się tu rozejrzemy – powiedział Will.

Wahali się jednak, nie wiedząc, co począć ze skatowanym nieszczęśnikiem leżącym na ziemi. Tymczasem zza gór wyłonił się księżyc, rzucając blade światło na most i krawędzie otchłani. Glendyss poczuł ten blask i otworzył oczy. Próbował unieść ramię, by się przed nim osłonić. Will powstrzymał go łagodnym ruchem dłoni i pochylił się tak, żeby rzucać na niego cień.

–Umieram – odezwał się nagle górnik, głosem zaskakująco spokojnym, jakby już pogodził się z tym

faktem. Will nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć, więc rzekł po prostu:

–Tak.

Nie było sensu silić się na fałszywą litość ani próbować go okłamywać czy pocieszać. Po prostu umierał i wszyscy trzej o tym wiedzieli. Lepiej, by był gotów, by mógł stawić czoło śmierci w spokoju i z godnością. Dłoń umierającego pochwyciła rękaw Willa, więc ujął ją, by dodać mu odwagi poczuciem kontaktu z życzliwą osobą.

–Chłopcy – odezwał się słabym głosem. – Nie zostawiajcie mnie tutaj. Nie pozwólcie mi

umrzeć... w
świecie.

Horace i Will nic nie rozumieli.

–Pragnę spokoju, jaki zapewnia Cię – nalegał Celt. Will nagle zrozumiał.

–Oni chyba lubią ciemności. W końcu większość życia spędzają w tunelach i kopalniach.

Może o to mu chodzi.

Horace pochylił się nisko nad nieszczęsnym górnikiem.

–Glendyss? – spytał. – Chcesz, żebyśmy zanieśli cię do tunelu?

Gdy chłopak przemówił, głowa Glendyssa zwróciła się ku niemu. Skinął nią nieznacznie, na tyle jednak wyraźnie, że rozumieli.

–Proszę – wyszeptał. – Zabierzcie mnie tam, gdzie nie ma światła.

Horace skinął głową. Wsunął ramiona pod plecy i kolana Glendyssa, żeby go podnieść. Górnik był drobnej budowy, a po tak długiej niewoli także bardzo wychudzony. Widać było, że wargalowie nie karmili dobrze swych niewolników. Horace'owi wydał się lekki jak piórko.

Gdy rycerski czeladnik wyprostował się z Glendyssem na rękach, Will powstrzymał go jeszcze na chwilę. Przeczował, że gdy górnik znajdzie się pośród kojącego mroku, w spokoju ciemnego tunelu, całkiem już przestanie trzymać się i tak wątlej nici łączącej go ze światem żywych. A Will potrzebował odpowiedzi na jeszcze jedno ważne pytanie:

–Powiedz – szepnął – ile mamy czasu? Górnik popatrzył na niego umęczonym wzrokiem, nie rozumiejąc. Will spróbował jeszcze raz:

–Ile mamy czasu, nim ukończą ten most?

Tym razem w oczach Celta dostrzegł błysk zrozumienia. Glendyss zastanawiał się przez chwilę, nim odpowiedział:

–Pięć dni... Pięć. A może cztery. Dzisiaj przybyli nowi robotnicy... więc może i cztery.

Potem jego oczy zamknęły się, jakby ten wysiłek wycieńczył go do cna. Przez chwilę myśleli, że to już koniec, że umarł. Jednak w następnej chwili zaczął drżeć na całym ciele.

–Zanieśmy go już do tego tunelu – powiedział Will.

Przecisnęli się ciasnym wejściem. Przez pierwsze dziesięć metrów ściany tunelu biegły na wyciągnięcie ręki po obu stronach. Potem jednak zaczęło robić się coraz szerzej, widać było efekty pracy Celtów. Wciąż jednak tunel był ciasny, poza tym panował tam mrok, bo jedyne oświetlenie -pochodnie osadzone w ścianie co dziesięć, dwanaście metrów – wypaliły się już niemal całkiem i połyskiwały przygasającymi płomykami. Horace rozejrzał się niespokojnie. Nie lubił wysokości, ale zdecydowanie nie zaliczał się także do zwolenników zamkniętych przestrzeni.

–Tu mamy odpowiedź – stwierdził Will. – Morgarath potrzebował tych pierwszych pięćdziesięciu górników, żeby zbudować tunel. Teraz, gdy jest już prawie ukończony, trzeba mu więcej robotników, którzy jak najprędzej wzniosą most.

–Masz rację – zgodził się Horace. – Kucie tunelu trwało miesiące, ale nikt o nim nie wiedział. Za to kiedy wzięli się do budowy mostu, ryzyko wykrycia staje się o wiele większe.

Jeszcze dalej w głębi tunelu natrafili na boczne pomieszczenie, zapewne pozostałość dawnej jaskini. Ułożyli tam Glendyssa na piasku. Teraz Will rozumiał już, że to właśnie próbowali uczynić tamci dwaj Celtowie, by spełnić ostatnie życzenie swego pobratymca, kiedy róg zagrał na koniec dnia pracy.

Przyszło mu coś na myśl:

–Tylko co wargalowie pomyśla, kiedy znajdą go tu jutro? Horace wzruszył ramionami.

–Może dojdą do wniosku, że sam tu się przyczoił. Will nie był przekonany, ale gdy w półmroku dostrzegł

wyraz ukojenia na twarzy umierającego, wiedział już, że nie miałby sumienia wynieść go z powrotem na zewnątrz.

–Przesuń go trochę dalej, żeby był jak najmniej widoczny – rzekł.

Horace delikatnie ułożył górnika za niewielkim występem skalnym. Teraz widać go było tylko, jeśli ktoś patrzył naprawdę uważnie i Will uznał, że to musi wystarczyć. Cofnęli się do głównego tunelu. Will zauważył, że Horace nadal czuje się nieswojo.

–Co teraz? – zapytał przyszły rycerz. Will podjął już decyzję.

–Możesz tu na mnie poczekać – zaproponował. – Ja pójdę zobaczyć, dokąd ten tunel prowadzi.

Horace nie spierał się. Wcale a wcale nie uśmiechało mu się przemierzanie krętego, mrocznego korytarza. Znalazł sobie miejsce, w którym mógł rozsiąść się jako tako wygodnie – opodal jednej z jaśniejszych pochodni.

–Tylko żebyś wrócił – zażądał. – Nie chce mi się iść tam po ciebie.

Rozdział 16

Tunel z początku szedł mniej więcej poziomo, ale w miarę, jak Will posuwał się dalej, stawał się coraz bardziej stromy. Na ścianach i suficie widniały ślady celtyckich oskardów, którymi górnicy kruszyli skałę. Przypuszczał, że kiedyś była to bardzo ciasna jaskinia wyplukana przez wodę, teraz jednak poszerzono ją na tyle, by mogło tędy maszerować czterech czy pięciu mężczyzn obok siebie. Tunel wciąż zmierzał ku górze. Na jego krańcu ujrzał krąg światła. Miał wrażenie, że przebył około trzystu metrów, a do końca brakowało jeszcze około czterdziestu. To światło, które widział, wydawało się zbyt silne jak na księżycową poświatę. Gdy wyjrzał ostrożnie na zewnątrz, zorientował się, dlaczego.

Miał przed sobą rozległą dolinę, długą na kilometr i szeroką na jakieś dwieście metrów. Z jednej strony w blasku księżyca ujrzał solidną drewnianą konstrukcję prowadzącą ku jeszcze wyższym partiom płaskowyżu. Po prostu schody – stwierdził po chwili obserwacji. W dolinie płonęły ogniska, a wokół nich krążyły setki postaci. A więc prawdopodobnie tu właśnie znajdował się punkt zborny armii Morgaratha. Póki co, w tym miejscu wargalowie więzili swoich celtyckich niewolników. Stał bez ruchu, starając się wytworzyć sobie jak najpełniejszy obraz sytuacji. Płaskowyż, który stanowił terytorium Morgaratha, rozciągał się jeszcze co najmniej pięćdziesiąt metrów powyżej. Jednak schody i mniej strome w tym miejscu zbocza zapewniały stosunkowo łatwy dostęp do tej doliny. Sama zaś dolina musiała znajdować się około trzydziestu metrów nad poziomem, z którego zaczynał się most. Pochyłym tunelem wojska miały przejść na dół. Jeszcze raz przypomniały mu się słowa Haka o tym, że nie ma przeszkód nie do przebycia.

Przeszedł na lewo od ujścia tunelu i skrył się pośród skalnego rumowiska, skąd dalej prowadził obserwację. Jego uwagę zwróciła toporna palisada, wzniesiona w centralnym miejscu doliny. Nie była zbyt gęsta, toteż pomiędzy nieostruganymi, zaostrzonymi palami widać było małe ogniska, a przy każdym z nich leżeli ludzie. Prawdopodobnie był to obóz dla więźniów. Większe ogniska wokół tej zagrody musiały zostać rozpalone przez wargalów. Widział ich przysadziste, rosłe sylwetki, chodzili w tę i z powrotem. Było też jedno ognisko położone w pobliżu, które wyglądało nieco inaczej. Postacie wokół niego wydawały się jakieś inne, bardziej przypominały ludzi – z sylwetek i zachowania. Zaciekawilo go to, więc zakradł się bliżej, przemykając pośród nocy bezgłośnie, niepostrzeżenie, aż znalazł się na skraju świetlnego kręgu rzucanego przez ogień. Poczul zapach jakiegoś mięsa piekącego się na ogniu, a właściwie rozkoszny aromat, od którego pociekła mu ślinka. Już od wielu dni żywił się sucharami i suszonym mięsem całkowicie pozbawionym smaku. Ku swemu przerażeniu zdał sobie sprawę, że burczy mu w brzuchu. Ale ukłucie lęku załatwiło sprawę; cóż to byłby za niewyobrażalny pech, gdyby burczenie żołądka miało zdradzić go przed wrogami – pomyślał. Głód minął od razu. Kiedy już mniej więcej opanował odruchy swojego przewodu pokarmowego, przysunął twarz do krawędzi głazu, tuż przy ziemi, by przyjrzeć się lepiej postaciom, które przyrządzały sobie tak smakowitą kolację.

Właśnie w tej chwili jedna z nich pochyliła się, by nożem odkroić kawał mięsa, a potem wziąć go do ręki, podrzucając tłusty i gorący przysmak. Na jej twarz padł błysk ognia i Will przekonał się, że nie był to żaden z wargalów. Popatrzył na innych: baranice, wełniane pludry i ciężkie buty z foczej skóry... To z pewnością musieli być Skandianie. Gdy przyjrzał się dokładniej, dostrzegł też hełmy ozdobione rogami, okrągłe drewniane tarcze i topory bojowe

ustawione w krzyżaki przy ich obozowisku. Skąd się tu wzięli i co robili tak daleko od morza? Ten sam mężczyzna, który odkroił kawałek mięsa, pochłonął go łapczywie i otarł dłonie o futrzaną kurtkę. Beknął, a potem rozsiadł się wygodnie tuż przy ogniu.

–Na bogów, cieszyć się będę, kiedy dotrą tu już ludzie waka – rzekł mężczyzna, wymawiając te słowa

z charakterystycznym dla Skandian nosowym i prawie niezrozumiałym przygłosem. Will wiedział, że

Skandianie mówią tym samym językiem, którego używa się w królestwie, ale słysząc taką wymowę

po raz pierwszy, zaczął go rozumieć dopiero po chwili.

Towarzystwo morskich wilków głośnym pomrukiem przytaknęło słowom wojownika. Przy ognisku było ich czterech. Will wychylił się jeszcze troszeczkę, by słyszeć ich wyraźniej, ale w następnej chwili zamarł w przerażonym bezruchu, bo po drugiej stronie ogniska dostrzegł sylwetkę wargala zmierzającego prosto ku niemu.

Skandianie też dosłyszeli kroki i popatrzyli w tamtą stronę – zdecydowanie nieprzychylnie.

–Patrzajcie, patrzajcie – rzekł jeden z nich. – Nadchodzi jedno z cudeniak Morgaratha.

Wargal zatrzymał się dość daleko od ognia. Wybelkotał coś, zwracając się do grupy morskich wojowników. Ten, który wydawał się ich szefem, wzruszył ramionami.

–Wybacz, przystojniaku. Coś jakbym cię nie rozumiał – stwierdził. Nie zabrzmiało to zbyt przyjaźnie. Wargal chyba się zorientował, ale czuł się na tyle pewnie, że powtórzył swoje pomruki, teraz już nieco gniewniejszym tonem. Właściwie pokrzykiwał na Skandian, wskazując łapskami na swój pysk.

–To paskudztwo chce naszej kolacji – pojął jeden ze Skandian. Wszyscy pozostali zaprotestowali.

–Niech sam sobie upoluje – stwierdził pierwszy. Wargal zbliżył się jeszcze bardziej. Nie pokrzykiwał już. Po prostu wskazał pazurem na mięso, a potem zwrócił czerwone oczka na dowódcę. Jakimś sposobem jego milczenie zdało się groźniejsze niż gniewne pomruki.

–Eraku, tylko spokojnie – ostrzegł jeden ze Skandian.

–W tej chwili oni mają przewagę liczebną.

Erak skrzywił się paskudnie w stronę wargala, ale dotarł do niego sens uwagi towarzysza. Niecierpliwym gestem wskazał na mięso.

–No bierz, bierz. Żryj – rzucił.

Triumfujący wargal sięgnął po drewniany rożen, podniósł go i wbił się zębiskami w mięso, wyszarpując spory jego kawał. Nawet ze swojej kryjówki Will, który z lękiem wstrzymywał oddech, dojrzał błysk triumfu rozświetlający bestialskie, czerwone oczka stwora. W następnej chwili wargal odwrócił się na pięcie i odszedł, ruszając prosto na dwóch Skandian, którzy musieli gwałtownie odsunąć się, by uniknąć zderzenia. W ciemnościach rozległ się jeszcze gardłowy rechot potwora.

–Co za paskudy, aż na mdłości mi się zbiera – mruknął Erak. – Nie pojmuję, czemu musimy się z nimi zadawać.

–Sam wiesz. To dlatego, że Horth nie ufa Morgarathowi – rzucił jeden z jego towarzyszy. – Jeżeli nie będziemy trzymali ręki na pulsie, te niedźwiedziowate wieprze zgarną wszystkie łupy dla siebie, a nam pozostanie tylko ciężka robota, czyli walka na równinie Uthal.

–No i sporo forsownego marszu – zauważył inny.

–Zresztą, nawet jak ludziom Hortha uda się zająć nieprzyjaciela od tyłu zza Cierniowego Lasu, też nie będzie lekko. W ogóle ciężka sprawa.

Na te słowa Will zmarszczył brwi. Najwyraźniej Morgarath i Horth, czyli jak sądził Will, wódz Skandian, planowali kolejną zdradziecką niespodziankę mającą zaskoczyć siły królestwa. Próbował odtworzyć w wyobraźni mapę okolic równiny Uthal, ale jakoś mu to nie szło. Teraz żałował, że nie uważał bardziej podczas lekcji geografii wygłaszanych przez Haltha. „Po co mi te wszystkie mapy? – pytał swego nauczyciela. – Bo mapy są ważne, jeśli chcesz wiedzieć, gdzie znajduje się twój nieprzyjaciel i dokąd zmierza” – brzmiała opryskliwa odpowiedź. Will zdał sobie teraz sprawę, że w całej swej prostocie była jak najbardziej słuszna. Wtedy, kiedy zadał to pytanie, Halth pokręcił głową z dezaprobatą, jak to on, trochę kpiąc, a trochę na poważnie. Nagle, myśląc o swym mądrym i przewidującym wszystkim nauczycielu, Will poczuł się okropnie samotny i strasznie bezradny.

–Tak czy inaczej – mówił dalej Erak – jak ludzie Owaka już tu dotrą, wszystko będzie inaczej. Tylko że zwlekają, jakby wcale im nie było spieszno.

–Ejże, spokojnie – wtrącił inny z wojowników. – Parę dni musi potrwać, nim pięciuset ludzi pokona południowe urwiska. Pamiętaj, ile czasu zajęło to nam.

–Pewnie, pewnie – rzekł jeszcze inny. – Ale to myśmy przetarli szlak. Teraz dość, by podążali naszym śladem.

–Jak by nie było, im prędzej, tym lepiej – oznajmił Erak, wstając i przeciągając się. – No dobra, chłopaki, chce mi się spać, tylko jeszcze muszę za potrzebą.

–Tylko nie paskudź tu, przy ogniu – warknął jeden z jego towarzyszy. – Idź sobie za skały.

Przerażony Will zdał sobie sprawę, że Skandyjczyk wskazał niemal dokładnie to miejsce, w którym leżał ukryty. A Erak, który zaśmiał się na tę uwagę, właśnie ruszył w jego stronę! Niewątpliwie był to sygnał do odwrotu. Wycofał się parę metrów, a potem czolgając się i wykorzystując wszelkie wyuczone umiejętności oraz wrodzony talent, postarał się niezauważenie zniknąć w ciemnościach. Udało mu się odejść o jakieś dwadzieścia metrów, kiedy usłyszał obrzydliwy plusk rozlegający się w miejscu, gdzie przed chwilą się znajdował i podsluchiwał. Potem zaś uszu jego doszło pełne satysfakcji stęknienie, a gdy spojrział w tamtą stronę, ujrzał długowłosą sylwetkę Eraka, który wstawał z kucek na tle kilkuset ognisk płonących w dolinie. Will cofnął się w ciemnościach w stronę tunelu. Przez pierwsze kilka metrów skradał się ostrożnie, czekając, aż oczy przyzwyczają się do mroku czy raczej półświatła wypalonych pochodni. Potem zaczął biec, a jego buty z miękkiej skóry były niemal bezgłośnie na piasku wyścielającym dno tunelu.

Rozdział 17

Horace czekał z dłonią na rękojeści miecza, w tym samym miejscu, w którym Will go pozostawił, udając się na zwiady.

–Masz jakieś nowe wieści? – spytał rycerski czeladnik chrapliwym szeptem. Will odetchnął głęboko, zdając sobie sprawę, że podczas biegu oddychał płytko.

–Wieści? – odparł, zdyszany. – O, tak. A wszystkie złe. Uniósł dłoń, by powstrzymać dalsze pytania Horace'a.

–Najpierw przejdźmy z powrotem przez most – wysapał. – Potem opowiem. Spojrzał w stronę bocznej komory tunelu, gdzie pozostawili celtyckiego górnika.

–Czy Glendyss powiedział coś jeszcze? – spytał.

Horace wykonał jakiś nieokreślony ruch ręką.

–Coś z godzinę temu zaczął jęczeć. A potem ucichł. Chyba umarł. Przynajmniej zakończył życie tak,

jak chciał – stwierdził, a następnie ruszył w ślad za Willem przez mroczny korytarz w stronę mostu.

Znów przeszli przez most, a potem wąską kładką do miejsca, gdzie Evanlyn czekała na nich przy koniach, rzecz jasna odpowiednio ukryta. Gdy zbliżali się, Will zawołał ją cicho po imieniu, by nie przestraszyć dziewczyny. Horace na wszelki wypadek zostawił jej swój sztylet, a Will miał wrażenie, że uzbrojona Evanlyn nie jest kimś, komu należałoby sprawiać niespodzianki po nocy.

Opisując scenerię po drugiej stronie tunelu, naszkicował dla nich mapkę na piasku.

–Musimy znaleźć jakiś sposób, by powstrzymać siły Morgaratha – oznajmił.

Tamtych dwoje popatrzyło na niego, jakby postradał zmysły. Powstrzymać? Jakim niby cudem dwóch chłopców i jedna dziewczyna mogłoby w czymkolwiek przeszkodzić pięciuset Skandianom i kilku tysiącom dzikich wargalów?

–Przedtem mówileś, że powinniśmy jak najprędzej powiadomić króla – zauważyła Evanlyn.

–Nie ma już na to czasu – odparł po prostu Will. – Popatrzcie.

Stał rysunek tunelu i naszkicował mapę. Nie była może zbyt dokładna, ale przynajmniej ukazywała rozmieszczenie najważniejszych części królestwa oraz Płaskowyżu Południowego, na którym rządził Morgarath.

–Mówili, że przez południowe urwiska ma przybyć więcej Skandian i przyłączyć się do wargalów, których już widzieliśmy. Potem przekroczą Rozpadlinę tu, gdzie się znajdujemy i podążą na północ, by zaatakować tyły naszej armii, która będzie oczekiwać na Morgaratha u ujścia Wąwozu Trzech Kroków.

–Tak – stwierdził Horace. – Ale to już wiemy. Domyśliliśmy się, gdy tylko zobaczyliśmy most.

Will popatrzył na niego, a Horace umilkł. Zrozumiał, że jego towarzysz ma coś więcej do powiedzenia.

–Ale – rzekł Will z naciskiem – słyszałem też, jak mówili coś o człowieku imieniem Horth i jego

wojownikach, którzy mają obejść Cierniowy Las. To tutaj, w północnej części równiny Uthal.

Evanlyn zorientowała się od razu:

–Tym sposobem Skandianie znajdą się na północny zachód od armii króla. Nasi znajdą się w kleszczach pomiędzy wargalami i Skandianami, którzy przejdą po moście oraz drugą armią nadchodzącą z północy.

–No właśnie – przytaknął Will.

Popatrzyli na siebie. Oboje zdawali sobie sprawę, jak groźna byłaby taka sytuacja dla baronów i ich wojsk. Spodziewali się skandyjskiego ataku od strony Mokradel na wschodzie, tymczasem czeka ich zaskakujące uderzenie nie z jednego, lecz z dwóch innych kierunków, a to grozi miążdżącą, straszliwą klęską.

–A więc, tym bardziej powinniśmy jak najprędzej ostrzec króla, prawda? – nalegał Horace.

–Horace – powiedział cierpliwie Will. – Aby dotrzeć na równinę, potrzebujemy aż czterech dni.

–Tym bardziej musimy się spieszyć!

–A potem – podjęła Evanlyn myśl zaczęta przez Willa – nim dotrą tu jakiekolwiek wojska, które będą w stanie utrzymać most, upłyną znów cztery dni. Albo i więcej.

–Co razem daje osiem dni – podsumował Will. – Pamiętasz, co mówił tamten biedak? Most będzie gotów za cztery dni. Wargalowie i Skandianie będą mieli mnóstwo czasu, żeby przekroczyć Rozpadlinę, uformować szyk bojowy i natrzeć na armię króla.

–Ale... – zaczął Horace, ale Will mu przerwał:

–Horace, moglibyśmy powiadomić króla i baronów, w ten sposób przynajmniej natarcie z niespodziewanych kierunków ich nie zaskoczy, ale tak czy inaczej będą mieli do czynienia z przeważającymi siłami wroga. Zostaną zaatakowani z trzech stron, nie mając dokąd się wycofać, a więc będą pozbawieni możliwości manewrowania. Pamiętaj, że za sobą będą mieli mokradła. No więc jasne, że trzeba ich ostrzec. Możemy jednak zrobić coś więcej, aby wyrównać szanse.

–A poza tym – wtrąciła Evanlyn – jeśli uda nam się doprowadzić do tego, żeby nie przeszli tędy wargalowie i Skandianie, król będzie dysponował przewagą nad północnym oddziałem Skandian.

Horace skinął głową.

–No tak, wtedy siły staną się bardziej wyrównane.

–Nie tylko – wyjaśniła Evanlyn. – Przede wszystkim napastnicy będą spodziewać się posiłków, które zaatakują tyły królewskiej armii. Posiłków, które nigdy nie nadejdą.

Po twarzy Horace'a widać było, że wreszcie zaczyna rozumieć. Jednak zaraz znów zmarszczył brwi.

–Ale co możemy zrobić, żeby powstrzymać wargalów?

Will i Evanlyn wymienili spojrzenia. Will już wiedział, że oboje doszli do takiego samego wniosku. Odezwali się jednocześnie:

–Spalić most.

Rozdział 18

Głowa Blaze'a zwisała nisko, gdy wierzchowiec wolnym truchtem zbliżał się do królewskiego obozu na równinie Uthal. Śmiertelnie znużony Gilan chwiał się w siodle. Przez ostatnie trzy dni właściwie nie spał, odpoczywając tylko krótko co cztery godziny. Drogę zastąpiło mu dwóch strażników, ale młody zwiadowca sięgnął tylko za koszulę i pokazał im srebrną odznakę w kształcie dębowego liścia, swoją odznakę zwiadowcy. Ujrawszy ją, strażnicy zeszli mu czym prędzej z drogi. W tych niespokojnych czasach nikt nie ośmielał się czynić przeszkód zwiadowcom, mógłby mieć bowiem poważne kłopoty. Gilan przetarł piekące oczy.

–Gdzie jest namiot Rady Wojennej?

Jeden ze strażników wskazał włócznią namiot większy od pozostałych, ustawiony na wzniesieniu tak, że górował nad resztą obozowiska. Przy nim również stali strażnicy, ludzie wchodzili i wychodzili z niego – wszak był to najważniejszy ośrodek wielkiej armii.

–Tam, panie. Na tamtym wzgórzu.

Gilan skinął głową. Dotarł tak daleko i tak prędko, uporał się z czterodniową podróżą w zaledwie trzy dni. Jednak teraz te kilkaset metrów zdawało się ciągnąć całymi milami. Pochylił się i wyszeptał do ucha Blaze'a:

–Już niedaleko, przyjacielu. Proszę cię, zrób jeszcze niewielki wysilek.

Wycieńczony koń zastrzygł uszami i uniósł nieco łeb. Na prośbę Gilana zmusił się jeszcze do powolnego truchtu.

Gdy przemierzali obozowisko, Gilan poczuł pył unoszący się w powietrzu i zapach palonego drewna; z zewsząd docierał zgiełk, typowy dla każdego wojskowego obozowiska. Wykrzykiwano rozkazy. Szczekała broń, którą naprawiano lub ostrzono. Z niektórych namiotów dobiegał śmiech, ludzie odpoczywali, jeśli nie mieli żadnych zadań do wykonania – oczywiście dopóty, dopóki nie dopadli ich sierżanci i nie wynaleźli jakiegoś zajęcia. Na twarzy Gilana pojawił się zmęczony uśmiech, gdy o tym pomyślał: każdy sierżant jakby ze swej natury nie mógł znieść, żeby jego ludzie oddawali się bezczynności.

Blaze zatrzymał się raz jeszcze i Gilan drgnął. Zdał sobie sprawę, że usnął w siodle. Przed nim stali dwaj strażnicy, blokując drogę do siedziby Rady Wojennej. Widział ich jak przez mgłę.

–Jestem królewskim zwiadowcą – wychrypiał przez zaschnięte gardło. – Mam wieści dla Rady.

Strażnicy nie byli pewni, jak mają się zachować. Ten pokryty kurzem, na wpół śpiący mężczyzna dosiadający wychudzonego i wycieńzonego gniadego konia mógł rzeczywiście być zwiadowcą. W samej rzeczy odziany był jak zwiadowca, o ile mogli to ocenić. Jednak strażnicy znali z widzenia większość zwiadowców wyższych rangą, zaś tego młodego człowieka nigdy przedtem nie mieli okazji oglądać. A w dodatku nie okazał odznaki.

Mało tego, dostrzegli, że ma u boku miecz, a to z całą pewnością nie była broń, jaką posługiwali się zwiadowcy. Tym bardziej więc nie mieli ochoty wpuścić go do tak pilnie strzeżonego miejsca, jakim był namiot Rady Wojennej. Ku swojej irytacji Gilan zdał sobie sprawę, że schował srebrny liść dębu pod koszulę. Chciał wydobyć go znowu, ale nagle okazało się to niezwykle trudne. Na oślep szarpał się z kołnierzem. A potem usłyszał znajomy głos, który przebił się do jego świadomości.

–Gilan! Co się stało? Nic ci nie jest?

Ten głos oznaczał dla niego pociechę i bezpieczeństwo przez całe pięć lat nauki. Głos odwagi, doświadczenia i mądrości. Głos, który zawsze dokładnie wiedział, co należy uczynić w danej sytuacji.

–Halt – wyszeptał i stracił równowagę, najpierw zachwiał się niebezpiecznie, a potem po prostu spadł z siodła. Halt pochwycił go, nim uderzył o ziemię. Warknął na dwóch strażników, którzy stali obok, przyglądając się temu zdarzeniu:

–Pomóżcie mi. No, już! – rozkazał, a oni przyskoczyli, odrzucając na bok włócznie, by podtrzymać półprzytomnego zwiadowcę. – Musisz odpocząć – stwierdził Halt. – Jesteś wykończony.

Jednak Gilan wykrzesał z siebie resztę energii, odepchnął żołnierzy i stanął pewnie na własnych nogach.

–Ważne wiadomości – rzekł do Halta. – Muszę widzieć się z Radą. W Celtii dzieje się coś niedobrego.

Halt poczuł zimny ucisk złego przeczucia w sercu. Spojrzał w kierunku, z którego nadjechał Gilan. Złe wieści. Z Celtii. A Gilan najwyraźniej przybył samotnie.

–Gdzie jest Will? – spytał szybko. – Czy coś mu się stało?

Ku jego uldze Gilan pokręcił głową zmęczonym ruchem, a na jego znużonej twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

–Nic mu nie jest – odparł. – Jechałem przodem.

Zmierzali w stronę głównego namiotu. Po drodze stali też inni strażnicy, lecz schodzili im z drogi na widok starszego rangą zwiadowcy. Był on postacią dobrze tam znaną i częstym gościem w namiocie Rady. Podtrzymywał za ramię swojego byłego ucznia, gdy weszli w chłodny cień namiotu.

Kilku mężczyzn stało wokół mapy – czyli wielkiego stołu, na którym odtworzono w piasku topografię równiny i sąsiadujących z nią gór. Wszyscy odwrócili się w stronę wchodzących, a jeden z nich podbiegł. Na jego twarzy malowało się zatroskanie.

–Gilan! – zawołał. Był to wysoki mężczyzna, a siwiejące włosy wskazywały, że musi mieć już pod sześćdziesiątkę. Wciąż jednak poruszał się z prędkością i gracją atlety czy też wojownika. Gilan znów przywołał na twarz ów znużony uśmiech.

–Witaj, ojczu – rzekł, bowiem wysoki i siwy mężczyzna nie był nikim innym jak sir Davidem, Mistrzem Sztuk Walki lena Caraway oraz polowym dowódcą królewskiej armii. Sir David rzucił Hakowi szybkie spojrzenie, a zwiadowca odpowiedział mu skinieniem głowy na znak, że Gilan nie jest ranny, tylko bardzo zmęczony. W następnej chwili poczucie obowiązku wzięło górę nad ojcowskimi uczuciami.

–Powitaj swego króla jak należy – rzekł półgłosem. Gilan zwrócił się w stronę grupy mężczyzn przyglądających mu się w milczeniu.

Rozpoznał Crowleya, dowódcę korpusu zwiadowców oraz barona Aralda i jeszcze dwóch baronów królestwa – Thornę z Drayden i Ferugę z Caraway. Przede wszystkim jednak dostrzegł wysokiego mężczyznę o jasnych włosach, liczącego sobie pod czterdziestkę, noszącego krótko przystrzyżoną brodę i spoglądającego nań przenikliwymi zielonymi oczyma. Był barczysty i muskularny, bowiem Duncan nie należał do władców, którzy pozwalają, by inni wykonywali za nich całą rycerską robotę. Od chłopięcych lat ćwiczył się w sztukach walki, był

wytrawnym szermierzem oraz mistrzem w posługiwaniu się lancą i powszechnie uważano go za jednego z najznamienitszych rycerzy jego własnego królestwa.

Gilan próbował przyklęknąć na jedno kolano. Jednak stawy odmówiły mu posłuszeństwa. Nie upadł znowu tylko dlatego, że Hak cały czas podtrzymywał go za ramię.

– Wasza wysokość... – zaczął, ale Duncan już stał przy nim, przytrzymując go za drugie ramię i powstrzymując przed złożeniem zwyczajowego hołdu. Gilan usłyszał słowa Halta, który go przedstawił władcy:

– Zwiadowca Gilan, wasza wysokość. Przypisany do lenna Meric. Przynosi wieści z Celtii. Król ożywił się nagle.

– Z Celtii? – powtórzył, wpatrując się w Gilana jeszcze uważniej. – Co tam się dzieje? Pozostali członkowie Rady podeszli, otaczając Gilana. Odezwał się baron Arald:

– Gilan otrzymał misję dostarczenia wieści od ciebie, panie, królowi Swyddnedowi. Wasza wysokość powoływała się w nim na traktat o wzajemnej pomocy – przypomniał – i domagała się, by Swyddned przyłączył swe wojska do naszych...

– Nie przyjdą – przerwał Gilan. Zdał sobie sprawę, że musi przekazać królowi wiadomości jak najprędzej, bo wkrótce straci przytomność z wyczerpania. – Morgarath wyparł ich na południowy zachód Półwyspu. Są odcięci.

W namiocie Rady zapanowała cisza. Po chwili przerwał ją ojciec Gilana:

– Morgarath? – spytał z niedowierzaniem. – Ale jak? Jakim sposobem udało mu się przerzucić

jakiegokolwiek wojska do Celtii?

Gilan otrząsnął się lekko, wszystkimi siłami powstrzymując potężne ziewnięcie.

– Pokonywali urwiska małymi grupami, aż zgromadzili dość sił, by zaskoczyć Celtów. Jak wiadomo,

Swyddned utrzymywał pod bronią tylko nieliczną armię...

Baron Arald przytaknął gniewnie:

– Ostrzegalem Swyddneda, wasza wysokość – wtrącił. – Tylko że ci przekłęci Celtowie zawsze bardziej

interesowali się kopalniami niż obroną własnej ziemi.

Duncan uspokoił go nieznacznym gestem ręki.

– Nie czas teraz na wypominanie jego niedociągnięć, Araldzie – rzekł. – Co się stało, to się nie odstanie.

– Domyślałam się, że Morgarath obserwował Celtów przez całe lata, czekając, aż chciwość przyćmi im rozsądek – stwierdził z goryczą baron Thorn. Pozostali wydawali się z nim zgadzać. Wszyscy wiedzieli aż za dobrze, jak wielka była biegłość Morgaratha w tworzeniu sieci szpiegów.

– A więc Morgarath pokonał Celtię? To chcesz nam powiedzieć? – upewnił się Duncan. Jednak Gilan potrząsnął przecząco głową – ku wyraźnej uldze wszystkich zgromadzonych w namiocie.

– Celtowie wycofali się za umocnienia odgradzające południowo-zachodnią część swojego kraju, ale nie są jeszcze pokonani. Jednak najdziwniejsze z tego wszystkiego jest to, że wargalowie urządzili istne łowy na celtyckich górników, biorąc ich w niewolę.

– Co? – tym razem przerwał mu Crowley. – Jakiż to pożytek może mieć Morgarath z

górników? Gilan bezradnie rozłożył ręce.

–Tego nie wiem, panie. Pomyślałem jednak, że trzeba jak najprędzej powiadomić o tym Radę.

–Widziałeś to na własne oczy? – spytał zachmurzony Halt, marszcząc brwi i próbując przeniknąć sens tego, co właśnie usłyszał od młodego zwiadowcy.

–Niezupełnie – przyznał Gilan. – Ale widzieliśmy opustoszałe kopalnie, górnicze miasteczka i porzucone posterunki graniczne. Gdy zajechaliśmy dalej w głąb kraju, spotkaliśmy młodą dziewczynę, która opowiedziała nam o poczynaniach wargalów.

–Dziewczynę? – spytał król. – Celtycką dziewczynę?

–Nie, wasza wysokość. Araluenkę. Pokojówkę damy, która wybrała się z wizytą na dwór Swyddneda. Niestety, natrafili na oddział wargalów. Tylko ta Evanlyn zdołała uciec.

–Evanlyn? – wyszeptał niemal bezgłośnie Duncan. Wszyscy spojrzeli na niego. Twarz króla była blada jak kreda.

–Tak miała na imię, wasza wysokość – potwierdził Gilan, zaskoczony reakcją władcy. Ale Duncan go nie słuchał. Odwrócił się i podszedł do małego sekretarzyka, przy którym stało obite płótnem krzesło. Opadł na nie i zakrył twarz rękami. Zaniepokojeni członkowie Rady Wojennej skupili się wokół niego, nie pojmując zachowania swego króla.

–Panie mój – rzekł sir David z Caraway. – Co się stało? Duncan zwolna uniósł głowę, by spojrzeć w oczy dowódcy.

–Evanlyn... – jego głos drżał. – Evanlyn była pokojówką mojej córki.

Rozdział 19

Nie mieli czasu, by wprowadzić swój plan w życie tej samej nocy; do wschodu słońca pozostała godzina, z początku Will uważał, że najlepiej będzie, jeśli on zajmie się spaleniem mostu, a Horace i Evanlyn wyruszą natychmiast z wieściami do króla, ale Horace zaprotestował.

–Jeśli odjedziemy teraz, nie będziemy wiedzieć, czy powiodło ci się, czy nie, cóż więc powiemy królowi? Że most może jest, a może go nie ma? – spytał, znów dając dowód zdrowego rozsądku, który od jakiegoś czasu charakteryzował jego sposób myślenia. – A poza tym, zniszczenie tak wielkiego mostu może okazać się zadaniem nie do wykonania w pojedynkę nawet przez tak sławnego zwiadowcę jak ty.

Uśmiechnął się przy tych słowach, by dać do zrozumienia Willowi, że nie zamierza go urazić. Will przyznał mu rację. W cichości ducha cieszył się, że pozostaną razem. W dodatku podobnie jak Horace nie był pewien, czy sam poradzi sobie z tym zadaniem. Do świtu udało im się nieco przespać; obudziły ich wrzaski i bicze wargalów prowadzących górników z powrotem do pracy przy moście. Przez cały dzień przyglądali się z wielkim niepokojem postępującym pracom. Ku swemu przerażeniu Will stwierdził, że gotowy na przemarsz wojsk szeroki chodnik zbliża się coraz bardziej do krawędzi Rozpadliny, miejsca gdzie leżeli ukryci pośród głazów. Najwyraźniej umierający pomylił się, a może sprawiła to większa liczba niewyczerpanych jeszcze morderczą pracą niewolników, ale było jasne, że pod koniec następnego dnia most będzie już niemal gotowy.

–Musimy zrobić to dziś w nocy.

Słowa te wyszeptał Evanlyn do ucha. Leżeli oboje przyciśnięci do skał, obserwując budowę. Horace znajdował się kilka metrów dalej i drzemał słodko w chłodnym słońcu poranka. Dziewczyna zmieniła pozycję, tak żeby jej usta znalazły się bliżej jego ucha i odpowiedziała, również szeptem:

–Zastanawiam się, w jaki sposób rozpalimy ogień, od którego zajmie się całość. Przecież ciężko o drewno nawet na małe ognisko.

Ta sama kwestia nie dawała Willowi spokoju już w nocy, aż wreszcie odpowiedź spłynęła na niego niczym objawienie. Tak więc teraz uśmiechnął się spokojnie, wciąż obserwując grupę celtyckich robotników przybijających drewniane deski do belek tworzących konstrukcję mostu.

–Mamy tu mnóstwo świetnego drewna do wzniesienia ognia – odpowiedział. – O ile ktoś wie, gdzie go szukać.

Evanlyn popatrzyła na niego ze zdziwieniem, a potem spojrzała w tę samą stronę co on. Jej czoło rozpogodziło się, a na twarzy z wolna pojawił się uśmiech.

Gdy zapadł zmierzch, wargalowie zapędzili swych wycieńczonych i wygłodniałych niewolników z powrotem do tunelu. Will zauważył przy okazji, że prace przy poszerzaniu tunelu zostały ukończone. Oczekali jeszcze godzinę, aż zrobiło się całkiem ciemno. Przez ten czas nie dopatrzyli się jakiegokolwiek znaku życia w okolicach ujścia tunelu, natomiast ponieważ wiedzieli już, że powyżej znajduje się obozowisko, dostrzegli słaby odblask jego ognisk na zwisających nisko ciężkich chmurach.

–Żeby tylko nie padało – odezwał się nagle Horace. – Bo wtedy nasz pomysł spełnie na niczym. Will zatrzymał się i rzucił mu szybkie spojrzenie. Rzeczywiście, nie przyszło mu to do głowy.

–Nie będzie padało – oświadczył stanowczo. Miał nadzieję, że się nie myli. Ruszył dalej, prowadząc Wyrwija do nieukończonego początku mostu. Tu zatrzymał się; konik strzygl uszami i poruszał nozdrzami, chwytając zapachy nocy. – Ostrzegaj – szepnął cicho Will do swego wierzchowca, w nadziei, że konik da mu znać o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Wyrwij zrozumiał i potrząsnął lekko łbem. Następnie Will wszedł na wąską kładkę prowadzącą do miejsca, gdzie przejście było już ukończone, stąpając lekko nad ziejącą w dole otchłanią. Horace i Evanlyn poszli za nim, nieco wolniej i ostrożniej. Jednak tej nocy, ku uldze Horace'a, trzeba było przebyć znacznie krótszą drogę do solidnej, dającej pewne oparcie części chodnika. Jednak oznaczało to zarazem, że Will ma rację. Jeszcze dzień czy dwa i most będzie skończony. Will odpiął luk oraz kolczan, kładąc je obok siebie na

deskach. Następnie dobył szerokiego noża z pochwy, przyklęknął i zaczął podważać jedną z desek chodnika mostu. Były to deski z miękkiej sosny, topornie ociosane i doskonale do rozpalenia ognia. Horace wyciągnął sztylet i zabrał się do podważania deski w sąsiednim rzędzie. Każdą oderwaną deskę – miały około metra długości – Evanlyn odkładała na bok. Gdy zebrano się ich już sześć, uniosła całe naręczce i pobiegła leciutko na drugą stronę mostu, kładąc je blisko miejsca, gdzie potężne, nasączone smołą liny przymocowane były do drewnianych pylonów. Gdy powróciła, Will i Horace uporali się już z następnymi sześcioma. Te ułożyła pod drugą liną. Nim rozpoczęli pracę, Will wyłożył im swój plan. Chodziło o to, żeby spalić zarówno drewniane wieże, niszcząc w ten sposób podstawową strukturę podtrzymującą most, jak i liny – tak by cała konstrukcja runęła w przepaść. Musieli zrobić to po tamtej, odleglejszej stronie, bowiem tam most był cięższy. Potem wargalowie, być może, zdołają przeciągnąć przez Rozpadlinę jakiś tymczasowy most z lin, jednak z pewnością nie będzie on na tyle solidny, żeby mogła po nim przejść większa liczba wojowników w krótkim czasie.

Kiedy już spalą most, wyruszą jak najprędzej, by ostrzec armię królewską o zagrożeniu z południa. Wówczas będzie można wysłać oddziały, które bez trudu pokonają nieliczne grupy wargalów, jakie będą próbowały przedostać się na celtycką krawędź Rozpadliny. Will i Horace podważali i odrywali kolejne deski, układając je na bok, a Evanlyn kursowała bezustannie tam i z powrotem, aż pod każdym pylonem spiętrzył się spory ich stos. Choć noc była chłodna, obaj chłopcy mocno zgrzali się od wysiłku. W pewnym momencie Evanlyn położyła rękę na ramieniu Willa, który uwolnił właśnie jedną deskę i zabierał się do drugiej.

–Chyba wystarczy – powiedziała. Przerwał, odchylił się do tyłu na piętach i otarł czoło wierzchem lewej dłoni. Wskazała ręką na drugi kraniec mostu, gdzie po każdej stronie piętrzyło się już co najmniej po dwadzieścia desek. Poruszył głową na boki, by rozluźnić mięśnie karku, a potem wstał.

–Słusznie – stwierdził. – To powinno wystarczyć do rozpalenia całkiem porządnego ognia. Podniósł luk i ruszył na drugą stronę, po czym dał znak, żeby poszli za nim. Przyjrzał się uważnie obu stosom drewna.

–Będziemy potrzebować czegoś na podpałkę – stwierdził, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu jakichś krzewów czy zarośli, których gałązki mogłyby im posłużyć do wzniesienia ognia. Oczywiście, niczego nie znalazł. Horace wyciągnął dłoń po nóż Willa.

–Pożycz mi go na chwilę – poprosił.

Will podał mu saksę. Horace przez chwilę ważył w ręce zwiadowczy oręż, a potem sięgnął po jedną z długich desek, ustawił ją w pionie i serią niewiarygodnie szybkich ciosów noża pociął ją na kilkanaście długich szczapek.

–To niezupełnie szermiercze ćwiczenie – wyszczerzył do nich zęby w uśmiechu – ale coś bardzo zbliżonego.

Will i Evanlyn zabrali się do budowania małych stosów z cienkich drzazg, Horace sięgnął po następną deskę; tym razem zajął się nią uważniej i staranniej, odłupując cieńsze pasma sośniny, niemal wióry, które miały zapalić się od pierwszych iskier z krzesiwa. Will sprawdził, jak idzie robota Evanlyn. Stwierdził, że radzi sobie całkiem nieźle i wrócił do swojego pylonu, biorąc od Horace'a kolejne garście sosnowych wiórów, a następnie układając je wokół drewna.

Potem przeszedł na stronę Evanlyn, żeby zrobić to samo z jej ogniskiem, a Horace przeciął wzdłuż na pół jeszcze kilka desek, a potem zaczął łamać je w poprzek. Narobił w ten sposób sporo hałasu, co zaniepokoiło Willa.

–Ciszej – ostrzegł przyjaciela. – Wargalowie nie są głusi, a ten odgłos może nieść się przez tunel.

Horace wzruszył ramionami.

–I tak już skończyłem – oznajmił.

Will przyjrzał się obu stosom. Uznał, że proporcje podpalki oraz cieńszych drzazg są odpowiednie, po czym polecił obojgu pozostałym, by wrócili na drugą stronę.

–Wy już stąd zwiewajcie – polecił. – Ja rozpalę ogień i zaraz do was dołączę.

Horace'owi nie trzeba było tego powtarzać. Nie miał najmniejszej chęci przemierzać wąskiej kładki, mając za plecami płomienie palących się już lin. Przeciwnie, zamierzał przebyć ją powoli i ostrożnie. Evanlyn zawahała się przez chwilę, ale potem uznała, że Will ma rację. Powrócili więc ostrożnie na drugi brzeg, starając się nie patrzeć w dół, gdy kroczyli nad przepaścią. Gdy znaleźli się wreszcie bezpiecznie po drugiej stronie, odwrócili się, by zobaczyć, co robi Will. Ujrzeni go przykucniętego, właściwie tylko ledwo dostrzegalną sylwetkę w cieniu obok prawej wieży mostu. Potem nastąpił błysk, gdy uderzył krzesiwem o stal. I zaraz następny. Tym razem pojawił się też żółtawy blask światła u podstawy stosu drewna – wióry zapaliły się i ogień zaczął się rozprzestrzeniać.

Will rozdmuchał go ostrożnie, przyglądając się tańczącym języczkom płomieni liżącym surową sośninę. Ogień podsycala łatwopalna żywica, a powiększał się z każdą chwilą. Potem zajęła się pierwsza z drzazg, płomień wystrzelił w górę, coraz wyżej, dotykając liny pełniącej rolę balustrady mostu, a potem jeszcze wyżej, aż do potężnych lin nośnych. Smoła zaczęła się topić, jej krople wpadały w płomień, wybuchając za każdym razem błękitnym blaskiem. Uznawszy, że pierwszy ogień ma się jak najlepiej, Will pobiegł na drugą stronę i zabrał się znów do roboty z krzesiwem. I znów spoglądający po drugiej stronie przepaści ujrzeli iskry, a następnie niewielką, lecz szybko poszerzającą się plamę żółtego światła.

Teraz sylwetka Willa widoczna była wyraźnie w świetle obu ognisk. Chłopak wyprostował się i cofnął o krok, sprawdzając po raz ostatni, czy oba palą się należycie. Prawy pylon i lina z tamtej strony zaczęły już dymić w żarze ognia. Will schylił się, podniósł łuk i kolczan, a w następnej chwili biegł już przez most, zwalniając tylko odrobinę, kiedy dotarł do wąskiej

kładki. Gdy znalazł się u boku towarzyszy, odwrócił się, by spojrzeć na swe dzieło. Lina z prawej strony płonęła już na dobre. Nagły powiew wiatru wzbił w powietrze deszcz iskier. Jednak ogień po lewej stronie wyglądał kiepsko. Być może to ten sam wiatr nie pozwolił płomieniom sięgnąć nasączonej smołą liny po tej stronie. A może drewno było zbyt wilgotne? Tak czy inaczej; na ich oczach płomienie pod liną z lewej strony przygasały coraz bardziej, aż wreszcie pozostała z nich tylko czerwona plama żaru.

Rozdział 20

Gilan odwrócił wzrok, nie mogąc znieść umęczonego spojrzenia swojego króla. Wszyscy w namiocie zrozumieli, że oto ich władca otrzymał właśnie żalobną wieść o swej córce, zabitej przez wargalów Morgaratha. Gilan popatrzył po pozostałych, jakby spodziewając się jakiejś pociechy z ich strony. Dostrzegł, że żaden z obecnych nie patrzy na Duncana. Król wstał z krzesła i podszedł do wejścia namiotu. Spojrzał ku południowemu zachodowi jakby chciał dojrzeć w oddali odległe góry Celtii.

–Cassandra wybrała się z wizytą do księżniczki Madelydd osiem tygodni temu. Były serdecznymi przyjaciółkami- Gdy zaczęła się cała ta historia z Morgarathem, uznałem, że tam będzie bezpieczna. Nie widziałem powodu, by sprowadzać ją z powrotem – odwrócił się i pochwycił spojrzenie Gilana. – Opowiedz. Opowiedz mi wszystko, co wiesz...

–Panie... – Gilan przerwał, usiłując zebrać myśli. Wiedział, że musi powiedzieć królowi tyle, ile zdoła. Jednak zarazem nie chciał przysparzać mu niepotrzebnego bólu. – Dziewczyna zauważyła nas i zbliżyła się ku nam. Rozpoznała Willa i mnie jako zwiadowców. Jakoś udało jej się umknąć, kiedy wargalowie zaatakowali. Powiedziała, że wszyscy inni...

Zamilkł. Nie potrafił wypowiedzieć tego na głos.

–Mów – rozkazał Duncan. Jego głos brzmiał stanowczo. Odzyskał już panowanie nad sobą.

–Powiedziała, że wargalowie zabili wszystkich, wasza wysokość – dokończył pospiesznie. Nagle wydało mu się, że władcy łatwiej będzie to znieść, jeśli prędko powie, co ma do powiedzenia. – Nie

opowiedziała nam o tym ze szczegółami. Nie była w stanie. Była wycieńczona, wygłodzona i bardzo zmęczona.

Duncan skinął głową.

–Biedna dziewczyna. To musiało być dla niej okropne przeżycie. Jest dobrą służącą...

Właściwie była

raczej przyjaciółką Cassandry – dodał półgłosem.

Gilan chciał opowiedzieć swemu królowi jak najwięcej, przekazać tyle szczegółów, ile zdoła, opowiedzieć mu wszystko.

–Z początku niemal wzięliśmy ją za chłopaka – wyznał, wspominając chwilę, w której Evanlyn

wkroczyła do ich obozu.

Duncan popatrzył na niego ze zdziwieniem.

–Za chłopaka? – uniósł brwi. – Z tą burzą rudych włosów?

–Obcięła je. Pewnie żeby nie rzucać się w oczy. W tej chwili wzgórze Celtii są pełne bandytów i rabusiów, nie tylko wargalów.

Coś tu się nie zgadzało. Czuł to, ale jednocześnie był śmiertelnie znużony, ślaniał się z niewyspania i jego umysł nie funkcjonował jak należy. Jednak król powiedział coś, co nie pasowało do całości. Coś, co...

Potrząsnął głową, próbując odzyskać jasność umysłu, i zachwiał się na nogach; na szczęście Hak wciąż go podtrzymywał. Dostrzegłszy to, Duncan natychmiast zmienił ton.

–Zwiadowco – oznajmił, postępując ku niemu i chwytając go za rękę – wybac mi. Jesteś znużony, a ja przetrzymuję cię tu z osobistych pobudek. Hak, proszę, zadbaj o to, by Gilan został nakarmiony i mógł wypocząć.

–Mój Blaze... – próbował jeszcze powiedzieć Gilan, pamiętając o swoim koniku, czekającym przed namiotem.

–Dobrze, dobrze – zapewnił go Halt. – Zajmę się nim – spojrzał w stronę króla. – O ile wasza wysokość pozwoli?

Duncan odprawił ich obu ruchem ręki.

–Ależ tak, proszę. Zajmij się teraz swoim towarzyszem. Odznaczył się w naszej służbie. I jego

wierzchowcem też – dodał.

Gdy obaj zwiadowcy opuścili namiot, Duncan zwrócił się ku pozostałym doradcom.

–A teraz, panowie, zastanówmy się, czy potrafimy odkryć przyczyny, jakie kryją się za tym ostatnim

posunięciem Morgaratha.

Baron Thorn przemówił w ich imieniu:

–Panie – odkaslnął niezręcznie – być może trzeba ci nieco czasu, by ochłonąć po tak złych wiadomościach...

Inni członkowie Rady pełnymi współczucia pomrukami dali do zrozumienia, że są tego samego zdania, ale Duncan sprzeciwił się stanowczo:

–Jestem królem – oznajmił. – A znaczy to, że sprawami własnymi nie wolno mi się zajmować, dopóki

królestwo jest w niebezpieczeństwie.

–Zgasł! – jęknął rozpaczliwie Horace.

Wszyscy troje spoglądali w tamtą stronę, ludząc się jeszcze desperacką nadzieją, że to nieprawda, że oczy ich mylą. Jednak, niestety, Horace miał rację. Ogień pod lewym pylonem zamarł, pozostało tylko nieco żaru.

Tymczasem po drugiej stronie płomienie buchały coraz silniej; jedna z trzech splecionych lin przepaliła się już całkiem, jej końce opadły, sypiąc iskrami, a cała konstrukcja zaskrzypiała niebezpiecznie.

–Może z jednej strony wystarczy? – odezwała się Evanlyn, ale Will wiedział doskonale, że spłonąć muszą obie wieże.

–Pylon po prawej stronie jest uszkodzony, ale jeszcze da się go naprawić – stwierdził. – Jeśli ten po lewej pozostanie nietknięty, bez trudu przedostaną się tutaj. Być może zdążą naprawić cały most, zanim dotrzemy do króla Duncana, by go ostrzec.

Zdecydowanym ruchem zarzucił luk na ramię i ruszył w stronę mostu.

–Co chcesz zrobić? – spytał go Horace, spoglądając z niepokojem na chwiejącą się strukturę mostu.

Cała konstrukcja przechyliła się już wyraźnie. Gdy zadał to pytanie, drgnęła znów, opadając nieco

bardziej w stronę dna przepaści.

Will zatrzymał się, balansując już na nagich belkach tworzących kładkę.

–Rozpalę go na nowo – wyjaśnił. – Musimy być pewni, że po tamtej stronie nie zostało już nic.

Mówiąc te słowa, pobiegł na drugą stronę Rozpadliny. Horace ze zgrozą spoglądał, jak

jego przyjaciel przebiega z taką prędkością nad otchłanią. A potem wraz z Evanlyn przyglądali się, drżąc ze zdenerwowania, jak Will przykucnął obok żarzących się drew. Machnął kilka razy dłonią, a potem pochylił się i zaczął na nie dmuchać, aż pośród stosu niespalonych drzazg znów błysnął jęczyczek ognia.

–Udało się! – zawołała Evanlyn, lecz chwilę potem ręce jej opadły, bo płomyk zgasł. Will pochylił się po raz kolejny, wciąż dmuchając na żar. Lina po prawej stronie znów ustąpiła nieco, a most zatrząsnął się, przekrzywiając się jeszcze bardziej.

–Szybciej! Szybciej! – powtarzał półgłosem Horace, zaciskając i rozprostowując spocone dłonie.

A potem Wyrwij zarżał cichutko.

Horace i Evanlyn spojrzeli na konika. Gdyby to były ich wierzchowce, nie byłoby w tym nic szczególnego. Wiedzieli jednak, że Wyrwij nigdy nie wydaje z siebie głosu bez powodu. Jedynie wtedy, gdy...

No właśnie! Horace spojrział w stronę Willa, który wciąż tkwił przykucnięty obok tłącego się ognia. Najwyraźniej nie usłyszał ostrzeżenia Wyrwija. Evanlyn chwyciła Horace'a za ramię i wskazała palcem drugą stronę przepaści.

–Popatrz! – szepnęła gorączkowo.

W ujściu tunelu zajaśniało migocące światło. Ktoś się zbliżał! Wyrwij uderzył kopytem o ziemię i zarżał znów, teraz nieco głośniej. Jednak Will, obok którego huczał buzujący ogień prawego pylonu, nie usłyszał. Evanlyn w mgnieniu oka podjęła decyzję.

–Zostań tutaj! – rozkazała Horace'owi i już w następnej chwili znalazła się na belkach mostu.

Posuwała się do przodu ostrożnie, cal po calu, z sercem w gardle. Osłabiona konstrukcja drżała i

kołysała się. Pod nią ziała czarna otchłań, a na odległym dnie widać było srebrzystą wstęgę potoku, rwącego dnem Rozpadliny. Evanlyn zachwiała się, odzyskała równowagę, ruszyła znów przed siebie. Teraz od ukończonego chodnika dzieliło ją już tylko osiem metrów. Potem pięć. Trzy.

Most zadrżał znów, przez jedną straszliwą chwilę balansowała nad przepaścią, nie mogąc odzyskać równowagi. Usłyszała ostrzegawczy okrzyk Horace'a za sobą. Rozpaczliwym skokiem rzuciła się przed siebie i opadła na nieheblowane deski chodnika.

Jej serce biło jak oszalałe, przed chwilą otarła się o śmierć. Wstała i pobiegła na drugą stronę mostu. Will usłyszał ją teraz i odwrócił się. Z trudem łapiąc oddech, wyciągnęła dłoń w stronę tunelu.

–Idą tutaj! – zawołała.

Teraz okazało się, że poświata, która pojawiła się w wejściu do tunelu, była odbiciem płomieni kilku palących się pochodni. Will i Evanlyn ujrzeli grupę postaci, które z tej odległości wydawały się całkiem drobne. Stały u wejścia, machając łapami i wykrzykując coś na widok płomieni strzelających wysoko ku niebu nad mostem. Dziewczyna naliczyła ich sześć, a po topornych, niedźwiedziowatych sylwetkach zorientowała się, że to wargale.

Stwory biegly już w kierunku mostu. Póki co, miały do przebycia jeszcze pięćdziesiąt metrów, ale biegly bardzo szybko. Wiedziała, że za nimi pojawią się następni.

–Uciekajmy! – zawołała, ciągnąc Willa za rękaw. On jednak wyszarpnął go z jej dłoni,

sięgając już po łuk i kołczan. Sprawdził, czy cięciwa jest dobrze umocowana.

–Wracaj! – polecił. – Ja tu zostanę i ich powstrzymam. Jednocześnie naciągnął łuk i na pozór wcale nie celując

posłał strzałę w kierunku najbliższego z wargalów. Trafiła go w sam środek piersi; stwór wydał z siebie chrapliwy krzyk i upadł, nie wydając już żadnego dźwięku.

Jego towarzysze stanęli jak wryci. Rozejrzeli się dookoła, próbując zorientować się, skąd nadleciała strzala. W ich prymitywnych umysłach zaświtała myśl, że to może pułapka. Nie dostrzegli jeszcze drobnej figurki przy moście. W następnej chwili nadleciały trzy kolejne strzały z ciemności. Stalowe groty dwóch z nich uderzyły o skały, krzesząc iskry. Trzecia przebiła dolną część ramienia jednej z bestii, która wrzasnęła z bólu i opadła na kolana.

Wargalowie nadal nie wiedzieli, jak się zachować. Dostrzegli światło i dym wznoszący się nad wzgórzem dzielącym ich obozowisko od mostu, toteż zeszli, by sprawdzić, co się dzieje. A teraz szyli do nich z łuków jacyś niewidoczni strzelcy. Nie było komu wydawać poleceń, bo dowodzący nimi wargal padł jako pierwszy.

Po jeszcze jednej chwili wahania wycofali się czym prędzej do bezpiecznego tunelu.

–Cofnęli się! – zawołała Evanlyn. Ale Will już znów kuczał przy ognisku, gorączkowo starając się je odbudować.

–Musimy zacząć wszystko od początku! – mruknął gniewnie. Evanlyn upadła na kolana obok niego i zaczęła ustawiać na pół spalone drzazgi i cięższe kawałki drewna w stożkowaty stos.

–Pilnuj wargalów! – syknęła. – Ja zajmę się ogniem. Will zawahał się. Może ognisko nie rozpalilo się jak

należy właśnie dlatego, że źle je przygotowała? Rzucił okiem w stronę tunelu, dostrzegł tam jakiś ruch i zdał sobie sprawę, że miała rację. Pochwycił łuk, by skryć się za pobliską skałą, ale powstrzymała go jeszcze na chwilę:

–Twój nóż! Zostaw mi go.

Nie pytał, po co jej nóż. Błyskawicznie wysunął saksę z pochwy i rzucił ją na deski obok dziewczyny. Kiedy schodził już z mostu, poczuł, że konstrukcja znów zadrżała: lina po prawej stronie ustąpiła jeszcze bardziej. Bezgłośnie przeklął kaprys wichru, który rozpalil jeden ogień, a zgasil drugi. Tymczasem wargalowie stwierdzili, że strzały już nie świszczą w powietrzu, toteż postanowili wychynąć ostrożnie z tunelu i pójść w stronę mostu. Przekonani o swej przewadze, trzymali się blisko siebie, przez co łatwiej było w nich celować. Will wystrzelil trzykrotnie, mierzając teraz uważniej. Każda ze strzał osiągnęła swój cel. Jedyny ocalały wargal popatrzył na leżących na ziemi towarzyszy -i runął jak kłoda, kryjąc się za skałami. Will posłał jeszcze jedną strzałę, która uderzyła o granit tuż nad jego głową, aby dać mu do zrozumienia, co się stanie, gdy tylko zechce wyjrzeć zza kamienia.

Sprawił kołczan. Pozostało mu jeszcze szesnaście strzał. Niewiele, jeśli wargalowie zdołali zaalarmować swych towarzyszy i nadejdą posiłki. Rzucił okiem w stronę Evanlyn. Wydawało mu się, że buduje to ognisko rozpaczliwie powoli. Chciał krzyknąć na nią, żeby się pospieszyła, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że tylko przeszkodzi jej i wszystko pójdzie jeszcze wolniej. Popatrzył znów w kierunku tunelu, rozprostowując i znów zaciskając dłoń dzierżącą drzewce łuku.

Pojawiły się cztery kolejne sylwetki. Biegły szybko i już nie tak blisko siebie. Will uniósł

luk, wycelował i wypuścił strzałę, mierząc do postaci najdalej po prawej. Zaklął pod nosem, bo strzala świsnęła tuż za biegnącym, który w następnej chwili ukrył się pośród skał. Błogosławiąc tygodnie i miesiące ćwiczeń, do których zmuszał go Halt, Will zdążył już dobyć kolejnej strzały i naciągnąć luk -ale trzech pozostali napastnicy również zdążyli już się ukryć.

Nagle, jeden z tych, którzy biegli pośrodku, podniósł się. Rzucił się do przodu i niemal natychmiast upadł, a strzala Willa przeleciała nad jego głową, nie czyniąc mu krzywdy. Potem poruszył się ten z lewej, znów kryjąc się, nim Will w ogóle zdążył wystrzelić. Serce Willa waliło mocno, gdy posuwali się tak do przodu krótkimi zrywami. Zmusił się, by oddychać głęboko i myśleć spokojnie. Czas na strzelanie nadejdzie podczas ostatnich trzydziestu metrów, gdzie nie ma za czym się kryć, a dystans będzie krótszy, toteż strzały przemierzać go będą prędzej i trudniej ich będzie uniknąć. Przypomnił sobie tamto starcie – zaledwie parę tygodni temu – gdy strach sprawił, że jego strzały chybiły. Na twarzy chłopaka pojawił się zacięty wyraz determinacji. Tym razem tak się nie stanie.

–Tylko spokojnie – nakazał sobie, próbując dosłyszeć w tych słowach głos Halta. Kolejna z postaci

przysunęła się nieco bliżej gwałtownym skokiem, ale tym razem dostrzegł ją wyraźniej w blasku

plamieni. Jak podejrzewał już od kilku chwil, nie byli to wargalowie. Miał do czynienia ze Skandianami.

Rozdział 21

Gilan spał jak kłoda przez sześć godzin w namiocie, do którego zaprowadził go Halt. Przez cały ten czas ani razu nawet się nie poruszył. Jego umysł i ciało jakby zamarły, czerpiąc nowe siły z całkowitego bezruchu. A potem, gdy owe sześć godzin minęło, jego podświadomość ożywiła się i zaczęła działać: pojawiły się sny. Śnili mu się Will i Horace oraz ta dziewczyna, Evanlyn. W tym dziwnym, pogmatwanym śnie pojмали ich wargalowie i związali wszystkich razem, a dwaj rabusie, Bart i Carney, stali obok, śmiejąc się do rozpuku.

Gilan przewrócił się na bok, mrużąc coś przez sen. Halt, który siedział opodal i zajęty był naprawianiem lotek strzały, popatrzył na niego z niepokojem. Stwierdził, że młody zwiadowca wciąż śpi, więc powrócił do swojego zajęcia. Gilan znów coś powiedział, a potem umilkł. We śnie ujrzał Evanlyn taką, jaką opisał król – z burzą lśniących, gęstych i rudych włosów opadających na plecy.

Nagle obudził się w mgnieniu oka i usiadł na posłaniu.

–Na Boga! – zawołał do zaskoczonego Halta. – To nie ona!

Halt zaklął, bo rozlał gęstą, kleistą masę, za pomocą której mocował gęsie pióra do drzewca strzały. Nagle poruszenie Gilana sprawiło, że drgnął nerwowo i teraz musiał całą robotę zaczynać od początku. Wytarł szmatką lepkaż maż i poirytowanym głosem zganił swojego byłego ucznia:

–Następnym razem, z łaski swojej, ostrzeż mnie, kiedy będziesz miał zamiar tak krzyczeć, dobrze? – Ale Gilan wyskoczył już z polowego łóżka i naciągał na siebie pospiesznie ubranie.

–Muszę zobaczyć się z królem! – zawołał.

Halt stał i przyglądał mu się z powątpiewaniem, nie do końca pewien, czy Gilan przypadkiem nie lunatykuje. Młody zwiadowca odsunął go bezceremonialnie na bok i wybiegł na zewnątrz, utykając po drodze koszulę w spodnie. Halt na wszelki wypadek ruszył za nim.

Gdy doszli do królewskiego namiotu, znów spotkali się z oporem wartowników. Straże bowiem zmieniły się już parę godzin wcześniej i nowi żołnierze nie znali Gilana. Halt wszystko wyjaśnił, jednak przedtem zmusił Gilana, by ten zapewnił go, że naprawdę koniecznie musi zobaczyć się z królem Duncanem, nawet gdyby oznaczało to przerwanie zasłużonego wypoczynku władcy.

Okazało się, że pomimo późnej godziny król nie spał jeszcze. Omawiał właśnie ze swym głównodowodzącym możliwe przyczyny działań Morgaratha w Celtii, gdy do jego namiotu wpuszczono Gilana – bosego, z potarganymi włosami i w krzywo zapiętej koszuli. Sir David aż zachłysnął się na widok swojego syna, który w takim stanie zaprezentował się wobec królewskiego majestatu.

–Gilanie! Cóż ty, na Boga, wyprawiasz? – spytał, ale Gilan uniósł dłoń, by powstrzymać potok ojcowskiego oburzenia.

–Zaczekaj, ojcze. – Zwracając się do króla, rzekł: –Panie, gdy mówiłeś o tej pokojówce, Evanlyn, czy wspomniałeś o rudych włosach?

Sir David spojrział pytająco na Halta. Starszy zwiadowca wzruszył tylko ramionami, więc sir David spytał ostrym tonem swojego syna:

–A cóż to za różnica? Jednak Gilan znów nie odpowiedział, wciąż zwracając się do króla.

–Dziewczyna, która przedstawiła się jako Evanlyn, miała jasne włosy, panie. Tym razem sam król Duncan uciszył swego rozgniewanego dowódcę. – Jasne, powiadasz? – spytał.

–Tak jest, panie. Jak wspominałem, obcięła je, ale były jasne, blond, tak jak wasze, panie. I miała zielone oczy – dodał, spoglądając uważnie na Duncana. Zdawał sobie sprawę, że każdy szczegół ma tu znaczenie. Król zaś zawahał się przez chwilę i zakrył twarz dłonią. A potem odezwał się, i słychać było, że w jego głosie budzi się nadzieja.

–Czy była szczupła? Wysoka? Gilan przytaknął z zapalem:

–Tak jak mówiłem, panie, przez chwilę sądziliśmy, że to chłopak. Z pewnością przyjęła imię swojej służącej, pragnąc dla bezpieczeństwa zachować incognito.

Teraz rozumiał już, skąd brało się wrażenie, że Evanlyn nie mówi całej prawdy i jakim sposobem miała znacznie większe pojęcie o polityce oraz strategii, niż można by się tego spodziewać po zwykłej służącej.

Sir David zaczynał pojmować, jak ważne słowa padły z ust jego syna. Król spojrział zaś teraz na Halta, potem na Davida, a potem znów na Gilana.

–Moja córka żyje – stwierdził półgłosem. Na długą chwilę zapadła cisza.

–Gilanie, jak daleko w tyle za tobą byli obaj czeladnicy i dziewczyna? – odezwał się w końcu sir David.

Gilan musiał zastanowić się przez moment.

–Chyba o dwa dni jazdy, ojcze.

Podeszli obaj do stołu z mapą, gdzie pokazał ojcu miejsce, w którym, jak sądził, powinien teraz znajdować się Will i jego towarzysze. Sir David natychmiast przystąpił do działania. Wysłał gońca do dowódcy skrzydła kawalerii z poleceniem, by postawił na nogi kompanię lekkiej jazdy, aby mogła natychmiast wyruszyć w drogę.

–Poślemy kompanię piątych lansjerów jako eskortę, panie – wyjaśnił królowi. – Jeśli wyjadą w ciągu

godziny i będą jechać nocą, powinni nawiązać kontakt jutro około południa.

–Ja ich poprowadzę – rzekł natychmiast Gilan, a jego ojciec skinął głową z uznaniem.

–Miałem nadzieję, że to powiesz. – Chwycił króla za ramię, patrząc prosto w oczy rosłego władcy. –

Nie sposób wyrazić, jak się cieszę, wasza wysokość – powiedział.

Król popatrzył na niego, wciąż jeszcze nieco zdezorientowany. Dopiero co rozpaczał w skrytości ducha z powodu utraty ukochanej córki, Cassandra. A teraz została cudem przywrócona do życia!

–Moja córka żyje – powtórzył. – Jest bezpieczna.

Przykucnięta Evanlyn wciąż układała stos drewna pod pylonem i liną podtrzymującą most. Od czasu do czasu słyszała głuchy odgłos wydawany przez łuk Willa, który strzelał do zbliżającego się nieprzyjaciela, ale zmusiła się, by nie spoglądać w tamtą stronę i skupić się na swym zadaniu. Wiedziała, że ma tylko jedną, ostatnią szansę, by rozpałić ten ogień jak należy. Jeśli i tym razem jej się nie uda, oznaczać to będzie prawdziwą katastrofę dla królestwa. Tak więc układała stos starannie, pilnując, by było dość przestrzeni między kawałkami drewna, aby umożliwić dostęp powietrza i dobry cug. Nie było już wiórów na podpałkę, ale miała przecież pod ręką doskonale źródło ognia: płonące liny po prawej stronie mostu.

Gdy ustawiła już schludny stosik na palenisko, pochwyciła nóż Willa i odcięła kilka metrowych odcinków nasączonej smołą liny ze sznurowej balustrady mostu.

Wstała i pobiegła na drugą stronę, by podpalić pocięty sznur, a potem znów do stosu, który obłożyła płonącymi linami, starając się je wtykać w szczeliny, które pozostawiła pośród kawałków drewna. Płomienie lizały jej palce; przygryzła wargi, ale pracowała dalej tak długo, aż ogień rozpalil się na dobre.

Drwa pod wpływem podsycanych smołą płomieni zaczęły trzeszczeć, potem zamigotały płomieniem i rozpalily się na dobre. Przez chwilę dmuchała jeszcze na ogień, aż zapłonęły nie tylko cienkie drzazgi, ale i grubsze deski. Sznuruwa poręcz również zajęła się już w kilku miejscach i płomienie zaczęły wystrzeliwać w górę ku linie nośnej. W końcu płomyki pomknęły chyżo w stronę drewnianego pylonu.

Dopiero wtedy uznała, że może sprawdzić, co dzieje się z Willem. Nie widziała zbyt dobrze, oślepią przez długie wpatrywanie się w ogień, więc dostrzegła tylko zamazany kształt w odległości pięciu metrów, schowany za występem skalnym. W tej samej chwili chłopak uniósł się do pozycji stojącej i wystrzelił. Spojrzała w mrok, ale nie zdołała dostrzec napastników.

Most znów drgnął konwulsyjnie pod jej nogami, a drewniany chodnik przechylił się niebezpiecznie, gdy druga z trzech splecionych lin po prawej stronie ustąpiła, przepalona. Zostało im już niewiele czasu, by wycofać się tam, gdzie czekali na nich Horace i Wyrwij. Musiała natychmiast ostrzec Willa.

Ściskając jego nóż w dłoni, kilkoma susami znalazła się w miejscu, gdzie krył się za skałą, wpatrując się w ciemność. Spojrzał na nią kątem oka.

– Druga strona już się pali – zawołała. – Uciekajmy!

Potrząsnął ponuro głową, a potem wskazał podbródkiem skalne rumowisko odległe zaledwie o trzydzieści metrów od miejsca, gdzie się znajdowali.

– Nie możemy – odpowiedział. – Jeden z nich schował się za tamtymi kamieniami. Jeśli teraz się wycofamy, może jeszcze zdążyć ocalić most.

Nagle dostrzegła jakiś ruch w ciemnościach – na lewo od nich czarna postać podniosła się i rzuciła do przodu. Szybko wskazała w tamtą stronę.

– Tam! – zawołała. Will skinął głową.

– Widzę go – odpowiedział spokojnie. – Próbuje odwrócić moją uwagę. Gdy tylko strzele do niego, ten, który znajduje się bliżej, będzie miał szansę nas zaatakować. Muszę zaczekać, aż pokaże się ten drugi.

Przerażona, zdała sobie sprawę ze znaczenia tego, co właśnie usłyszała.

– Ale przecież w ten sposób pozostali mogą się do nas zbliżyć!

Tym razem Will nie odpowiedział nic. Panika, jakiej uległ w pierwszej chwili, ustąpiła miejsca spokojnej determinacji. W głębi serca jakaś cząstka jego jestestwa odczuwała zadowolenie – zadowolenie, że nie zawiódł Halta i okazał się godny pokładanego w nim zaufania, że starszy zwiadowca nie omylił się, wybierając go na swojego ucznia. Tymczasem Evanlyn spoglądała na niego przez dłuższą chwilę. Zdała sobie sprawę, że ten chłopak gotów jest dać się pojmać, jeśli dzięki temu zdoła utrzymać nieprzyjaciela choćby przez kilka chwil dłużej z dala od mostu.

Pojmać albo zabić – dotarło do niej w następnej chwili.

Za nimi rozległ się donośny trzask. Odwróciła się; pierwsza z lin nośnych ustąpiła wreszcie,

rozsypując wokół deszcz iskier. Razem z nią upadła na wpół spalona górna część pylonu. O to właśnie im chodziło. Zastanawiali się, czy nie wystarczy po prostu przeciąć lin nośnych, ale wówczas istotna część konstrukcji mostu pozostałaby nietknięta. Chodziło o to, by zniszczyć także wieże. Teraz cały most zwisał tylko na jednej linie, trawionej już płomieniami. Wiedziała, że jeszcze kilka minut i będzie po wszystkim. Rozpadlina znów stanie się nie do przebycia.

Will próbował uśmiechnąć się do niej, ale nie wypadło to przekonująco.

–Nic tu już nie wskórasz – powiedział. – Wracaj na drugą stronę, póki jeszcze możesz.

Pewnie, że chciała uciec, jeszcze jak – ale nie mogła go przecież tak zostawić. Ten chłopak chciał poświęcić się dla niej i dla całego królestwa.

–Idź! – odwrócił się w jej stronę i odepchnął ją. Evanlyn wydało się, że widzi lśnienie łez w jego oczach. Także jej spojrzenie zamglilo się, a obraz Willa rozmył się. Zamrugala oczami i w tej samej chwili ujrzała kamień, który trafił go w skroń.

–Will! – zawołała, ale było już za późno. Stęknął cicho, przewrócił oczami i upadł u jej stóp, a z jego skroni pociekła strużka krwi. Usłyszała tupot stóp nadbiegających z różnych stron. Rzuciła nóż na ziemię i zaczęła gorączkowo rozglądać się za lukiem Willa. Znalazła go i próbowała nałożyć strzałę na cięciwę, gdy chwyciły ją brutalne ręce, wyrwały jej broń i przycisnęły ramiona do boków. Skandianin trzymał ją w niedźwiedzim uścisku, przygniatając jej twarz do szorstkiej baranicy cuchnącej tłuszczem, dymem i potem. O mało jej nie udusił. Wyrwała się, kopała i szarpała, próbując uderzyć trzymającego ją mężczyznę, ale bezskutecznie.

Will leżał nieruchomo na ziemi. W końcu dała za wygraną i rozplakała się z poczucia bezsilności, gniewu i smutku. Usłyszała śmiech Skandian. Śmiech, który umilkł, gdy rozległ się całkiem inny odgłos. Żelazny uścisk trzymających ją ramion zelżał nieco, więc mogła spojrzeć w tamtą stronę. Był

to przeciągły, ogłuszający trzask, który dochodził od strony mostu. Liny i wieży z jednej strony już nie było, a ciężar całej konstrukcji dźwigał teraz pozostały pylon, osłabiony już przez płomień. Nie utrzymałby jej długo, nawet gdyby był w doskonałym stanie. Tymczasem pożerały go buzujące płomienie, więc z każdą sekundą stawał się coraz słabszy. Minęła jeszcze chwila i rozległ się potężny huk: pylon pękł w połowie, a potem rozsypał się. Most wraz z linami osunął się z wolna w otchłań Rozpadliny, ciągnąc za sobą świetlistą burzę iskier migocących w ciemności.

Rozdział 22

Gilan czekał niecierpliwie, aż kompania jeźdźców dosiądzie na powrót koni po piętnastominutowym wypoczynku. Najchętniej nie zatrzymywałby się wcale, lecz zdawał sobie sprawę, że i konie, i ludzie potrzebowali chwili wytchnienia, jeśli mieli utrzymywać dalej mordercze tempo, jakie im narzucił. Jechali już przez pół dnia; według jego oceny powinni spotkać Willa i pozostałych wczesnym popołudniem. Stwierdził, że wszyscy jeźdźcy są już w siodłach, toteż zwrócił się do dowódcy oddziału: – Doskonale, kapitanie. Ruszajmy więc! Kapitan zaczerpnął tchu, by wydać rozkaz do wymarszu, kiedy nagle od strony straży przedniej rozległ się okrzyk:

–Zbliżają się jeźdźcy!

Pośród kawalerzystów zapanowało ożywienie. Większość z nich nie miała pojęcia, na czym polega ta misja. Zerwano ich z łóżek bladym świtem, kazano dosiąść koni i jechać. Gilan uniósł się w strzemionach, zasłaniając oczy przed południowym słońcem i spoglądał w kierunku, z którego dochodził tętent. Nie znajdowali się jeszcze na terytorium Celtii, na razie droga wiodła wciąż przez trawiastą równinę, urozmaiconą tu i ówdzie kępami drzew. Bystre oczy Gilana dostrzegły chmurkę kurzu i sylwetkę galopującego jeźdźca.

–Kimkolwiek jest, bardzo mu się spieszy – zauważył kapitan. Po chwili obserwator z przedniej straży uściślił informację:

–Trzej jeźdźcy! – zakrzyknął. Ale Gilan już widział, że i ten raport nie był dokładny. Owszem, trzy wierzchowce, ale jeździec tylko jeden. Poczul ukłucie niepokoju ściskające go w żołądku.

–Czy mam wysłać ludzi na jego spotkanie? – spytał kapitan. Rzeczywiście, w tak niespokojnych czasach nie było dobrym pomysłem, by pozwalać obcemu jeźdźcowi wpaść pełnym galopem w sam środek oddziału. Jednak teraz, gdy nieznajomy był już bliżej, Gilan go rozpoznał. Ściślej mówiąc, rozpoznał jednego z koni: małego, kudłatego, o beczułkowatym tułowiu. To był koń Willa, Wyrwij. Ale nie Will go dosiadał.

Straż przednia przygotowywała się już, by powstrzymać jeźdźca. Gilan rzekł cicho do kapitana:

–Proszę nakazać, żeby go przepuścili.

Kapitan powtórzył ten rozkaz znacznie głośniejszym głosem, toteż jeźdźcy rozstąpili się, robiąc miejsce Horace'owi.

Ten ujrzał grupę oficerów skupioną wokół sztandaru i skierował się w ich stronę, ściągając przed nimi wodze zwiadowczego konika. Teraz Gilan rozpoznał też pozostałe wierzchowce – był to koń Horace'a i juczny kucyk, którego dosiadała Evanlyn – oba podążały za Wyrwijem na postronku.

–Mają Willa! – wykrzyknął chłopak ochryłym głosem, rozpoznawszy Gilana pośród oficerów. – Mają

Willa i Evanlyn!

Gilan na krótką chwilę zamknął oczy, czując bolesny skurcz w sercu. A potem, choć z góry spodziewał się, jaka będzie odpowiedź, spytał:

–Wargalowie?

–Skandianie! – odparł Horace. – Pojmali ich przy moście. Oni...

Zaskoczony Gilan drgnął. Zaskoczony i ogarnięty zgrozą.

–Przy moście? – spytał gorączkowo. – Jakim moście? Horace dyszał ciężko, wyczerpany długą i forsowną jazdą. Zmieniał po drodze konie, ale sobie nie pozwolił na ani chwilę odpoczynku. Odczekał krótką chwilę, by nabrać tchu, zdawał sobie bowiem sprawę, że musi opowiedzieć wszystko ze szczegółami.

–Chodzi o most przez Rozpadlinę – wyjaśnił. – Po to właśnie Morgarath porywał Celtów. Wybudowali dla niego ogromny most przez przepaść, żeby mógł przeprowadzić swoją armię. Był już prawie gotowy, kiedy tam dotarliśmy.

Kapitan wyraźnie pobladł.

–Chcesz powiedzieć, że przez Rozpadlinę wiedzie most? – upewnił się. Jeśli rzeczywiście istniałoby

przejście przez otchłań, konsekwencje takiego faktu byłyby katastrofalne.

–Już nie ma – odparł Horace, oddychając już spokojniej i nieco bardziej panując nad głosem. – Will go spalił. Will i Evanlyn. Tylko że zostali po drugiej stronie, żeby powstrzymać Skandian i...

–Skandian?! – przerwał mu Gilan. – Co do diabła Skandianie robili na płaskowyżu? Horace machnął niecierpliwie ręką, nie mógł pozbierać myśli, kiedy wciąż ktoś mu przerywał.

–Ci Skandianie przybyli jako pierwsi, będzie ich więcej, w tej chwili pokonują południowe urwiska. Mieli połączyć swe siły z wargalami, przekroczyć most i zaatakować tyły naszej armii.

Kilku oficerów wymieniło spojrzenia. Jako zawodowi żołnierze wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, co mogło to oznaczać dla sił królewskich.

–W takim razie całe szczęście, że most został zniszczony – stwierdził jakiś porucznik. Horace rzucił udręczone spojrzenie oficerowi, który był starszy od niego zaledwie o kilka lat.

–Ale oni mają Willa! – zawołał ze łzami w oczach, bo znów przypomniał sobie, jak stał bezsilnie i patrzył, gdy jego przyjaciel został najpierw powalony, a potem pojmany.

–I dziewczynę – uzupełnił Gilan, ale Horace tylko machnął ręką.

–Tak! Oczywiście, ją też! – zawołał. – I przykro mi, że ją schwytali. Ale Will był moim przyjacielem!

–Przykro ci, że ją schwytali? A czy ty wiesz... – zaczął oburzony kapitan, ponieważ był jednym z nielicznych, których wtajemniczono w prawdziwą naturę misji. Jednak Gilan przerwał mu natychmiast.

–Wystarczy, kapitanie! – krzyknął ostrym tonem. Oficer rzucił gniewne spojrzenie, a Gilan pochylił się ku niemu, mówiąc tak, żeby słyszał tylko on: – Im mniej ludzi będzie wiedzieć, jak brzmi prawdziwe imię tej dziewczyny, tym lepiej – wytłumaczył, a na twarzy oficera pojawił się błysk zrozumienia. Oczywiście. Gdyby Morgarath dowiedział się, że jego ludzie pojмали jako zakładniczkę córkę króla, dostałby do rąk potężny atut przetargowy. Zwrócił się znów do Horace'a: – Czy istnieje jakaś możliwość, że zdołają naprawić ten most? – spytał, a barczysty młodzieniec energicznie pokręcił głową. Był zrozpaczony po utracie przyjaciela, ale zarazem dumny z tego, czego Will zdołał dokonać, i słyhać to było w jego głosie:

–Nie ma mowy – zapewnił. – Już po nim, raz na zawsze. Will postarał się, żeby po tamtej

stronie nic z niego nie zostało. Właśnie dlatego go złapali. Załatwił sprawę jak należy – umilkł na chwilę i dodał: -Co prawda, pewnie mogą przerzucić jakiś prowizoryczny most linowy.

To skłoniło Gilana do podjęcia decyzji.

-Kapitanie – zwrócił się do dowódcy jeźdźców – pojedzie pan dalej z całym oddziałem i dopilnuje, żeby żaden most nie został już przerzucony przez Rozpadlinę. Na tyłach naszej armii nie chcemy żadnych wojsk Morgaratha, choćby nawet nielicznych. Horace pokaże panu to miejsce na mapie. Będziecie pilnować zachodniej krawędzi Rozpadliny, aż ktoś was zluzuje. Niech pan wyśle też patrole, by zlokalizować jakiegokolwiek inne możliwe punkty, w których można by przekroczyć Rozpadlinę. Zbyt wiele takich miejsc nie będzie – dodał. – Horace, ty pojedziesz ze mną i złożysz raport przed królem. Wyruszamy natychmiast – przerwał, bo zdał sobie sprawę, że Horace usiłuje powiedzieć coś jeszcze. Skinął głową, dając znać chłopakowi, żeby mówił dalej.

-Skandianie – wyjaśnił Horace. – Są nie tylko na płaskowyżu. Drugie ugrupowanie ma przybyć od północy, obchodząc Cierniowy Las.

Oficerowie znów wymienili półgłosem jakieś uwagi; teraz dopiero uzmysłowili sobie, jak bliska klęski była ich armia. Dwa nieoczekiwane uderzenia na tyły mogły naprawdę sprawić królowi i baronom niemały kłopot.

-Jesteś tego pewien? – spytał Gilan, a Horace kiwnął poważnie głową.

-Will podsłuchał, jak o tym rozmawiali – wyjaśnił.

-Atak od strony wybrzeża i przez Mokradła będą tylko działaniami pozorowanymi.

Prawdziwe natarcie od początku miało nastąpić na tyły.

-W takim razie nie ma ani chwili do stracenia – oznajmił Gilan. – Uderzenie od północnego zachodu nadal może być groźne, jeśli król w porę się o nim nie dowie.

-Kapitanie, pańskie rozkazy pozostają bez zmian. Macie jak najprędzej znaleźć się nad Rozpadliną. – dodał, zwracając się do dowódcy oddziału.

Kapitan zasalutował tylko i rzucił oficerom kilka zwięzłych rozkazów. Ci pogalopowali do swoich żołnierzy i po krótkiej rozmowie, podczas której Horace wskazał miejsce na mapie, gdzie znajdował się spalony most, cały oddział ruszył cwałem w stronę Rozpadliny.

-Jedziemy – rzekł Gilan do Horace'a. Znużony chłopak skinął głową i podszedł teraz do własnego wierzchowca. Wyrwij przez chwilę stał niepewnie w miejscu, stukając kopytem i spoglądając w ślad za odjeżdżającymi – kierowali się przecież tam, gdzie ostatnio widział swojego pana. Nawet ruszył truchtem za nimi, ale po paru krokach Gilan go odwołał, toteż, choć niechętnie, podążył śladem wysokiego zwiadowcy.

Rozdział 23

Ból głowy był wprost potworny. Will czuł stale, rytmiczne dudnienie w czaszce, a przed oczami migotały mu dziwne kolorowe światełka.

Zmusił się do otwarcia oczu. Ujrzał przed sobą z bliskiej odległości baranicę oraz tył obszywanych skórą wełnianych pludrów. Świat stanął na głowie. Zdał sobie sprawę, że ktoś go niesie na ramieniu. Rytmiczny loskot, który słyszał, był odgłosem stóp biegnącego mężczyzny. Will zdecydowanie wolałby iść na własnych nogach.

Jęknął głośno mimo woli, a mężczyzna zatrzymał się. – Obudził się! – zawołał. Opuścił go na ziemię. Will próbował postąpić krok, ale kolana nie utrzymały go; usiadł ciężko. Dowódca grupy, do którego zwracano się imieniem Erak, pochylił się, żeby dokonać oględzin. Gruby kciuk przytrzymał powiekę więźnia, drugi otworzył mu oko. Mężczyzna nie był brutalny, ale nie był też szczególnie delikatny. Will rozpoznał Skandianina. Był to ten sam człowiek, który znalazł się tak blisko niego, kiedy podслуchiwał ich przy ognisku w dolinie.

–Hm – mruknął Erak. – Nieźle oberwał. Swoją drogą, piękny rzut, Nordelu – pochwalili jednego ze

swych ludzi. Skandianin, do którego się zwrócił, olbrzym o jasnych jak słoma włosach splecionych w

dwa warkocze i natłuszczonych tak, że sterczały ku górze niczym rogi, uśmiechnął się, zadowolony z pochwały.

–Od małego polowałem na foki i pingwiny, a jakże – stwierdził nie bez dumy.

Erak puścił powiekę Willa i odsunął się. Teraz chłopak poczuł łagodniejszy dotyk na swej twarzy i znów otwierając oczy, ujrzał tuż przed sobą zielone oczy Evanlyn. Delikatnie gładziła jego czoło, próbując zetrzeć zaschniętą krew.

–Jak się czujesz? – spytała. Skinął głową, ale od razu zdał sobie sprawę, że to akurat nie jest najlepszy pomysł.

–Może być – zdołał wykrztusić, walcząc z mdłościami. – Ciebie też złapali? – spytał niepotrzebnie.

Skinęła głową. – A Horace? – spytał cichszym głosem.

Położyła palec na ustach.

–Odjechał – szepnęła. – Widziałam, jak biegł, kiedy most się zawalił. Will odetchnął z ulgą.

–A więc udało się? Zniszczyliśmy most?

Na twarzy Evanlyn, pomimo rozpaczliwej sytuacji, pojawiło się coś na kształt uśmiechu, kiedy wspomniała, jak cała kunsztowna konstrukcja zwała się z trzaskiem i loskotem w otchłań Rozpadliny.

–Z mostu nic nie zostało – zapewniła go. Erak dosłyszał ostatnie słowa i pokręcił głową. – Juści. Coś

mi się widzi, że Morgarath wam za to nie podziękuje – mruknął.

Will poczuł dreszcz lęku na dźwięk imienia władcy Gór Deszczu i Nocy. Tu, na Płaskowyżu, wydawało się jeszcze bardziej złowrogie, jeszcze bardziej nienawistne. Skandianin spojrział na słońce.

–Odpocznijemy trochę – oznajmił. – Może za godzinkę nasz przyjaciel będzie już mógł iść o własnych

siłach.

Skandianie wydobyli z tobołków żywność i manierki. Jedną z nich oraz kawałek chleba podali Willowi i Evanlyn. Oboje łapczywie rzucili się na strawę. Evanlyn zamierzała coś powiedzieć, ale Will uciszył ją ruchem ręki, bo chciał posłuchać, o czym rozmawiają Skandianie.

–To co teraz zrobimy? – spytał Nordel. Erak przelknął kawałek suszonego dorsza, popił go lykiem ognistego napoju ze skórzanej manierki i wzruszył ramionami.

–Po mojemu, powinniśmy wiać stąd jak najprędzej

–stwierdził. – Przybyliśmy tu po łupy, no nie? A teraz, kiedy nie ma mostu, żadnych łupów nie będzie.

–Morgarathowi nie spodoba się, jeżeli damy nogę

–ostrzegł niski i przysadzisty wojownik. Erak tylko parsknął pogardliwie.

–Patrzcie, patrzcie. Horak nagle zrobił się lojalny wobec naszego wielkiego wodza – rzucił kpiąco. – Słuchaj, nie jesteśmy tu po to, żeby pomagać Morgarathowi w zajęciu Araluenu – dodał. – Ani ty, ani ja. Walczymy dla zysku, a kiedy zysku nie ma, nic tu po nas.

Horak spuścił wzrok, wpatrując się w ziemię u swych stóp. Nie patrzył na wodza, kiedy odezwał się znów.

–A co z nimi? – rzucił na pozór niedbale. Will wyczuł, że Evanlyn wstrzymała oddech rozumiejąc, że Skandianin mówi o niej i o Willu.

–Bierzemy ich ze sobą – oznajmił krótko Erak. Horak przestał wpatrywać się w ziemię, na której kreślił palcem bezsensowne wzory.

–A co nam po nich? Może lepiej po prostu oddać ich wargalom? – spytał, a pozostali głośniejszymi pomrukami wyrazili swoje poparcie dla tego pomysłu. Najwyraźniej ta kwestia nie dawała im spokoju. Czekali tylko, żeby ktoś inny zadał właściwe pytanie.

–Już ci mówię – rzekł Erak. – Zaraz ci powiem, jaki z nich pożytek. Po pierwsze i najważniejsze, to zakładnicy, no nie?

–Zakładnicy! – parsknął pogardliwie czwarty z wojowników, który dotąd się nie odzywał.

–A jakże, Svengalu – warknął na niego Erak. – To są właśnie zakładnicy. Wbij sobie do pustego łba, że odbyłem więcej wypraw wojennych od któregośkolwiek z was, a ta mi się wyjątkowo nie podoba. Jakoś mi się widzi, że Morgarath przechytrzył sam siebie i nie wyjdzie mu to na dobre. Najpierw fałszywe plany, które niby to miały zmylić przeciwnika. Potem sekretne tunele i ten pomysł, żeby Horth ze swoimi ludźmi obszedł Cierniowy Las i zaatakował z tamtej strony... po co tyle komplikacji? I powiem wam jeszcze, że komplikacje to nie jest sposób na Aralueńczyków.

–Ale przecież Horth i tak ich zaskoczy od strony Cierniowego Lasu – upiera! się Svengal, ale Erak potrząsnął tylko głową.

–Może i tak, ale przecież nie będzie wiedział, że mostu nie ma, prawda? Będzie spodziewał się posiłków, a tu nic z tego. Założę się, że Morgarath nie piśnie mu ani słowem, bo wie, że Horth nie jest głupi i jakby się dowiedział, zaraz by się wycofał. Powiem wam jedno, ta bitwa to jak rzut monetą. Będzie albo tak, albo tak. Nic pewnego. Tak to właśnie jest, jak ktoś obmyśla zbyt sprytne plany! Starczy, że jedna część nie zagra i wszystko bierze w łeb.

Na chwilę zapadła cisza; pozostali Skandianie najwyraźniej musieli przetrwać słowa wodza. Jeden czy dwóch z nich pokiwało głowami w zamyśleniu. Erak odezwał się znów:

–Mówię wam, chłopaki, to, co się tu kroi, wcale mi się nie podoba. Na mój rozum jedyne, co

nam pozostaje, to spróbować przedostać się do okrętów Hortha przez Mokradła.

–Może lepiej wrócić tą samą drogą, którąśmy tu przyszli? – spytał Svengal, ale dowódca popatrzył na niego z politowaniem.

–Naprawdę chciałbyś po raz drugi pokonywać te urwiska, w dodatku mając Morgaratha na karku? – zdziwił się. – O nie, wielkie dzięki. Coś mi mówi, że nie będzie zbyt miły dla dezertów. Będziemy mu wiernie towarzyszyć do Wąwozu Trzech Kroków, a potem, gdy tylko znajdziemy się na otwartej przestrzeni, bierzemy nogi za pas i starając się nie zwracać niczyjej uwagi, pomkniemy w stronę wybrzeża – umilkł na chwilę, by dotarł do nich sens jego słów. – A tych dwoje, czyli zakładnicy, to nasz list żelazny, na wypadek gdyby Aralueńcy próbowali nas zatrzymać – dodał.

–Przecież to tylko dzieciaki! – stwierdził lekceważąco Nordel. – Co z nich za zakładnicy?

–Czyżby? A nie widziałeś tego liścia dębu, który chłopak ma zawieszony na szyi? – zirytował się Erak, a ręka Willa odruchowo powędrowała ku odznace. – To jest znak zwiadowców – ciągnął Erak. – Chłopak jest jednym z nich. Może tylko uczniem albo początkującym, nie wiem. Tyle że ten uczeń spalił Morgarathowi kawał jego przemyślnego planu. Tak więc chłopak należy do zwiadowców, a oni nie zostawiają swoich w potrzebie.

–No dobra, a dziewczyna? – spytał Svengal. – Nie powiesz mi chyba, że ona też należy do zwiadowców?

–To się zgadza – przyznał Erak. – Zwykła dziewczyna i tyle. Tylko że ja nie oddam żadnej dziewczyny

wargalom. Samiście widzieli, co to za paskudy. Gorsze niż zwierzęta, zwykle bydło. O, nie. Bierzemy ją ze sobą.

Znów przez moment zapanowało milczenie. Towarzysze Eraka rozważali słowa dowódcy. Potem odezwał się Horak:

–Racja – zgodził się.

Erak popatrzył po innych. Bez wątpienia Horak wyraził przekonanie wszystkich obecnych. Skandianie byli wojownikami, ludźmi twardymi i bezwzględnyymi, gdy zaszła potrzeba, ale rządili się swym własnym kodeksem, w którym swoisty honor zajmował nie najpośledniejsze miejsce.

–No i dobrze – stwierdził. – A teraz ruszamy dalej.

Wstał i podszedł do Willa oraz Evanlyn, podczas gdy pozostali Skandianie pospiesznie pakowali resztki posiłku do swych sakw.

–Możesz iść? – spytał szorstko Willa. – Czy Nordel znów będzie musiał cię dźwigać?

Will zarumienił się z gniewu i szybko wstał. Od razu tego pożałował. Ziemia zakolysała się pod nim, zakręciło mu się w głowie. Zachwiał się i nie upadł tylko dlatego, że Evanlyn podtrzymała go. Nie zamierzał jednak okazywać słabości wobec nieprzyjaciela. Odzyskał równowagę i rzucił Erakowi wyzywające spojrzenie.

–Pójdę – powiedział z trudem, a rosły Skandianin przyjrzał mu się uważnie przez chwilę – nie bez uznania, jakby tego właśnie się po nim spodziewał.

–Ano tak – stwierdził. – Pójdiesz, ani chybi.

Rozdział 24

Sir David, Mistrz Sztuk Walki i naczelny wódz sił królewskich, przygryzał wąsa, studiując plan bitwy nakreślony na piaskowej mapie.

–No, nie jestem pewien – rzekł z powątpiewaniem w głosie. – Halt wie, co mówi. Ale to wielkie ryzyko. Wiadomo, że jedną z podstawowych zasad sztuki wojennej jest nierozpraszenie sił.

Halt cierpliwie skinął głową. Wiedział doskonale, że wódz wielkiej armii musi rozważyć wszelkie za i przeciw, rozpatrzyć wszystkie wątpliwości – by zyskać pewność, że w miarę sił, którymi dysponuje i informacji, jakie posiada, postępuje słusznie. Na tym właśnie polegała rola sir Davida – by doszukać się wszelkich słabych punktów opracowanego planu i przeciwstawić je oczekiwanym korzyściom.

–Zapewne – odpowiedział zwiadowca. – Jednak prawdą jest także, iż zaskoczenie to potężna broń.

Baron Tyler obszedł stół, by spojrzeć na rozrysowany plan z innej strony. Wskazał sztyletem płamę przedstawiającą Cierniowy Las.

–Czy aby na pewno ty i Gilan zdołacie przeprowadzić tak liczny oddział jazdy przez ten gąszcz?

Zdawało mi się dotąd, że tych kolczastych okolic nikt nie zdoła przebyć – zawiesił głos.

Halt popatrzył mu w oczy.

–Zwiadowcy od lat dokonują systematycznego rozpoznania i nadzoru każdego cala królestwa, panie –

zapewnił barona. – W szczególności zaś tych miejsc, które w powszechnym mniemaniu są niedostępne

lub nieprzebyte. Dzięki temu będziemy mogli zaskoczyć siły nadciągające z północy. A wówczas

Morgarath znajdzie się w pułapce, bowiem na próżno liczyć będzie na posiłki ze strony Skandian.

Tyler przechadzał się wokół stołu, wpatrując się w zakreślone na piasku linie oraz zatknięte w nie chorągiewki.

–Tym niemniej – stwierdził – kiepsko będzie z nami, jeśli Skandianie pokonają Halta i naszą jazdę tu, na północy – wskazał palcem. – Bądź co bądź, wróg będzie miał nad wami niemal dwukrotną przewagę.

–To prawda – zgodził się Halt. – Ale dopadniemy ich na otwartej przestrzeni, więc pod tym względem my będziemy mieli przewagę. Ponadto bierzemy ze sobą dwieście dwójek łuczniczych, a to powinno nieco wyrównać siły, nim jeszcze dojdzie do bezpośredniego starcia.

Dwójka łucznicza składała się z łucznika i współdziałającego z nim pikiniera. Była to mordercza kombinacja w konfrontacji z lekkobrojną piechotą. Łucznicy eliminowali znaczną liczbę przeciwników na odległość, kiedy zaś dochodziło już do walki wręcz, pikinierzy osłaniali odwrót łuczników.

–A jednak – upierał się baron Tyler – założmy, że Skandianie zdołają was pokonać.

Nastąpi wówczas

odwrócenie sytuacji: z rzeczywistymi siłami przeciwnika będziemy mieli do czynienia na

północnym

zachodzie, tymczasem nasze tyły będą narażone na natarcie wargalów Morgaratha, którzy przedostaną się przez wąwóz.

Arald miał ochotę westchnąć, ale powstrzymał się w porę. Jak przystało na stratega, Tyler był podejrzliwy, ostrożny i starał się przewidzieć wszystkie możliwości.

–Z drugiej strony – rzekł, starając się bardzo, by nie okazać zniecierpliwienia – jeśli Hakowi powiedzie

się, to jego siły ujrzy Morgarath nadchodząc z północnego zachodu. Pomyśli, że to Skandianie

atakujący nas z tamtej strony i ochoczo wyprowadzi swoje wojska na równinę, by zaatakować nasze

tyły. A wtedy już go mamy, raz na zawsze!

Wyraźnie spodobała mu się ta myśl.

–Tym niemniej, to spore ryzyko – Tyler nie dawał się przekonać. Halt i Arald wymienili spojrzenia. Baron zaczynał mieć już dość tego sporu, ale wciąż panował nad sobą.

–Nie ma wojny bez ryzyka, panie. W przeciwnym razie byłaby to dziecinna igraszka – stwierdził sucho Halt.

Baron Tyler rzucił mu gniewne spojrzenie. Halt nie spuścił wzroku. Baron otworzył już usta, żeby coś powiedzieć, ale sir David uprzedził go, zdecydowanym gestem uderzając rękawicą o otwartą dłoń.

–No dobrze, panowie – oznajmił. – Przedstawię plan Hal ta królowi. Na wzmiankę o władcy rysy Halta nieco złagodniały.

–Jak jego wysokość się miewa? To znaczy, po tych wieściach o królownie Cassandrze... Sir David nie krył zatroskania o władcę.

–Nie ma co kryć, jest zdruzgotany. Trudno o okrutniej szy cios – najpierw przebudzenie nadziei, by zaraz potem wszystko znów legło w gruzach. Jednak nasz władca potrafi odsunąć na bok osobiste sprawy, by dalej pełnić swe królewskie obowiązki. Powiada, że na żałobę czas przyjdzie potem, gdy będzie już po wszystkim.

–Może wcale nie trzeba będzie przywdziewać żałoby – zauważył Arald. David uśmiechnął się smutno.

–Rzecz jasna i ja tak powiedziałem. On jednak odparł, że woli już nie łudzić się próżną nadzieją.

Przez chwilę w namiocie panowało niezręczne milczenie. Tyler, Fergus i sir David głęboko współczuli swojemu królowi. Duncan był władcą sprawiedliwym, lubianym przez swych poddanych. Halt i baron Arald ubolewali ponadto nad stratą Willa. Minęło niewiele czasu, odkąd chłopak wstąpił w szeregi zwiadowców, ale już stał się ważną postacią na Zamku Redmont.

Wreszcie milczenie przerwał sir David:

–Panowie, może zechcielibyście zacząć już przygotowania. Ja udaję się do króla, żeby przedstawić mu plan.

Gdy odwrócił się, by przejść do części wielkiego namiotu, w której rezydował monarcha, Arald, Fergus i Tyler wyszli szybko, by zająć się niezliczonymi czynnościami, z którymi zawsze

trzeba się uporać przed wymarszem armii. Halt ujrzał obok posterunku strażników wysoką postać w zielonoszarym płaszczu zwiadowcy. Gilan najwyraźniej czekał na niego. Halt zszedł z boczem niewielkiego wzgórza, by porozmawiać ze swym dawnym uczniem.

–Proszę o zwolnienie ze służby. Przejdę na drugą stronę Rozpadliny, żeby ich odnaleźć – odezwał się

Gilan.

Halt zdawał sobie sprawę, jak boleśnie Gilan odczuł stratę Willa. Nie mógł sobie wybaczyć, że pozostawił chłopaka samego pośród gór Celtii. Halt powtarzał mu wiele razy, zresztą inni zwiadowcy też, że postąpił słusznie, jednak Gilan nie dawał się przekonać. Halt wiedział, że tym trudniej mu będzie znieść odmowę, ale nie miał wyjścia. Jako zwiadowcy mieli przede wszystkim obowiązki wobec królestwa. Potrzęsął więc głową.

–Nie mogę cię zwolnić. Jesteś potrzebny tutaj. Mamy poprowadzić część naszych wojsk przez

Cierniowy Las i zastąpić drogę ludziom Hortha. Idź do namiotu Crowleya i poproś go o mapy, na

których zaznaczone są tajne drogi, wiodące przez tę część kraju.

Gilan zawahał się, zacisnął szczęki. – Ale... – chciał zaprotestować, ale powstrzymało go coś w oczach Halta, który pochylił się ku niemu.

–Gilanie, czy choć przez chwilę sądziłeś, że nie pragnę przetrząsnąć tego płaskowyżu, kamień po

kamieniu, aż nie odnajdę Willa? Ale ja i ty złożyliśmy przysięgę, gdy wręczono nam te srebrne liście,

a teraz musimy jej dotrzymać.

Gilan spuścił wzrok i skinął głową. Poddął się, ale jakby przy tym trochę się przygarbił.

–Tak jest... – przyznał złamanym głosem i Hakowi wydało się, że dostrzega w jego oczach łzy. Odwrócił się czym prędzej, żeby Gilan nie dostrzegł wilgoci także w jego oczach.

–Przynieś te mapy – polecił krótko.

Rozdział 25

Czterej Skandianie i ich więźniowie przez całą resztę dnia i znaczną część wieczoru przemierzali jałowy, chłostany wiatrami płaskowyż. Dopiero kilka godzin po zmroku Erak zarządził postój. Zmęczeni, Will i Evanlyn z ulgą usiedli na kamienistej ziemi. Ból głowy ustąpił w ciągu dnia, jednak Will wciąż jeszcze odczuwał tępe dudnienie gdzieś w jej wnętrzu. Zakrzepła krew w miejscu, gdzie zraniła go ostra krawędź kamienia, swędziała wściekle, wiedział jednak, że jeśli spróbuje zdrapać strup, rana otworzy się na nowo i znów zacznie krwawić. Erak nie kazał ich związać. Wyjaśnił im tylko, że nie mają dokąd uciekać.

–Na tym płaskowyżu aż roi się od wargalów – stwierdził szorstko. – Jeśli wolicie mieć z nimi do

czynienia, proszę bardzo, droga wolna.

Nawet nie próbowali więc ucieczki i szli posłusznie, otoczeni Skandianami, mijając przez cały dzień kolejne oddziały wargalów. Kierowali się wciąż na północny wschód, ku Wąwozowi Trzech Kroków.

Teraz czterej Skandianie zrzucili ciężkie toboły na ziemię, a Nordel zaczął zbierać drwa na ognisko. Svengal cisnął do stóp Evanlyn spory miedziany kociołek i wskazał ręką w stronę strumienia, który szemrał pośród pobliskich skał opodal.

–Przynieś wody – rozkazał. Przez chwilę wahala się, potem jednak wzruszyła ramionami, wzięła kociołek i wstała, stękając cicho, gdy obolałe mięśnie i stawy znów musiały dźwignąć cały jej ciężar.

–Chodź, Willu – rzuciła niedbałym tonem. – Pomożesz mi. Erak grzebał w swoich rzeczach, ale na dźwięk jej głosu odwrócił się natychmiast.

–Nie! – krzyknął ostro, aż wszyscy towarzysze popatrzyli na niego. Wskazał wyciągniętym palcem na Evan-lyn. – Ty możesz sobie iść – oznajmił. – Bo wiem, że wrócisz. Jednak z tym zwiadowcą to inna sprawa. Mógłby próbować dać drapaką, jeśli nie ma dość oleju w głowie.

Will, który to właśnie miał zamiar uczynić, próbował udawać zaskoczenie.

–Nie jestem zwiadowcą – zaprotestował. – Jestem tylko uczniem. Erak parsknął krótkim śmiechem.

–Skoro tak powiadasz – odparł. – Ale tam przy moście kładłeś wargalów pokotem jak przystało na zwiadowcę. Zostaniesz tutaj, żebym miał na ciebie oko.

Will uśmiechnął się blado do Evanlyn i usiadł znowu, wydając z siebie westchnienie ulgi, gdy oparł plecy0 duży kamień. Wiedział, że za parę chwil będzie mu twardo i niewygodnie, ale póki co był szczęśliwy, mogąc odpocząć.

Skandianie urządzali obozowisko. Szybko uwinęli się z rozpalaniem ognia, a kiedy Evanlyn wróciła z wodą, Eraki Svengal wrzucili do kociołka kawałki suszonego mięsa na potrawkę. Jedzenie było mdłe, właściwie pozbawione smaku, ale przynajmniej była to gorąca strawa, która napełniła żołądki. Will przez kilka długich chwil wspominał z melancholią smakolyki przygotowywane w kuchni zamkowej. Potem z jeszcze większym smutkiem pomyślał, że przysmaki przyrządzane pod pieczęą groźnego Chubba, mistrza chochli, a także czas spędzony w lesie z Haltem, należą już tylko do wspomnień. W jego myślach pojawiły się nieproszone obrazy: pomyślał o Wyrwiju, o Gilanie i Horace'em. Przypomniał mu się Zamek Redmont w ostatnich promieniach zachodzącego słońca i jego mury połyskujące czerwienią, jakby świeciły własnym światłem. Poczul, że pieką go powieki, a do oczu zaczynają napływać łzy, domagając

się ujścia. Otarł je ukradkiem wierzchem dłoni. Nagle posiłek stał się jeszcze bardziej pozbawiony smaku niż przedtem.

Evanlyn chyba wyczuła ogarniający go smutek. Poczul jej ciepłą, drobną dłoń na swojej i wiedział, że patrzy na niego. Nie potrafił jednak spojrzeć w te zielone oczy w obawie, że naprawdę się rozbeczy.

–Wszystko będzie dobrze – szepnęła. Chciał odpowiedzieć, ale jakoś zabrakło mu słów. Pokręcił tylko głową w milczeniu, wpatrując się intensywnie w podrapane dno drewnianej miski, którą przydzielili mu Skandianie.

Obozowali w pewnej odległości od drogi, na szczycie niewielkiego wzniesienia, Erak uznał bowiem, że chce widzieć, kiedy ktoś się będzie zbliżał. Nagle z za odległego o kilkaset metrów zakrętu drogi wyłoniła się spora grupa jeźdźców, za którymi podążał oddział wargalów, biegnących, by dotrzymać kroku wierzchowcom. Znów usłyszeli miarowe pomruki stworów, a Will i tym razem poczuł ciarki na grzbiecie.

Erak czym prędzej odwrócił się w stronę Evanlyn i Willa.

–Prędko! Wy dwoje schowajcie się za tamte skały, jeśli wam życie mile! Mamy tu Morgaratha we własnej osobie. Nordel, Horak, podejdźcie do ognia, żeby ich zasłonić!

Willowi i Evanlyn nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Zgięci w pół, pomknęli ku skałom. Tymczasem dwaj Skandianie zgodnie z poleceniem Eraka, wstali i podeszli do ognia, stając w jego świetle, by zwrócić na siebie uwagę nadjeżdżających. Dwie drobne postacie przemknęły niepostrzeżenie w półmroku.

Mrukliwe skandowanie oraz tętent kopyt końskich zbliżały się coraz bardziej. Will leżał na brzuchu, zakrywając Evanlyn ręką i połą płaszcz. Tak jak poprzednio nasunął kaptur na głowę, by twarz jego znalazła się w cieniu. Skała, za którą leżeli, była pęknięta i choć wiedział, że wiele ryzykuje, nie mógł się powstrzymać i zerknął przez wąską szczelinę.

Miał widok tylko na niewielki wycinek przestrzeni. Erak stał po drugiej stronie ogniska, twarzą do nadjeżdżających. Will uświadomił sobie, że Skandianin specjalnie ustawił się akurat w tym miejscu. Kiedy jeźdźcy zatrzymają się, płonące ognisko znajdzie się dokładnie między nimi, a kryjówką jego i Evanlyn. Jeśli któryś z nich popatrzy w tę stronę, spojrzy prosto w jasne płomienie. Potraktował to jako lekcję taktyki, którą postanowił zapamiętać na przyszłość.

Odgłosy kopyt umilkły, a pomruki wargalów urwały się nagle. Przez chwilę lub dwie panowała cisza. A potem rozległ się czyjś głos. Nienaturalnie wysoki, a zarazem wężowy, syczący.

–Kapitanie Eraku, dokąd zmierzasz?

Will przycisnął twarz do szczeliny, starając się ujrzeć mówiącego. Nie miał wątpliwości, że ten zimny, kąśliwy głos należał do Morgaratha. Brzmiał w nim lód i nienawiść. Mrozący krew w żyłach, jakby ktoś skrobał gwoździem o kamień... Ciarki przeszły go po karku i czuł, że Evanlyn drży pod jego ręką.

Jednak nawet jeśli głos ten zrobił podobne wrażenie na Eraku, Skandianin nie dał tego po sobie poznać.

–Jestem jarlem, lordzie Morgarath – sprostował spokojnie. – Nie kapitanem.

–Doprawdy – odparł lodowaty głos. – Muszę spróbować to zapamiętać, na wypadek gdyby kiedyś

zaczęło mnie to obchodzić. A teraz... kapitanie – powtórzył, kładąc nacisk na to słowo – powtarzam,

dokąd zmierzasz?

Dał się słyszeć brzęk końskiej uprzęży i przez swą szparę Will dostrzegł zbliżającego się białego konia. Jednak nie wspaniałego białego rumaka o lśniącej sierści, jakiego mógłby dosiadać wytworny rycerz. Wierzchowiec Morgaratha był wielki, biały jak śmierć, o dzikich, niespokojnych oczach. Will przekrzywił głowę nieco na bok, dzięki czemu zdołał dojrzeć trzymającą niedbale wodze dłoń w czarnej rękawicy. Twarzy jeźdźca nie było jednak widać.

–Pomyśleliśmy, że przyłączymy się do wojsk waszej wysokości u Wąwozu Trzech Kroków

– oświadczył Erak. – Przypuszczam bowiem, że wasza wysokość nie zrezygnuje z ataku, nawet pomimo

zniszczenia mostu.

Morgarath zaklął na to wspomnienie. Czując jego gniew, biały koń postąpił kilka kroków na bok i teraz Will mógł podziwiać mrocznego władcę w całej okazałości.

Był niezwykle wysoki, ale chudy, cały w czerni. Pochylił się w siodle podczas rozmowy ze Skandianami, a przygarbione ramiona i czarny płaszcz nadawały mu wygląd sępa.

Miał pociągłą twarz, spiczasty nos i wystające kości policzkowe. Skóra na licu była trupio blada, jak sierść jego wierzchowca. Także długie lecz rzędzące włosy były niemal zupełnie białe. Tym bardziej kontrastowały z nimi przepastne czarne oczy. Był gładko ogolony, a jego usta wyglądały jak wąska czerwona rana pośród bladości oblicza. Gdy Will spoglądał na niego, władca Deszczu i Nocy jakby wyczuł obecność chłopca. Spojrzał w tamtą stronę, za Eraka i jego trzech towarzyszy, próbując przebić wzrokiem ciemności. Will zamarł i wstrzymał oddech, gdy te czarne, potworne oczy sondowały noc. Jednak blask ognia nie pozwolił Morgarathowi niczego dojrzeć, toteż po chwili znów wpił wzrok w Eraka.

–Tak – odparł. – Atakujemy zgodnie z planem. Teraz, gdy siły Duncana zajęły pozycje, pozwoli nam wyjść na równiny, nim przypuścimy atak. Ten głupiec sądzi, że ma nad nami przewagę, więc będzie chciał szybko się z nami uporać.

–A właśnie wtedy Horth uderzy na niego z tyłu – dokończył Erak ze złowieszczym chichotem. Morgarath spoglądał na niego z kamienną twarzą, przechylając głowę na bok. Ta ptasia poza znów przywiodła Willowi na myśl sępa.

–Właśnie tak – przytaknął Morgarath. – Lepiej by się stało, gdybyśmy przypuścili atak oskrzydłający z dwóch stron, tak jak zamierzałem uprzednio, ale jedno uderzenie też powinno wystarczyć.

–I mnie się tak zdaje, panie – zgodził się z nim Erak i nastąpiło dłuższe milczenie.

Najwyraźniej Morgaratha mało obchodziło, czy Erak zgadza się z nim czy nie.

–Byłoby też lepiej, gdyby twoi rodacy nie opuścili nas – odezwał się wreszcie Morgarath. –

Powiedziano mi, że Ovlak pożeglował z powrotem do Skandii ze swymi ludźmi. A miał przebyć

południowe urwiska i dołączyć do nas.

Erak rozłożył ręce, na znak, że nie pozwoli się winić za coś, na co nie ma wpływu.

–Ovlak to zwykły najemnik – stwierdził. – Takim jak on nie można ufać. Walczą tylko dla zysku.

–A ty... niby nie? – w głosie Morgaratha słychać było lodowatą drwinę. Erak wyprostował się dumnie.

–Danego słowa dotrzymam – oświadczył. Morgarath znów przypatrywał mu się w milczeniu

przez długą chwilę. Skandianin spokojnie wytrzymał jego spojrzenie i to w końcu Morgarath odwrócił wzrok.

–Chirath powiadomił mnie, że wzięliście jeńca przy moście. Ponoć wielkiego wojownika. Nie widzę go tu – i znów Morgarath próbował przebić wzrokiem ciemności czerniejące za blaskiem ognia. Erak zaśmiał się chrapliwie.

–Jeżeli Chirath to ten przywódca wargalów waszej wysokości, on również go nie widział – odparł kpiącym tonem. – Większość czasu spędził w ukryciu, z nosem przy ziemi, żeby uniknąć strzał.

–A co z tym więźniem? – Morgarath nie dał się zbić z tropu.

–Nie żyje – wyjaśnił Erak. – Zabiliśmy go i rzuciliśmy w przepaść.

–Bardzo mi się to nie podoba – oświadczył Morgarath, a Willa przeszedł zimny dreszcz. – Wolalbym dostać go w swoje ręce, żeby mu odpłacić cierpieniem za to, że pokrzyżował moje plany. Trzeba było przyprowadzić go do mnie żywcem.

–No cóż, tak właśnie byśmy uczynili, gdyby nie to, że zasypywał nas gradem strzał. Strzelać z łuku to on umiał, nie ma co. Nie dało rady dostać go żywego.

Znów nastąpiło milczenie, gdy Morgarath rozważał w myślach tę odpowiedź. Wydawało się, że go nie usatysfakcjonowała.

–Ostrzegam cię, kapitanie. Nie jestem z ciebie zadowolony.

Tym razem to Erak nic nie odpowiedział. Wykonał nawet ruch, jakby miał wzruszyć ramionami, jak gdyby aprobatą czy dezaprobatą Morgaratha zupełnie go nie interesowała. Wreszcie władca Deszczu i Nocy zebrał wodze i potrząsnął nimi, spinając konia ostrogami i odwracając go od ogniska.

–Zobaczymy się u Wąwozu Trzech Kroków, kapitanie!

–zawołał przez ramię. Jednak w następnej chwili, jakby przypomniał sobie o czymś i zawrócił konia. –

I jeszcze jedno, kapitanie. Nawet nie myśl o dezercji. Będziesz walczyć u naszego boku aż do końca.

Erak skinął głową.

–Już mówiłem, wasza wysokość. Danego słowa dotrzymam.

Tym razem Morgarath uśmiechnął się, końce wąskich ust uniosły się, lecz twarz pozostała jak z kamienia.

–O tak, kapitanie. Dotrzymasz – syknął cicho. Spiał konia ostrogami i ruszył z miejsca galopem.

Wargalowie podążyli za nim, znów rozległ się rytmiczny pomruk i tupot ich stóp w ciemnościach. Will zdał sobie sprawę, że w swej kryjówce za skałami niemal zupełnie wstrzymał oddech. Odetchnął teraz pełną piersią i usłyszał, że także Skandianie odetchnęli z

ulgą.

–Bogowie wszystkich bitew – odezwał się Erak. – To ci dopiero straszycie.

–Wygląda, jakby już umarł i poszedł do piekieł – dodał Svengal, a obaj pozostali najwyraźniej byli tego samego zdania.

Erak obszedł ognisko i stanął nad Willem i Evanlyn, wciąż skulonymi za skałami.

–Słyszeliście? – spytał. Will skinął głową. Evanlyn nadal leżała twarzą do ziemi. Erak trącił ją czubkiem buta.

–A ty, dziewczeczko? Słyszalas także?

Dopiero teraz uniosła głowę. Łzy przerażenia spływały po jej umorusanej twarzy, pozostawiając jasny ślad. Także przytaknęła ruchem głowy, niezdolna wypowiedzieć ani słowa. Erak spojrział w dal, tam gdzie zniknął Morgarath ze swymi wargalami.

–A więc pamiętajcie, na wypadek, gdyby zachciało wam się ucieczki – rzekł. – Oto, co was czeka, jeśli nie będziecie się nas trzymać.

Rozdział 26

Równina Uthal była ogromną płaską i otwartą przestrzenią, pokrytą kołyszącymi się soczystymi i zielonymi trawami. Rosło na niej niewiele drzew, choć monotonię pejzażu urozmaicały wznoszące się tu i ówdzie pagórki. W pewnej odległości za pozycjami zajmowanymi przez armię Araluenu równina zaczynała unosić się stopniowo, tworząc niski grzbiet.

Blżej mokradel, gdzie formowały się oddziały wargalów, pośród traw wiał się strumień. Zazwyczaj był tylko wąską strużką, ale niedawne wiosenne deszcze sprawiły, że wezbrał, toteż grunt oddzielający stwory od Aralueńczyków stał się grząski i miękki, uniemożliwiając jakąkolwiek próbę natarcia ze strony aralueńskiej ciężkiej jazdy.

Baron Fergus z Caraway przysłonił dłonią oczy przed blaskiem południowego słońca i spoglądał przez równinę ku ujściu Wąwozu Trzech Kroków.

–Niemало ich – stwierdził spokojnie.

–A będzie jeszcze więcej – baron Arald sprawdzał, czy jego wielki dwuręczny miecz łatwo wychodzi z pochwy.

Obaj baronowie jechali powoli na bojowych rumakach wzdłuż frontu armii Duncana sformowanej już w szyku. Arald uważał, że to wskazane dla morale wojska, by ludzie widzieli swych dowódców, jak beztrąsko gawędzą sobie, przyglądając się nieprzyjaciółom, wylaniającym się z wąskiego przejścia

pośród gór i rozpełzającym z wolna po równinie. Z oddali dobiegał ich charakterystyczny, rytmiczny odgłos wydawany przez wargalów, którzy biegli truchtem, by zająć swoje pozycje.

–Grają mi na nerwach tym swoim wyciem – mruknął Fergus, a Arald skinieniem głowy przyznał mu rację. Spojrzał, na pozór od niechcienia, ku szeregom aralueńskich wojsk. Jako się rzekło, armia zajęła już swe pozycje, ale głównodowodzący sir David polecił, by żołnierze pozostawali póki co „na spoczniej”. Tak więc jeźdźcy nie dosiedli jeszcze wierzchowców, a piechota i łucznicy siedzieli na trawie.

–Nie ma sensu męczyć ich niepotrzebnie w tym słońcu – stwierdził sir David. Ta sama myśl przyświecała mu, gdy kazał kuchmistrzom przygotować duże ilości chłodnych napojów i owoców. Odziani na biało czeladnicy przemykali teraz pośród zbrojnych, dźwigając kosze i skórzane bukłaki z wodą. Arald uśmiechnął się, bowiem dostrzegł pulchną postać mistrza Chubba, swego kucharza z Zamku Redmont, który komenderował grupą nieszczęsnych uczniów, rozdających wojownikom jabłka i brzoskwinie. Jak zwykle jego chochła unosiła się i opadała niepokojąco często na głowy adeptów, którzy w jego mniemaniu uwijali się zbyt wolno.

–Gdyby dać temu twojemu Kuchmistrzowi maczugę, sam jeden rozprawiłby się z całą armią Morgaratha – zażartował Fergus, a Arald uśmiechnął się w zamyśleniu. Bądź co bądź ludzie w pobliżu Chubba tak byli zajęci tym, co wyprawiał gruby Kuchmistrz, że nie zwracali uwagi na monotonne skandowanie dobiegające z odległego krańca równiny. Tymczasem gdzie indziej można było dostrzec oznaki niepokoju. Złowrogi pomruk sprawiał, że żołnierze czuli się coraz bardziej nieswojo.

Lustrując szeregi wojsk, Arald dostrzegł pewnego kapitana piechoty i jego oddział. Siedzący w trawie wojownicy mieli na sobie tylko lekkie zbroje i okryci byli kraciastymi pledami, co wskazywało nieomylnie, iż pochodzą z północy królestwa. Skinął na oficera, by ten zbliżył się do niego. Wojownik zasalutował służbiście, a baron pochylił się w siodle.

–Dzień dobry, kapitanie – odezwał się dobrodusznym tonem.

–Dzień dobry, wasza wysokość – odpowiedział oficer z tak silnym północnym akcentem, że jego słowa były niemal niezrozumiałe.

–Niech pan powie, kapitanie, macie tam może jakich dudziarzy pośród swoich ludzi? – spytał baron z uśmiechem. Kapitan odpowiedział natychmiast, stając na baczność:

–Tak jest, panie. Jest z nami McDuig oraz McForn. Zawsze bierzemy ze sobą dudziarzy, gdy wybieramy się na wojnę.

–Może wobec tego zdołałby pan namówić ich, żeby zagrali nam ze dwa kawalki? – zaproponował baron. – Byłby to znacznie przyjemniejszy odgłos od tego, co teraz słyszymy.

Wskazał ruchem głowy wojska wargalów. Oblicze kapitana rozjaśniło się szerokim uśmiechem.

–Tak jest, panie! – zawołał skwapliwie. – Już ja tego dopilnuję. Nie ma to jak dudy, żeby zagrząć krew

w żyłach! – zasalutował pospiesznie i ruszył biegiem w stronę swojego oddziału, krzycząc: – McDuig!

McForn! Łapcie się za dudy, i to już, chłopaki! Zagrajcie nam „Czapkę z piórami”!

Obaj baronowie ruszyli dalej, tymczasem za nimi najpierw rozległy się pierwsze jęki dud, a w następnej chwili zagrziała ogłuszająca muzyka.

Fergus skrzywił się nieznacznie, a Arald wyszczerzył się w uśmiechu.

–Nie ma to jak dudy, żeby zagrząć krew w żyłach – przypomniał.

–Jeśli chodzi o mnie, to ich dźwięk powoduje raczej zgrzytanie zębów – odparł jego towarzysz, pospieszając nieznacznie konia, by oddalić się prędzej od dzikiego odgłosu instrumentów. Jednak gdy spojrział na szeregi armii, musiał przyznać, że Arald wpadł na niezły pomysł. Dudy skutecznie

zagłuszały monotonne skandowanie wargalów, a gdy obaj muzykanci ruszyli wzdłuż linii wojsk, skutecznie odwrócili uwagę wszystkich znajdujących się w zasięgu odgłosu góralskich instrumentów od złowróżbnych pomruków dobiegających z oddali. – Zaiste, dobra to była myśl – rzekł do Aralda, a potem dodał: – Wciąż jednak nie jestem pewien, czy i to nią było – wskazał na równinę, gdzie wargalowie wciąż wylaniali się z wąwozu i zajmowali nowe pozycje. – Wszystko we mnie aż się burzy, bo wciąż jestem zdania, że powinniśmy natrzeć na nich nim zdołają uformować szyki.

Arald wzruszył ramionami. Przez ostatnich kilka dni sprawa ta była przedmiotem burzliwych dyskusji na Radzie Wojennej.

–Gdybyśmy uderzyli na nich przedwcześnie, tylko byśmy ich powstrzymali, a nie to jest naszym celem – rzekł raz jeszcze. – Jeśli chcemy unicestwić potęgę Morgaratha raz na zawsze, musimy mu pozwolić, by wyszedł z wszystkimi swoimi siłami na otwartą przestrzeń.

–I musimy mieć nadzieję, że Halt zdołał powstrzymać armię Hortha – uzupełnił Fergus. – Już dostałem paskudnego skurczu w szyi od nieustannego oglądania się przez ramię i sprawdzania, czy przypadkiem kogoś za nami nie ma.

–Halt jeszcze nigdy nas nie zawiódł – zauważył Arald. Fergus nie wyglądał na przekonanego.

–Wiem o tym. To niezwykle człowiek. Jednak tak wiele rzeczy mogło pójść nie po naszej myśli. Mógł rozminąć się z armią Hortha. Może wciąż jeszcze przedziera się przez Cierniowy

Las. Albo, co najgorsze, może Horth zdołał pokonać łuczników i jazdę.

–Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać – stwierdził Arald.

–I mieć oko na północny zachód w nadziei, że zza tamtych wzgórz nie wyłonią się bojowe topory oraz rogate helmy – dopowiedział znów Fergus.

–No właśnie, miejmy nadzieję, że się nie pojawią – skonkludował Arald, by zakończyć rozmowę na

nieprzyjemny temat. Jednak nie mógł się powstrzymać i odwrócił się, by spojrzeć ku wzgórzom na

północy.

Erak odczekał, aż ostatnich kilkuset wargalów ruszyło, by przejść przez Wąwóz Trzech Kroków i wyjść na równinę. Wcisnął się z całą swoją grupką pośród biegnące stwory. Gdy Skandianie wbili się w żywy strumień płynący przez wąską, krętą przełęcz, powitały ich wrogie powarkiwania, ale gdy w odpowiedzi skandyjscy wojownicy rzucili kilka siarczystych przekleństw i potrząsnęli groźnie toporami bojowymi o podwójnych ostrzach, nieprzychylni wargalowie wycofali się i zrobili im miejsce.

Evanlyn i Will znajdowali się pośrodku grupki, otoczeni rosłymi Skandianami. Charakterystyczny płaszcz Willa został schowany do jednego z tobołków, teraz on i Evanlyn mieli na sobie za duże kurty z owczej skóry, a jasne włosy Evanlyn ukryto pod wełnianą czapkę. Jak dotąd żaden z wargalów nie zwrócił na nich uwagi. Myśleli zapewne, iż są sługami lub niewolnikami wilków morskich.

–Tylko gęby na kłódkę i głowy opuszczone, patrzeć w ziemię! – rozkazał im Erak, gdy przeciskali się

pośród biegnących wargalów. Skały wznoszące się nad wąskim przejściem odbijały echem monotonne

skandowanie wojowników Morgaratha.

Plan Eraka polegał na tym, by natychmiast po wyjściu z wąwozu przemieścić się na wschód, udając, że mają zamiar zająć pozycję na prawym skrzydle armii. Następnie, gdy tylko nadarzy się okazja, Skandianie zamierzali odłączyć się i ukryć w gąszczu porastającym Mokradła, przebyć bagna i dotrzeć na wybrzeże, u którego stała na kotwicy flota Hortha.

Biegli więc wijącą się drogą, wciąż skręcając to w prawo, to w lewo. Przez ostatnich pięć kilometrów wąski trakt prowadził już pośród urwistych skał i Will zrozumiał teraz, dlaczego od zawsze dla obu

stron była to przeszkoda nie do przebycia. Wojownicy Morgaratha nie mogli przedostać się przez wąwóz, o ile Duncan nie wycofałby się, pozwalając im na to. Jednak, z tego samego powodu wojska królewskie także nie były w stanie przekroczyć przesmyku, by zaatakować Morgaratha na płaskowyżu.

Po obu stronach wznosiły się czarne ściany nagich, lśniących od wilgoci skał. Słońce dochodziło tu jedynie koło południa, i to na krócej niż godzinę dziennie. Przez większość czasu było tu ciemno, chłodno i wilgotno. Słabe światło sprawiało, że dwoje skandyjskich jeńców nie rzucało się w oczy.

Will poczuł, że kręta droga przestaje prowadzić w dół, a oznaczało to, że dotarli już do końcowego odcinka wąwozu i znaleźli się na poziomie równiny. Jednak przed sobą niczego nie

mógł dostrzec, bo widok zasłaniał mu biegnący. A potem jeszcze jeden zakręt i nagle do wąwozu na chwilę wdarły się promienie słońca, aż musiał przysłonić oczy dłonią. Zdał sobie sprawę, że oto docierają już do końca przesmyku. Poczul, że ktoś go popycha z lewej strony.

–Na prawo! – rozkazał Erak i czterej Skandianie utworzyli ludzki taran, przebijając się przez tłum, aż

znaleźli się na prawym skraju drogi. Odpychani wargalowie pochrząkiwali i warczeli wściekle, kilku z

nich przewróciło się na ziemię i zostało zdeptanych przez innych, nim zdolali wstać. Skandianie nie

pozostawali dłużni, ciskając pogroźkami i przekleństwami.

Gdy wynurzyli się z mroków wąwozu, światło słoneczne niemal uderzyło ich w twarze. Przez ułamek chwili Will i Evanlyn zawahali się, ale Erak natychmiast znów ich popchnął, tym bardziej zaniepokojony, że słyszał już znajomy głos, wydający rozkazy formującym szyki wargalom.

Był to Morgarath, który osobiście wydawał polecenia swym poddanym.

–Niech go czort! – mruknął Erak. – Liczyłem, że znajdować się będzie na czele swojej armii. Ruszać

się, wy dwoje!

Zmusił Willa i Evanlyn do nieco szybszego biegu. Will rzucił okiem za siebie. Ponad głowami wargalów ujrzał wysoką, kościstą sylwetkę władcy Deszczu i Nocy, teraz zakrytą całkowicie czarną kolczugą i płaszczem. Nadal dosiadał tego samego trupiobladego konia – i wykrzykiwał rozkazy do klębiącego się i skandującego tłumu wargalów.

Motłoch stopniowo ustawiał się w karne szeregi, które następnie zajmowały wyznaczone im pozycje, dołączając do głównych sił. W tej samej chwili, gdy Will się obejrzał, blade oblicze zwróciło się ku grupce biegnących Skandian. Morgarath spał ostrogami konia i ruszył w ich stronę, nie zważając na to, że tratuje po drodze swoich wargalów.

–Kapitanie Eraku! – zawołał, niezbyt głośno, ale jego syczący głos odcinał się wyraźnie od gardłowego skandowania bestii.

–Dalej, naprzód! – rozkazał im Erak półgłosem. – Ruszać się.

–Stać! – ta komenda padła już podniesionym głosem, a lodowata wściekłość pobrzmiwająca w nim natychmiast uciszyła i unieruchomiła wargalów. Skoro wszyscy wokół nich zatrzymali się w miejscu, Skandianie, choć niechętnie, również uczynili to samo. Erak odwrócił się twarzą w stronę Morgaratha.

Władca Deszczu i Nocy ruszył przez tłum, wargalowie odskakiwali na boki, aby zejść mu z drogi, ci, którzy nie zdążyli umknąć, padali, odepchnięci końską pierśią. Powoli, wciąż patrząc w oczy Erakowi, zsiadł z konia. Nawet wtedy górował wzrostem nad barczystym Skandianinem.

–A dokąd to dziś zmierzasz ze swymi ludźmi, kapitanie? – spytał jedwabistym tonem. Erak wskazał

ręką:

–Ja i moi ludzie będziemy walczyć na prawym skrzydle, tak jak było ustalone – odparł, starając się przemawiać tak swobodnym tonem, na jaki było go stać. – Ale, rzecz jasna, udam się, dokądkolwiek jego wysokość każe.

–Doprawdy? – głos Morgaratha ociekał wprost sarkazmem. – A więc doprawdy tak

uczynisz? Cóż za

niesłychana uprzejmość z twojej strony. Wszak... – urwał nagle, bo wzrok jego spoczął na dwóch

drobniejszych postaciach, które Skandianie bezskutecznie próbowali zasłonić sobą. – Kto to taki? –

spytał.

Erak machnął ręką.

–Celtowie – odparł lekceważąco. – Pojmaliśmy ich w Celtii i zamierzamy sprzedać Oberjarlowi Ragnakowi jako niewolników.

–Celtia należy do mnie, kapitanie. A więc niewolnicy z Celtii także. Nie będziesz ich sprzedawał swojemu barbarzyńskiemu królowi.

Na te słowa Skandianie otaczający Willa i Evanlyn poruszyli się gniewnie. Morgarath zwrócił ku nim spojrzenie zimnych oczu, a potem popatrzył znacząco w stronę tysięcy wargalów stojących za nim i wokół nich, z których każdy gotów był bez chwili wahania wykonać jakikolwiek jego rozkaz. Nietrudno było zrozumieć, co chce przez to powiedzieć.

Erak próbował jakoś wybrnąć z opresji.

–Umowa była taka, że walczymy o łupy, a niewolnicy to też łupy – stwierdził.

–Walczycie?! – wrzasnął wściekle Morgarath. – A kiedy to walczyliście, jeśli można spytać? Staliście tylko z opuszczonymi rękami i pozwoliliście zniszczyć mój most!

–Tam dowódcą był Chirath! – odpalił Erak. – Poddany waszej wysokości, o ile się nie mylę. On właśnie podjął decyzję, by nie wystawiać straży. Natomiast my próbowaliśmy ocalić most, podczas gdy Chirath krył się tchórzliwie za skałami!

Spojrzenie Morgaratha znów padło na Eraka, a głos mrocznego władcy odezwał się cicho, prawie niedosłyszalnie:

–Jakim prawem odzywasz się do mnie tym tonem, kapitanie Eraku? – syknął. –

Natychmiast wyrazisz

swą skruchę. A potem...

Przerwał w pół zdania. Wydawało się, że dostrzegł lub dosłyszał w jakiś nadnaturalny sposób coś, czego nikt inny nie zauważył. Rzeczywiście, choć wciąż bez mrugnięcia okiem wpatrywał się w Eraka, najwyraźniej wyczuł, że jakieś inne wydarzenia domagają się jego uwagi. Teraz jednak musiał zakończyć sprawę z Erakiem. Nagle czarne oczy spoczęły na postaci Willa. Białe, kościsty palec uniósł się, wskazując na gardło chłopaka.

–Co to jest?

Erak spojrział i zrozumiał, że wszystko przepadło.

Spod rozchełstanej koszuli Willa połyskiwała brązowa odznaka. Morgarath pchnął Eraka na bok i przypadł niczym atakujący wąż do chłopca, chwytając za łańcuszek wiszący na jego szyi.

Will cofnął się o krok, przerażony bezlitosną furią w tych martwych oczach i niezdrowym rumieńcem, który wykwit! nagle na trupiej twarzy. Usłyszał, że stojąca obok niego Evanlyn wstrzymuje oddech, podczas gdy Morgarath wpatrywał się w mały liść dębu z brązu leżący na jego dłoni.

–Zwiadowca! – krzyknął Morgarath. – To jest zwiadowca! Znak zwiadowcy!

–To tylko dzieciak – zaczął Erak, ale wskórał jedynie tyle, że gniew Morgaratha zwrócił

się przeciw niemu. Wierzch kościstej dłoni trzasnął Skandianina w policzek.

–To nie żaden dzieciak! To zwiadowca!

Pozostali trzej Skandianie postąpili do przodu z bronią gotową do uderzenia. Morgarath nawet nie musiał wydawać rozkazu. Popatrzył tylko na nich nienawistnymi oczyma, a w tej samej chwili dwudziestu wargalów otoczyło ich, wydając z siebie gardłowy, złowrogi pomruk, dzierżąc w lapskach maczugi i żelazne włócznie.

Erak ruchem ręki powstrzymał swoich ludzi. Na jego twarzy pojawił się czerwony ślad po uderzeniu Morgaratha.

–Wiedziałeś – wysyczał Morgarath. – Wiedziałeś. – Nagle zrozumiał i krzyknął: – To on! Mówiłeś o

strzałach z łuku. Moi wargalowie kryli się przed strzałami z łuku, podczas gdy most płonął! Łuk to

broń zwiadowcy. Ten nędznik zniszczył mój most! – głos jego wznosił się do przenikliwego krzyku.

Will poczuł suchość w gardle, słyszał oszalałe bicie swego serca. Nienawiść, jaką Morgarath żywił wobec zwiadowców, była wprost legendarna. Wiedzieli o niej wszyscy, a w szczególności sami zwiadowcy. Zaś jej przyczyną był nie kto inny jak Halt. Szesnaście lat wcześniej przeprowadził bowiem zaskakujący atak na tyły armii Morgaratha.

Erak stał przed rozwścieczonym czarnym władcą i nie odzywał się.

Will poczuł drobną, ciepłą dłoń ujmującą go za rękę: Evanlyn. Podziwiał odwagę tej dziewczyny, która w takiej chwili, wobec niepokromionego gniewu i nienawiści Morgaratha ośmieliła się dać mu widoczny znak swego współczucia.

A wtedy przez tłum przecisnął się koń z jeźdźcem. Wierzchowca dosiadał jeden z wargalskich zastępców Morgaratha, należący do tych, którzy opanowali podstawy ludzkiej mowy.

–O panie! – zawołał tym szczególnym, wypranym z uczucia tonem, jakim przemawiali wszyscy

wargalowie usiłujący mówić językiem ludzi. – Wróg naciera!

Morgarath odwrócił się ku niemu gwałtownie.

–Pierwsza linia zbliża się ku nam, panie. Bitwa się rozpoczyna!

Władca Deszczu i Nocy w jednej chwili podjął decyzję. Zwinnie wskoczył z powrotem na siodło, a spojrzenie jego wściekłych oczu wlepione było teraz w Willa, nie w Eraka.

–Później to dokończymy – oznajmił. Potem zaś nakazał wargalskiemu sierżantowi, znajdującemu się

pośród stworów otaczających Skandian: – Trzymać mi tych tutaj pod strażą, dopóki nie wrócę. Jeśli

umkną, zapłacicie życiem!

Wargal skłonił się, do piersi przykładając prawą pięść, a potem wycharczał niezrozumiałą komendę. Jego podwładni otoczyli szczelnie jeńców. Czterej jasnowłosi wojownicy zza morza stanęli wokół Willa i Evanlyn, twarzą do nieprzyjaciela. Trzymali broń w pogotowiu. Nie zamierzali poddać się bez walki.

–Załatwimy to później, Eraku – rzucił Morgarath. – Tylko spróbuj uciec, a moi wargalowie rozszarpią

cię na strzępy.

Spiął wierzchowca i odjechał galopem, znów roztrącając swych poddanych i tratując tych, którzy nie zdążyli uciec. Nim stracili go z oczu, usłyszeli jeszcze ten wysoki, nosowy głos, który wykrzykiwał żołnierzom rozkazy.

Rozdział 27

Początkowe starcie nie przyniosło rozstrzygającego rezultatu.

'Tierwsza linia wojsk królewskich złożona z lekkiej piechoty, której towarzyszyli łucznicy, podeszła pod lewą flankę Morgaratha, a następnie pospiesznie wycofała się, gdy na ich spotkanie wyruszył batalion ciężkozbrojnej piechoty wargalów.

Aralueńczycy powrócili na pozycje wyjściowe, bez trudu umykając przed powolnymi nieprzyjaciółmi. Następnie, gdy do lewego skrzydła wargalskiego batalionu zbliżyła się klusem ciężka jazda, bestie przeformowały złożoną z czwórek kolumnę marszową w wolniej poruszający się obronny kwadrat i także cofnęły się na poprzednie pozycje.

Przez następnych kilka godzin bitwa rozgrywała się właśnie według tego rytmu: niezbyt liczne formacje dokonywały działań zaczepnych wyłącznie po to, by wysondować obronę przeciwnika. Przeciwno nim wysyłano liczniejsze siły, co następnie powodowało zaniechanie pierwotnego ataku. Arald, Fergus i Tyler dosiadali swych wierzchowców u boku króla, zajmując szczyt niewielkiego wzgórza pośrodku stanowisk królewskiej armii. Głównodowodzący sir David wraz z grupą rycerzy kierował kolejnym pozorowanym atakiem na armię wargalów.

–Ta przepychanka zaczyna już mnie nużyć – stwierdził kwaśno Arald. Król uśmiechnął się do niego. On sam obdarzony był jedną z najważniejszych cech dobrego dowódcy, a mianowicie niemal niewyczerpaną cierpliwością.

–Morgarath czeka – odpowiedział. – Po prostu czeka, aż armia Hortha pojawi się na naszych tyłach. Wówczas zaatakuje, nie ma obawy.

–Lepiej sami się za niego weźmy – burknął Fergus, ale Duncan potrząsnął tylko głową, wskazując na równinę rozciągającą się przed pozycjami Morgaratha.

–Grunt jest podmokły i grząski – wyjaśnił. – Osłabiłoby to skuteczność naszej najlepszej broni, czyli ciężkiej jazdy. Poczekamy, aż Morgarath ruszy na nas. Wówczas będziemy mogli walczyć z nim na terenie, który bardziej nam odpowiada.

Z tyłu rozległ się tętent końskich kopyt, towarzysze monarchy odwrócili się, by ujrzeć gońca ze wszystkich sił ponaglającego swego konia do pośpiechu. U stóp wzgórza, na którym stali, jeździec ściągnął wodze i rozejrzał się, szukając króla, a potem znów spiał wierzchowca ostrogami, zmuszając go do wspięcia się po zboczu. Po zielonym płaszczu, lekkiej zbroi i mieczu o wąskiej głowni można się było zorientować, że to żołnierz oddziałów rozpoznania.

–Wasza wysokość – rzekł, zdyszany. – Raport od sir Vincenta.

Vincent był dowódcą korpusu obserwatorów, czyli grupy żołnierzy pełniących podczas bitwy rolę królewskich oczu i uszu, przekazujących raporty i rozkazy. Duncan skinął głową, dając w ten sposób mężczyźnie do zrozumienia, żeby przekazał wiadomość.

Jeździec nerwowo przełknął kilka razy ślinę i spojrzał niespokojnie na króla oraz jego trzech baronów. Arald od razu wiedział, że nie będą to dobre wieści.

–Panie... – rzekł niepewnym głosem. – Sir Vincent przekazuje wyrazy szacunku i... chyba za nami

pojawił się skandyjscy wojownicy.

Rozległo się kilka stłumionych okrzyków wydanych przez młodszych oficerów otaczających grupę dowodzenia. Fergus zmarszczył gniewnie czoło:

–Milczeć!

Głosy ucichły natychmiast. Na twarzach niektórych z adiutantów widać było, że wstydzą

się tego wybuchu, który był przecież dowodem braku dyscypliny.

–Gdzie dokładnie są ci Skandianie? I ilu ich jest? – spytał Duncan spokojnie. Jego opanowanie najwyraźniej dodało pewności siebie posłańcowi, bo tym razem wypowiedział się rzeczowo i bez nerwowego pośpiechu:

–Dostrzeżono pierwszą grupę w okolicach łańcucha niskich wzgórz ciągnących się na północnym zachodzie, wasza wysokość. Jak dotąd, było ich tylko około setki.

Sir Vincent proponuje, by wasza wysokość dokonała oglądu sytuacji z tamtego pagórka – wskazał wzgórze znajdujące się nieco z tyłu po ich lewej stronie. Król oznajmił jednemu z młodszych oficerów:

–Ranaldzie, może zechcesz udać się na pierwszą linię i powiadomić sir Davida o tym wydarzeniu. Powiedz mu także, że zmieniamy pozycję dowodzenia, bowiem przenosimy się na to wzgórze, o którym mówi posłaniec sir Vincenta.

–Tak jest, wasza wysokość! – odpowiedział młody rycerz i ruszył galopem. Wówczas król zwrócił się do swych doradców:

–Panowie, przyjrzyjmy się tym Skandianom.

Przysłaniając oczy dłonią przed promieniami słońca, baron Arald spoglądał ku grupie zbrojnych zmierzających grzbietem wzgórza. Nawet z tej odległości można było dostrzec rogate hełmy i wielkie okrągłe tarcze morskich wojowników. Część z nich zeszła już niżej, więc widać ich było znacznie lepiej.

Jak zwykle, Skandianie podążali szykiem uformowanym na kształt strzały. Teraz w zasięgu wzroku znajdowało się już kilkuset nieprzyjaciół, zaś o wiele więcej mogło kryć się po drugiej stronie łańcucha wzgórz. Arald poczuł przygniatający go ciężar dojmującego smutku. Skoro Skandianie znaleźli się aż tutaj, mogło to oznaczać tylko jedno: Halt poniósł klęskę. A znając go, baron wiedział, że najprawdopodobniej mrukliwy zwiadowca przyplącił ją życiem. Wiedział, że Halt nigdy by się nie poddał, a zwłaszcza nie wtedy, gdy powstrzymanie skandyjskiego uderzenia na tyły wojsk miało tak ogromne znaczenie.

Duncan wyraził na głos to, o czym wszyscy już wiedzieli.

–Rzeczywiście, to Skandianie – ogarnął spojrzeniem okolice wzgórza. – Panowie, czeka nas bitwa

obronna – mówił dalej. – Proponuję, byśmy zebrali naszych ludzi w krąg wokół tego wzgórza. Miejsce

równie dobre jak każde inne, by prowadzić walkę na dwie strony.

Wiedzieli też, że wkrótce do ataku ruszy Morgarath, aby zgnieść ich w kleszczach przygotowanej przez siebie pułapki.

–Jeździec! – zawołał jeden z adiutantów. Wszyscy zwrócili spojrzenia w stronę, którą wskazał. Z kępy drzew położonej na prawym krańcu łańcucha wzgórz wypadł pędzący na końskim grzbiecie samotny mężczyzna. Kilku Skandian rzuciło się w pogoń za nim, wymachując włóczniami i maczugami. Jednak jeździec, przytulony do końskiej grzywy, z szarozielonym płaszczem powiewającym za nim na wietrze, bez trudu pozostawił ich w tyle.

–To Gilan – mruknął półgłosem baron Arald, który rozpoznał gniadego konia. Na próżno wypatrywał drugiego zwiadowcy, którego wbrew nadziei spodziewał się ujrzeć za Gilanem, licząc, że może jakimś cudem Halt jednak przeżył. Ale niestety, wszystko wskazywało na to,

że Gilan jako jedyny pozostał przy życiu ze wszystkich wojowników, którzy w wyniku śmiałej decyzji ruszyli przez Cierniowy Las.

Gilan znajdował się już na równinie, wciąż pędząc jak wicher. Dojrzał królewskie sztandary powiewające na wzgórzu i skierował Blaze'a w ich stronę. Minęło jeszcze parę minut i oto ściągnął przed nimi wodze, pokryty kurzem. Jeden z rękawów jego tuniki był prawie oderwany, a głowę zwiadowcy owinięto byle jak zawiązanym okrwawionym bandażem.

–Słuchajcie! – zawołał, zdyszany, zapominając o formułach grzecznościowych, jakimi wypada

posłużyć się w obliczu królewskiego majestatu. – Halt mówi, że...

Nie zdołał powiedzieć nic więcej, bo przerwały mu co najmniej cztery głosy, ale słowa barona Fergusa okazały się najdonioślejsze:

–Halt? To on żyje? Gilan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–O tak, panie! Pewnie, że żyje.

–Ale ci Skandianie...? – zaczął król Duncan i urwał, wskazując zbliżających się ku nim pieszych. Gilan uśmiechnął się jeszcze szerzej.

–Pobici, wasza wysokość. Zaskoczyliśmy ich zupełnie i rozbiliśmy w puch. Ci ludzie to nasi łucznicy, którzy przywdziali helmy i niosą tarcze zdobyte na wrogu. To pomysł Halta...

–Po co ta maskarada? – spytał gniewnie Arald, więc Gilan odwrócił się w jego stronę, złożony przedtem przepraszący pokłon królowi.

–Aby wprowadzić w błąd Morgaratha, panie – wyjaśnił. – Spodziewa się ujrzeć Skandian atakujących nasze tyły, więc niech ich ujrzy. Właśnie dlatego udawali, że chcą mnie powstrzymać. Tymczasem nasza jazda kryje się tuż za tymi wzgórzami. Halt proponuje, żeby wojska królewskie w odpowiedzi na pozorowany atak jego łuczników zwróciły się frontem w tę stronę. A wówczas, jeśli szczęście nam dopisze, Morgarath natrze ze swymi wargalami. Wówczas łucznicy i trzon królewskiej armii rozstąpią się, by uczynić przejście środkiem dla ukrytej jazdy, która z pełnym impetem uderzy na Morgaratha znajdującego się w otwartym polu.

–Na Boga, świetna myśl! – zawołał Duncan. – Jak dobrze pójdzie, wzbijemy przy tym tyle kurzu i taki zamęt powstanie, że nie spostrzeże jazdy Halta, dopóki ta nie wsiądzie mu na kark.

–A wtedy, wasza wysokość, nasza ciężka jazda uderzy z obu skrzydeł na flanki wargalów – był to głos sir Davida, który zjawił się, niezauważony przez nikogo, podczas gdy Gilan wykladał plan Halta.

Król Duncan wahał się tylko przez chwilę czy dwie, szarpiąc krótką brodę, a potem skinął stanowczo głową.

–Tak uczynimy! – oznajmił. – Panowie, czas zająć stanowiska. Fergus i Arald obejmą komendę nad formacjami ciężkiej jazdy na prawym oraz lewym skrzydle. Czekać w pogotowiu. Tyler dowodzić będzie piechotą w centrum. Wszyscy nasi żołnierze muszą wiedzieć, że to atak pozorowany. Rozkaż im także, aby krzyczeli i bili mieczami w tarcze, gdy zbliżać się będzie ów rzekomy nieprzyjaciel. Skoro ma to wyglądać na bitwę, niech towarzyszą jej stosowne odgłosy. Rozstąpią się na trzykrotny sygnał rogu.

–Trzykrotny sygnał. Tak jest, wasza wysokość. – Tyler spiał ostrogami bojowego rumaka i pogalopował ku swym oddziałom. Duncan zwrócił się do pozostałych dowódców:

- Do dzieła, panowie. Nie mamy zbyt wiele czasu. Jeden z adiutantów zawołał:**
- Panie! Skandianie schodzą ku nam! A niemal natychmiast potem rozległ się okrzyk:**
- Wargalowie także ruszają! Duncan uśmiechnął się ponuro do swych dowódców.**
- Myślę, że czas sprawić Morgarathowi niespodziankę.**

Rozdział 28

Ze swej pozycji – pośrodku wojsk wargalów – Morgarath przyglądał się zamieszaniu, jakie powstało pośród królewskich wojsk. Jeźdźcy galopowali w tę i z powrotem, całe oddziały pieszych zawracały w miejscu. Przez równinę dobiegł go zgiełk wielu okrzyków rozlegających się naraz.

Morgarath uniósł się w strzemionach. Widział w oddali ruch na wzgórzach położonych na północ od królewskiej armii. Jacyś ludzie utworzyli szyk bojowy i zmierzały w jej stronę. Wyteżył wzrok, próbując dostrzec więcej. Stamtąd właśnie spodziewał się ataku Hortha, ale kurz, jaki wzbil się pośród całego tego zamętu, nie pozwalał dojrzeć szczegółów.

Choć przygniatającą większość sił Morgaratha stanowili wargalowie, których umysły i tym samym ciała poddane były niewolniczo jego woli, najbliższe otoczenie władcy Deszczu i Nocy stanowiła nieliczna grupa ludzi, którzy zachowali własną wolę i moc podejmowania samodzielnych decyzji. Przystali do niego renegaci, zbrodniarze i wyrzutki społeczne z całego kraju. Zło zawsze ciągnie do zła, toteż wokół Morgaratha skupili się bez wyjątku sami nikkzemni, zwyrodniali okrutnicy. Jednak wszyscy byli zarazem groźnymi wojownikami i bezwzględnymi zabójcami.

Jeden z nich zbliżył się właśnie do Morgaratha.

–Panie! – zawołał, a na jego twarzy malowała się radość. – Barbarzyńcy nacierają na tyły Duncana!

Rozpoczęli już atak!

Morgarath odpowiedział uśmiechem młodemu mężczyźnie, który sływał z bystrego wzroku.

–Jesteś pewien? – spytał wysokim, bezbarwnym głosem. Odziany na czarno młody mężczyzna nie miał żadnych wątpliwości:

–Dobrze widzę te ich śmieszne rogate helmy i okrągłe tarcze, wasza wysokość. Nikt inny takimi się nie posługuje.

Rzeczywiście, o ile niektóre formacje wojsk królestwa nosiły okrągłe tarcze, to nie sposób było pomylić z okrągłymi tarczami Skandian, wykonanymi z twardego drewna obitego stalą. Skandyjskie tarcze miały ponad metr średnicy i jedynie rośli mężczyźni o potężnych mięśniach wyrobionych przez lata wiosłowania na wilczych statkach byli w stanie dźwigać tak ciężkie tarcze podczas bitwy.

–Spójrz, panie! – zawołał znowu młodzieniec. – Wróg zwraca się ku nim!

I tak też właśnie się działo. Pierwsze szeregi stojącej naprzeciwko nich armii załamały się, zapanowało pośród nich zamieszanie, żołnierze odwracali się tyłem do armii Morgaratha. Zgiełk i okrzyki rozległy się jeszcze głośniejsze. Morgarath spojrział nieco na prawo i dojrzał niewysokie wzgórze, na którym powiewały królewskie sztandary, nieomylnie wskazując punkt dowodzenia. Nawet z tej odległości widać było, że pośród znajdujących się tam jeźdźców panuje ożywienie, ręce dosiadających koni wielmożów wskazywały w kierunku północnym...

Uśmiechnął się znów. Nawet bez udziału sił, które miały przekroczyć Rozpadlinę, jego plan się powiedzie. Wojska Duncana znalazły się między skandyjskim młotem a kowadłem jego własnych wargalów.

–Naprzód – rzekł cicho. A potem, jako że stojący opodal herold nie dosłyszał go, odwrócił się i z całej

sily uderzył go w twarz stalową szpicrutą. – Graj sygnał „naprzód” – powtórzył, nie głośniejszy niż

przedtem. Nie zważając na ból i krew zalewającą mu oczy, wargal uniósł róg i zadał weń, wydając cztery następujące po sobie coraz wyższe dźwięki.

Wzdłuż całej linii jego wojsk dowódcy poszczególnych kompanii wystąpili naprzód, przed szereg, i unieśli krzywe szable. Zaintonowali kadencję marszową, a wówczas cała armia, niczym bezmyślna machina, natychmiast podjęła ją, ruszając zarazem do przodu.

Morgarath odczekał, aż minie go kilka pierwszych szeregów, a potem wraz ze swymi przybocznymi również podążył naprzód.

Władca Deszczu i Nocy oddychał teraz nieco szybciej, jego puls także przyspieszył. To była chwila, na którą czekał od ponad piętnastu lat. Wysoko pośród smaganych wichrem i deszczem gór ćwiczył swych wargalów, aż stworzył z nich armię, której żadna piechota nie mogła dotrzymać pola. Byli niemal pozbawieni rozumu, więc również niemal niezdolni do odczuwania lęku. Mogli znieść straty, które zdruzgotałyby każde inne wojsko, a mimo to dalej walczyć.

Mieli tylko jedną słabość, a mianowicie nie byli w stanie powstrzymać ataku jazdy. W wysokich górach trudno było o konie, więc nie miał jak wytresować umysłów wargalów tak, by mogli stawić czoło także jeźdźcom. Wiedział więc, że za sprawą jazdy Duncana straci wielu swych żołnierzy, ale mało go to obchodziło. Gdyby to była zwykła bitwa, królewska jazda mogłaby zadecydować o zwycięstwie wroga. Jednak teraz, gdy z jednej strony miała do czynienia z wargalami, a z drugiej nacierali Skandianie, była po prostu zbyt nieliczna, by móc ich powstrzymać. Zapewne wielu, bardzo wielu wargalów zginie. Jednak ta armia mało go obchodziła, liczyły się tylko jego własne pragnienia i plany.

Tysiące stóp udeptujących w biegu ziemię wzbilo chmurę kurzu. Otoczył go monotony śpiew bestii, pierwotny rytm nienawiści i bezwzględności zła. Zaczął się śmiać. Najpierw cicho, potem śmiech stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej nieopanowany. Nadszedł jego wielki dzień. Oto ta chwila. Oto wypełnia się przeznaczenie.

Pan Nocy i Deszczu: bezlitosny, nikczemny do szpiku kości. A także z pewnością szalony. – Szybciej! – zawołał, dobywając wielkiego miecza i zataczając nim kręgi nad głową.

Wargalowie nie

musieli go słyszeć, by wykonać polecenie. Byli mu podporządkowani za pośrednictwem niewidzialnych lecz nierozzerwalnych więzów umysłu. Przyspieszyli więc marszu. Czarna armia

posuwała się do przodu coraz prędejszy i prędejszy.

Przed nimi panował całkowity zamęt. Wróg zwrócił się uprzednio ku nacierającym Skandianom, ale teraz zorientował się, że zagrożony jest także na swych tyłach, które jeszcze niedawno były frontem. Morgarath z dziką radością w mrocznym sercu pomyślał, że nieprzyjaciel już wie, iż znalazł się w pułapce bez wyjścia i nie wie, co czynić. A potem, nie wiedzieć czemu, rozległ się trzykrotny dźwięk rogu i wojska Duncana zaczęły uciekać na boki, tworząc wyłom w samym środku szyku. Morgarath wydał triumfalny okrzyk. W ten właśnie wyłom wprowadzi swą armię, rozdzielając bezpowrotnie prawe i lewe skrzydło nieprzyjaciela. Gdy zaś to nastąpi, królewska armia straci możliwość manewru, dowódcy przestaną nad nią panować, a wówczas będzie już prawie pokonana. Ogarnięty paniką nieprzyjaciel popełnił

śmiertelny błąd, dając jemu, Morgarathowi, szansę na zadanie morderczego ciosu w samo serce. Oto stała przed nim otworem droga do ich punktu dowodzenia, do najznamienitszych jeźdźców zgromadzonych pod sztandarem na wzgórzu!

–W prawo! – krzyknął Morgarath, wskazując mieczem sztandar Duncana, na którym widniał orzeł. I

znów wargalowie dosłyszeli jego słowa i myśli w swych umysłach. Armia zmieniła nieco kierunek

pospiesznego marszu, zmierzając prosto ku wyłomowi. A Morgarath pośród jej skandowania dosłyszał

jakiś głuchy, dudniący odgłos. Odgłos, którego nie oczekiwał. Końskie kopyta.

Nagle zwątpienie, jakie pojawiło się w jego myślach, udzieliło się natychmiast umysłom poddanych, którzy od razu zwolnili nieco biegu. Przeklinając wargalów, nakazał im, by wciąż parli przed siebie. Lecz tętent kopyt rozlegał się coraz głośniejsze i teraz dostrzegł już jakiś ruch pośród chmury kurzu

wzniesionej przez wrogą armię. Nagle ogarnął go obezwładniający lęk, a hordy wargalów znów zwolniły tempa.

Nim zdołał smagnąć ich myślą i zmusić do biegu przed siebie, zasłony pyłu jakby rozchyliły się i ujrzał klin szarżującej jazdy, odległy zaledwie o sto metrów od pierwszych szeregów jego wojsk.

Nie było już czasu, by uformować jakikolwiek szyk obronny stanowiący jedyną nadzieję dla piechoty wobec nacierającej kawalerii. Ciężkozbrojny klin wbił się bez trudu w tłuszczę wargali, rozbijając ich szyk i zmierzając w niepowstrzymanym pędzie ku samemu środkowi armii Morgaratha. Im dalej zaś się posuwał, tym szerszy czynił wyłom, bowiem nacierająca jazda rozbijała i rozdzielała wargalów tak właśnie, jak Morgarath zamierzał złamać szyk swojego wroga. Czarny wódz dosłyszał teraz w oddali pojedynczy sygnał rogu. Stanął w strzemionach, spojrzał na lewo, na prawo... i na obu skrzydłach armii Duncana ujrzał kolejne oddziały jazdy rozwijającej szyk, a potem nacierającej na jego skrzydła, miażdżącej wojska wargalów. Szybko zrozumiał, że wraz ze swą armią znalazł się w najgorszej sytuacji z możliwych, wystawiając ją w otwartym polu na bezpośredni atak jazdy Duncana.

Wargalowie stanęli wobec jedynej siły, która budziła lęk w ich sercach. Morgarath czuł już w falach ich tępych umysłów zwątpienie, zwiastun porażki. Próbował siłą woli zmusić ich do walki, lecz bariera lęku była zbyt silna. Krzycząc ze wściekłości, nakazał im odwrót. Zawrócił wierzchowca i wraz z przybocznymi ruszył galopem, torując sobie drogę pośród własnej armii za pomocą miecza.

U ujścia Wąwozu Trzech Kroków panował nieopisany chaos, bowiem tysiące uciekinierów naraz próbowało przedostać się do wąskiego przesmyku wiodącego pośród skał. Morgarath nie mógłby wtedy uciec, ale ucieczka stanowiła ostatnią rzecz, o jakiej myślał. Teraz jego jedynym pragnieniem była zemsta, chciał już tylko unicestwić ludzi, którzy przyczynili się do klęski jego przemyślnych planów. Tymczasem uformował pozostałych przy życiu wargalów w obronny półokrąg; stanęli plecami do nagich skał broniących wstępu na wysoki płaskowyż.

Choć szalał z gniewu i rozczarowania, jakaś część jego umysłu chłodno i spokojnie rozważała przyczyny odniesionej klęski. Skandyjski atak rozplynął się w powietrzu, jakby w ogóle do niego nie doszło. W następnej sekundzie pojął, iż w samej rzeczy żadnego natarcia

Skandian nie było. Schodzący ze wzgórza ludzie mieli na sobie skandyjskie hełmy i dzierżyli skandyjskie tarcze, lecz był to tylko fortel, który miał skłonić go do natarcia. Ale skoro mieli owe hełmy i tarcze, oznaczało to, że siły Hortha zostały pokonane. To by jednak musiało oznaczać, że ktoś zdołał przeprowadzić wojska przez nieprzenikniony gąszcz Lasu Cierniowego. Ktoś.

W głębi duszy Morgarath wiedział już kto. Bez wątpienia przyczyną jego porażki był zwiadowca. Wiedział, że tylko jeden zwiadowca mógł tego dokonać.

Halt.

W jego sercu wezbrała mroczna, gorzka nienawiść. Za sprawą Hal ta jego hołubione od piętnastu lat marzenie rozsypało się jak domek z kart. Z powodu Halta co najmniej połowa jego wargalów zginęła.

Przegrał bezpowrotnie i miał tego świadomość. Jednak musi zemścić się na Halcie. Właśnie zaczęło mu świtać, w jaki sposób. Skinął na jednego ze swych kapitanów.

–Przygotujcie białą flagę – rozkazał.

Rozdział 29

Główne siły królestwa posuwały się naprzód przez usiane zwłokami i porzuconym orężem pole bitwy. Druzgocący atak jazdy z trzech kierunków zapewnił jej zwycięstwo w ciągu zaledwie kilku minut.

Horace jechał w drugim szeregu grupy dowodzenia u boku sir Rodneya. Mistrz Sztuk Walki wybrał go na giermka i wyznaczył miejsce u swego lewego boku w uznaniu zasług, jakie chłopak położył dla

królestwa. Stanowiło to wyjątkowe wyróżnienie dla kogoś, kto pierwszy raz bierze udział w bitwie, lecz sir Rodney był przekonany, że chłopak w pełni na nie zasłużył.

Horace przyglądał się polu bitwy z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony czuł się nieco rozczarowany tym, że jak dotąd nie odegrał w niej żadnej roli. Z drugiej zaś – odczuwał głęboką ulgę. Rzeczywistość bowiem wyglądała całkiem inaczej niż jego chłopięce marzenia. Ogiś wyobrażał sobie bitwę jako ciąg starannie zaplanowanych i przemyślanych działań, kiedy to waleczni wojownicy dokonują bohaterskich czynów. Nie trzeba dodawać, że w wizjach tych on sam odgrywał jedną z najwspanialszych rycerskich ról.

Tymczasem dopiero co na własne oczy widział krwawy zamęt, w którym pośród krzyków, krwi i kłębow kurzu rąbano, sieczono, dźgano; ludzie, wargalowie i konie padali trupem, a teraz ich ciała spoczywały w pyłe równiny Uthal niczym ciśnięte byle jak szmaciane lalki. Chaos bitewny był okrutnym widowiskiem. Horace spojrział z ukosa na sir Rodneya. Z pewnością ten rycerz o surowym obliczu powiedziałby mu, że wojna zawsze tak wygląda.

Horace poczuł suchość w gardle. Z trudem przełknął ślinę. Nagle ogarnęły go wątpliwości. Zaczął się zastanawiać, czy gdyby rzeczywiście przyszło mu walczyć, nie sparaliżowałby go strach. Po raz pierwszy w życiu naprawdę uświadomił sobie, że w bitwach giną ludzie. I że on także mógł zginąć. Znowu nerwowo przełknął ślinę, ale dało to niewiele więcej niż poprzednim razem.

Morgarath i resztki jego armii zajęli obronne pozycje u stóp urwiska. Grunt był tu grząski, więc atak mogły tu przeprowadzić jedynie oddziały piechoty, by dokończyć rozpoczętego dzieła w krwawej i wyniszczającej walce wręcz.

W zwyczajnych warunkach każdy dowódca armii dawno już zdałby sobie sprawę z beznadziejności dalszej walki i poddałby się, aby oszczędzić swych pozostałych przy życiu żołnierzy. Jednak mieli do czynienia z Morgarathem i wiadomo było, że do żadnych rokowań nie dojdzie. Przygotowywali się więc na krwawą i pozbawioną sensu rzeź. Nie mieli innego wyboru. Z potęgą Morgaratha trzeba było rozprawić się ostatecznie i na dobre.

–Niemniej jednak – stwierdził Duncan, gdy pierwsze szeregi jego wojsk zatrzymały się kilkaset

metrów przed półokręgiem uformowanym przez wargalów – damy mu wpierw możliwość poddania się.

Już miał wydać rozkaz swemu trębaczowi, by ten zagrał sygnał wzywający do podjęcia rozmów, kiedy w przednich szeregach wargalskiej armii nastąpiło jakieś poruszenie.

–Wasza wysokość! – odezwał się nagle Gilan. – Chcą rokowań!

Królewscy dowódcy ku swemu zaskoczeniu ujrzeli pośród szeregów nieprzyjacielskich

białą flagę. Dzierżący ją pieszy wargal wyszedł przed szereg. W następnej chwili rozległ się dźwięk rogu, który odegrał pięć nut będących uniwersalnym sygnałem do rozpoczęcia rokowań. Zdumiony król Duncan zastanawiał się przez chwilę, a potem dał znak swojemu trębaczowi.

–Posłuchajmy, co ma nam do powiedzenia – powiedział. – Zagraj odpowiedź. Trębacz zwilżył wargi i uniósł róg do ust. Rozległy się te same dźwięki, lecz w odwrotnej kolejności.

–To z pewnością jakiś podstęp – stwierdził ponuro Halt. – Morgarath wyśle parlamentariusza, a tymczasem sam ucieknie. On...

Umilkł nagle, gdyż szereg bestii rozstał się znów i wyszła przed niego jakaś postać. Postać koścista i wysoka, okryta czarną zbroją, w czarnym helmie: bez wątpienia Morgarath we własnej osobie. Prawa dłoń Halta machinalnie sięgnęła do kolczanu i już w następnej chwili ciężka, zdolna przebić każdą zbroję strzała założona została na cięciwę.

Król Duncan dostrzegł ten ruch.

–Nie! – rzucił ostrym tonem. – Wyraziliśmy zgodę na rokowania. Jeśli to uczynisz, okryjesz mnie

hańbą. Chcesz sprawić, żebym złamał dane słowo? Nieważne, że to Morgarath.

Odpowiedź na sygnał wzywający do rokowań oznaczała gwarancję bezpieczeństwa dla parlamentariuszy. Halt wiedział o tym doskonale, lecz nie był wcale przekonany, iż te rycerskie zwyczaje należy stosować wobec Morgaratha, który z pewnością, gdy tylko nadarzy się okazja, nie będzie ich przestrzegał. Schował jednak posłusznie strzałę. Duncan porozumiał się wzrokiem z baronem Araldem, który zrozumiał w lot, że monarcha polecił mu w ten sposób sprawować nadzór nad poczynaniami Halta. Zwiadowca nieznacznie wzruszył ramionami. Gdyby jednak postanowił przebić swoją strzałą serce Morgaratha, ani baron Arald, ani nikt inny na świecie nie będzie dość szybki, by mu w tym przeszkodzić. Przypominająca sępa postać na białym koniu podążała z wolna w ich stronę; przodem szedł wargal niosący flagę. Przez szeregi królewskich wojsk przeszedł niski pomruk, bowiem większość żołnierzy po raz pierwszy ujrzała na własne oczy człowieka, który od piętnastu lat stanowił nieustanne zagrożenie dla Araluenu Morgarath zatrzymał się trzydzieści metrów przed pierwszym szeregiem armii. Widział wyraźnie grupę wielmożów zgromadzonych wokół króla. Zmrużył oczy na widok niepozornej postaci owiniętej szarym płaszczem i dosiadającej małego, kudłatego konika.

–Duncanie! – zawołał, jego głos niósł się daleko w ciszy, która nagle zapadła. – Domagam się swych praw!

–Nie masz żadnych praw – odparł król. – Jesteś buntownikiem, zdrajcą i mordercą. Poddaj się, a oszczędzimy twych żołnierzy. Tylko takie prawo ci przyznamy.

–Domagam się mego prawa, jakim jest sąd przez walkę! – odkrzyknął Morgarath, nie zważając na słowa władcy, po czym dodał wzgardliwym tonem: – A może zbyt tchórzliwy jesteś, by podjąć to wyzwanie? Pozwolisz raczej, by zginęły tysiące twoich ludzi, za których plecami się kryjesz? Czy może jednak zgodzisz się, by los rozstrzygnął nasz spór?

Przez chwilę król Duncan nie wiedział, co czynić. Morgarath czekał, uśmiechając się nieznacznie do siebie. Łatwo było zgadnąć, jakie myśli pojawiły się w królewskiej głowie: oto sam podsunął władcy rozwiązanie, dzięki któremu Duncan miał możliwość ocalenia życia wielu, bardzo wielu ze swych poddanych.

Arald zbliżył się do króla i rzekł gniewnie:

–Jako zdrajcy nie przysługują mu rycerskie przywileje. Zasluguje tylko na sznur i hak, nic więcej!

Wokół rozległ się pomruk aprobaty.

–A jednak... – odezwał się Halt półgłosem, wszyscy spojrzeli w jego stronę. – To mogłoby być rozwiązanie problemu, przed którym stoimy. Wargalowie podporządkowani są woli Morgaratha za pośrednictwem swych umysłów. Otóż teraz, gdy nie możemy posłużyć się jazdą, będą walczyć dopóty, dopóki nakazywać im tego będzie jego wola. Zginą setki, a może i tysiące naszych ludzi. Natomiast gdyby Morgarath padł w pojedynku...

–Wargalowie utracą siłę, która nimi kieruje – wtrącił Tyler, kończąc jego myśl. – Być może w ogóle przestaną walczyć..

Duncan zmarszczył brwi.

–Tego nie wiemy z całą pewnością... – zaczął. Sir David z Caraway przerwał mu:

–Zapewne, wasza wysokość. Lecz spróbować warto. Zdaje mi się, że Morgarath tym razem przechytrzył sam siebie. Wie, że trudno nam będzie się oprzeć szansie zakończenia całej sprawy

pojedynkiem. Postawił dziś wszystko na jedną kartę i przegrał. Teraz pragnie już tylko dokonać zemsty – zabijając waszą wysokość.

–I cóż dalej? – spytał Duncan.

–Jako królewski Mistrz Sztuk Walki mam prawo przyjąć każde wyzwanie rzucone mojemu władcy, wasza wysokość.

Słowa te przyjęte zostały z uznaniem przez królewskich doradców. Morgarath był niebezpiecznym przeciwnikiem, ale sir David był bodaj najprzedniejszym rycerzem królestwa i zwyciężał we wszystkich turniejach. Podobnie jak jego syn doskonalił się w sztuce fechtunku u samego legendarnego MacNeila, a triumfy odniesione w niezliczonych pojedynkach okryły go sławą.

–Morgarath chce wykorzystać rycerskie zasady, aby cię zabić – mówił dalej z zapalem. – Najwidoczniej umknął jego uwadze fakt, że jako monarcha, masz prawo wyznaczyć swojego zastępcę,

panie. A więc przyznaj mu prawo do rzucenia rękawicy... A ja podejmę wyzwanie.

Duncan popatrzył po twarzach swych doradców. Dostrzegł w nich, że choć niechętnie, przyznają jednak rację słowom sir Davida. Podjął decyzję:

–Niech i tak będzie – rzekł. – Przyznam mu prawo do wyzwania. Lecz nikomu, nikomu nie wolno na

nie odpowiedzieć. Przemówię tylko ja. Czy to jasne?

Doradcy przytaknęli w milczeniu. Duncan uniósł się w strzemionach i zawołał ku złowieszczej czarnej postaci:

–Oto nasza odpowiedź: choć w naszym mniemaniu straciłeś wszystkie rycerskie prawa, wyrażamy

zgoda. Pozwalamy ci rzucić wyzwanie i jak sam rzekłeś, niech los rozstrzygnie.

Teraz Morgarath pozwolił, by uśmiech wypełził na jego twarz, nie próbował już skrywać satysfakcji. Raz wyrażona zgoda na rozstrzygnięcie bitwy przez pojedynek była świętym zobowiązaniem, którego król nigdy nie ośmieliłby się złamać. Poczul, jak w jego piersi wzbiera

tryumf, a potem nadeszła fala zimnej nienawiści, gdy spojrzal na niepozorną postać stojącą za królem.

–Tedy zgodnie z prawem, wobec Boga i wszystkich tu obecnych – mówił powoli, pilnując się, by

wypowiedzieć słowo w słowo prastarą formułę wyzwania – oddaję się pod sąd, by dowieść, iż sprawa

moja jest słuszną i sprawiedliwą... – nie mógł powstrzymać się przed zawieszeniem głosu, by

rozkoszować się tą chwilą odrobinę dłużej. – Wyzywam tedy na śmierć i życie...
zwiadowcę Halta!

Zapadło zdumione milczenie. Tylko Halt spał piętami Abelarda, by wyjechać przed szereg, jakby wyzwanie to wcale go nie zaskoczyło. Jednak Duncan powstrzymał go okrzykiem:

–Nie! Oczy monarchy lśniły od gniewu.

–Spróbuję szczęścia, mój panie – rzekł zwiadowca ponuro. Jednak Duncan wyciągnął ramię, powstrzymując go.

–Halt nie jest rycerzem. Nie możesz więc go wyzwąć – zawołał. Morgarath zaśmiał się.

–Duncanie, zgodnie z prawem mogę wyzwąć każdego. I każdy mnie może wyzwąć. Jako rycerz nie muszę przyjąć każdego wyzwania, chyba że rzuci mi je inny rycerz. Nie muszę, ale mogę. I wolno mi wybrać, kogo zechcę wyzwąć.

–Zabraniam Haltowi przyjąć to wyzwanie! – rzucił gniewnie Duncan.

Morgarath znów się zaśmiał.

–A więc wciąż będziesz skradać się i pelzać, i kryć, zwiadowco? – wysyczał. – Jak wszyscy
tobie

podobni. Czy wspominałem już może, że pewien smarkaty zwiadowca jest naszym więźniem? –

wiedział dobrze, iż wszystkich członków korpusu zwiadowców łączą szczególne więzy, toteż miał

nadzieję wprawić tą wiadomością Halta w gniew. – Jest taki mały, że o mało go nie puściliśmy wolno.

Postanowiłem jednak zachować go sobie i trochę potorturować. Przynajmniej będzie o
jednego

tchórzliwego, podstępnego szpiega mniej.

Haltowi krew odpłynęła z twarzy. Morgarath mógł mieć na myśli tylko jednego z młodych zwiadowców. Mimo królewskiego zakazu wyjechał przed szereg.

–Masz Willa? – spytał.

Morgarath triumfował. Rzeczywistość przerosła wszelkie jego nadzieje! Najwyraźniej ten mały zwiadowca był Hakowi bliski. Nagle olśniło go i aż zapało mu dech z radości: czyżby ten mały był uczniem samego Halta? Teraz był już pewien, że tak właśnie jest.

–Owszem, mamy go – odpowiedział. – Ale nie będziemy go przechowywać zbyt długo.

W przyływie gniewu i nienawiści do tej sępiej postaci, Halt ruszył naprzód. Wyciągnęły się ręce, by go powstrzymać, lecz on zmierzał już wprost ku Morgarathowi.

–W takim razie...

–Halt! Rozkazuję ci, milcz! – krzyknął Duncan, zagłuszając go.

Lecz wtedy oczy wszystkich skierowały się ku miejscu, gdzie w drugim szeregu zapanowało nagle poruszenie. Zaraz potem klusem w stronę Morgaratha ruszył jakiś jeździec. Władca Deszczu i Nocy sięgnął po miecz, ale w następnej chwili pojął, że tamten nie dobił broni. Zamiast tego trzymał w prawej ręce rękawicę, którą cisnął prosto w kościste oblicze Morgaratha.

–Morgarath! – odezwał się głos młodzieńca, właściwie jeszcze chłopca. – Wyzywam cię na pojedynek!

A potem, zatrzymawszy konia kilka kroków dalej i zawróciwszy go, Horace czekał na odpowiedź Morgaratha.

Rozdział 30

Will i Evanlyn nie mieli pojęcia, co sprawiło, że nagle wargalowie otaczający ich grupkę jakby zawahali się i stracili animusz. A stało się to właśnie w chwili, gdy Morgarath uświadomił sobie, że dał się wywieść w pole – i to dosłownie, prosto pod kopyta aralueńskiej jazdy. Nagły przestrich, który opanował wtedy jego umysł, udzielił się natychmiast podporządkowanym temu umysłowi niewolnikom. Will i Evanlyn oraz czterej Skandianie zauważyli od razu tę dziwną zmianę, jaka zaszła w zachowaniu dwudziestki wargalów, których pozostawiono, by pełnili przy nich straż. Erak rzucił swym ludziom szybkie spojrzenie, wyczuwając zbliżającą się szansę. Jak dotąd nie zostali rozbrojeni. Jednak czterech na dwudziestu to było za wiele nawet dla walecznych Skandian.

–Coś się dzieje – rzucił przez zęby skandyjski jarl. – Bądźcie gotowi.

Niepostrzeżenie wszyscy czterej unieśli nieco broń i zacisnęli dłonie na drzewcach toporów, gotowi posłużyć się nimi w każdej chwili. Zaraz potem niepewność wargalów przerodziła się w prawdziwy, wyraźnie dostrzegalny strach. Morgarath dał właśnie rozkaz do powszechnego odwrotu, toteż potwory znajdujące się na tyłach odniosły to polecenie także do siebie. Ponad połowa z nich po prostu uciekła. Jednak sierżant, który zachował do pewnego stopnia zdolność samodzielnego myślenia, warknął ostro na swoich podkomendnych – ośmiu z nich pozostało na swych miejscach. Ci, co uciekli, przepychali się już i przedzierali pośród tłumu zagradzającego ujście Wąwozu Trzech Kroków. Jednak i ci, którzy pozostali, najwidoczniej czuli się nieswojo. Erak uznał, że lepsza okazja już się nie trafi.

–Teraz, chłopaki! – wrzasnął i zataczając niski poziomy luk podwójnym ostrzem swego topora,

zaatakował sierżanta. Wargal próbował zasłonić się żelazną włócznią, lecz spóźnił się.

Ciężki topór

przebił zbroję i powalił go w jednej chwili.

Erak rozejrzał się za następnym przeciwnikiem, a jego ludzie już rozprawiali się z pozostałymi wargalami. Akurat wtedy Morgarath wydał kolejny rozkaz swoim poddanym – by wycofawszy się, przyjęli pozycje obronne. Sprzeczne polecenia namieszały im w głowach, co ułatwiło Skandianom krwawą robotę. Po kilku chwilach wszyscy strażnicy leżeli już martwi na ziemi. Inni wargalowie, spieszący ku wąwozowi, nawet nie zwrócili uwagi na rozgrywającą się potyczkę. Erak rozejrzał się dookoła nie bez satysfakcji, ocierając z krwi ostrze topora skrawkiem szaty jednego z zabitych potworów.

–Od razu lepiej – stwierdził, zadowolony. – Czekałem na tę chwilę już od wielu dni.

Jednak to starcie z wargalami nie obyło się bez strat. W następnej chwili Nordel zachwiał się i z wolna opadł na jedno kolano. Z kącika ust płynęła mu strużka krwi; wpatrywał się w dowódcę. Erak przypadł do niego i uklęknął, próbując go podtrzymać. – Gdzie jesteś ranny? – zawołał. Ale Nordel nie był w stanie mówić. Przyciskał obie dłonie do prawego boku, gdzie barania skóra nasiąkła już krwią. Ciężki miecz, jego ulubiona broń, wypadł mu z ręki. Próbował go pochwycić, ale nie był w stanie. Horak pochylił się szybko, podniósł broń i wcisnął rękojeść miecza do jego dłoni. Nordel skinął głową w podziękowaniu, a następnie opadł powoli do pozycji siedzącej. O dziwo, w jego oczach nie było już lęku. Will wiedział, że wedle skandyjskich wierzeń mężczyzna winien umrzeć z bronią w ręku. W przeciwnym razie jego dusza musiałaby błąkać się w jejposzukiwaniu przez całą wieczność. Teraz, gdy znów mocno dźwignął swój

miecz w dłoni, Nordel nie bał się już śmierci. Z trudem dał im znak, by szli dalej bez niego.

–Idźcie! – zdołał wreszcie wykrztusić. – Już... po mnie... Idźcie do okrętów. Erak dotknął jego ramienia, żegnając w ten sposób przyjaciela i podniósł się z klęczek.

–Racja – stwierdził. – Dla niego nic już nie możemy zrobić.

Pozostali dwaj Skandianie zgodzili się z nim, a Erak pochwycił najpierw Willa, a potem Evanlyn i pchnął ich przed siebie.

–Ruszać się, wy dwoje – rozkazał szorstkim głosem.

–Chyba że chcecie zaczekać, aż Morgarath tu wróci. Po czym w piątkę zaczęli przedzierać się przez bezładny tłum wargalów, którzy zmierzali w przeciwnym kierunku.

Morgarath boleśnie odczuł uderzenie ciężkiej skórzanej rękawicy. Rozwścieczony, odwrócił się

gwałtownie, by przyjrzeć się śmiałkowi, który pokrzyżował jego plany. Jednak w następnej chwili blady uśmiech znów powrócił na jego oblicze. Ów śmiełek był tylko chłopcem. Owszem, wysokim i muskularnym. Jednak po twarzy, którą ujrzał pod zwykłym stożkowym szyszakiem poznał, że mlókos nie może mieć więcej niż szesnaście lat. Nim osłupiali doradcy królewscy zdołali cokolwiek powiedzieć, oznajmił:

–Przyjmuję wyzwanie! Zdążył to powiedzieć na moment przed gniewnym okrzykiem Duncana:

–Nie! Zabraniam! – jednak król zdał sobie sprawę, że jest już za późno, więc zwrócił się do Morgaratha:

–Na miłość boską, przecież to tylko chłopiec. Sam widzisz. Nie możesz przyjąć jego wyzwania!

–Przeciwnie – odparł Morgarath – jak już przed chwilą wspomniałem, mam takie prawo. A wszyscy wiemy, że gdy wyzwanie zostało rzucone i przyjęte, nie ma już odwrotu.

Niestety miał słuszość. Tak właśnie głosiły surowe reguły rycerskiego kodeksu, a wszyscy rycerze z otoczenia Duncana i sam król uroczyście przysięgli ich przestrzegać. Morgarath uśmiechnął się teraz do chłopaka. Szybko się z nim upora. A jego rychła śmierć wprawi Halta w jeszcze większy gniew.

Tymczasem zwiadowca spoglądał na władcę Deszczu i Nocy przez przymrużone powieki.

–Morgarath... już jesteś trupem – rzekł półgłosem.

Poczuł silną dłoń na ramieniu. Odwrócił się, by napotkać groźne spojrzenie sir Davida. Mistrz Sztuk Walki trzymał w dłoni dobyty miecz, którego lśniąca klingę oparł o ramię.

–Chłopak musi walczyć – oznajmił.

–Musi? Przecież nie ma żadnych szans! – oburzył się Halt. Sir David również zdawał sobie z tego sprawę.

–Niestety – przyznał ze smutkiem. – Ale nie wolno ci wtrącać się do tej walki.

Powstrzymam cię, jeśli dasz mi najmniejszy powód do podejrzeń, że chcesz im przeszkodzić. Nie zmuszaj mnie do tego. Zbyt dawna łączy nas przyjaźń!

Wytrzymał wściekle spojrzenie Halta przez kilka chwil. Wreszcie zwiadowca dał za wygraną. Wiedział, że rycerz nie żartuje, a zasady kodeksu honorowego są dla niego świętością. Scena ta nie uszła uwagi Morgaratha. Teraz był już pewien, że gdy upora się z

chłopcem, Halt przyjmie jego wyzwanie, nie dbając o królewskie zakazy. A wówczas, wreszcie, Morgarath zazna satysfakcji, jaką sprawi mu uśmiercenie od dawna znienawidzonego wroga. Co więcej, zgodnie z nakazami rycerskiego honoru nieprzyjaciele będą musieli puścić go wolno. Zwrócił się teraz do Horace'a:

–Jaką broń wybierasz, chłopczyku? – spytał wzgardliwie. – Jak będziemy walczyć?

Horace był blady jak płótno i niemal sparaliżowany ze strachu. Przez chwilę głos ugrzął mu w gardle. Nie miał pojęcia, co go napadło, kiedy wyrwał się przed szereg i rzucił to wyzwanie. Z pewnością nie była to przemyślana decyzja. Po prostu opanował go gniew tak przemożny, że nie wiedział, co robi; spiął wierzchowca i cisnął rękawicę w twarz Morgaratha. Przypomnił jednak sobie zaraz, co Morgarath mówił o Willu i jak on sam musiał porzucić przyjaciela przy moście, a to dodało mu sił, by przemówić:

–Tak jak jesteśmy – odparł krótko.

Obaj uzbrojeni byli w miecze. Ponadto u siodła Morgaratha zwisiała długa, trójkątna tarcza, a Horace miał przytroczony do pleców okrągły puklerz. Tyle że miecz Morgaratha był dwuręczny i prawie o stopę dłuższy niż zwykły miecz kawaleryjski Horace'a.

Morgarath raz jeszcze zwrócił się do króla Duncana.

–Młokos chce, byśmy walczyli tak, jak jesteśmy. Spodziewam się, że dopilnujesz, królu, by nikt z osób trzecich nie złamał świętych reguł pojedynku?

–Nikt nie przeszkodzi wam w walce – zapewnił go Duncan grobowym tonem. W istocie, tak głosił kodeks honorowy.

Morgarath skłonił się kpiąco przed władcą.

–Oby tylko śmiercionośny zwiadowca Halt zdołał to pojąć – perorował dalej, zamierzając wprawić

Halta w jak największą złość. – Wiem, że pogardza rycerskimi zasadami honoru.

–Nie próbuj udawać – rzekł zimno Duncan – że twoje poczynania mają z nimi cokolwiek wspólnego.

Proszę cię raz jeszcze, oszczędź chłopca.

Morgarath udał wielkie zdumienie:

–Oszczędzić go? Przecież to istny drań, zwłaszcza jak na swój wiek. Kto wie, może raczej jego należałoby prosić, żeby zechciał oszczędzić moją skromną osobę?

–Morgarath, skoro chcesz być mordercą, twój wybór. Ale daruj sobie te kpiny! Morgarath złożył kolejny szyderczy pokłon, a potem rzucił niedbale przez ramię do Horace'a:

–Jesteś gotów, chłopcze? Horace przelknął ślinę i skinął głową.

–Tak – odpowiedział.

Gilan jako pierwszy spostrzegł ruch Morgaratha i wydał ostrzegawczy okrzyk – bowiem ogromny miecz wysunął się z pochwy z niewiarygodną prędkością i Morgarath tym samym ruchem zadał nim potężny cios wymierzony w chłopca, uderzając do tyłu przez prawe ramię. Horace jednak zdołał uchylić się na bok, a mordercze ostrze świsnęło kilka cali nad jego głową.

W następnej chwili Morgarath wbił ostrogi w boki swego trupio białego wierzchowca i odjechał galopem, sięgając po tarczę i mocując ją na lewym ramieniu. Horace, wyprostowując się, dosłyszał jego upiorny śmiech.

–A więc zaczynamy! – zawołał czarny władca. Horace zdał sobie sprawę, że walczy o życie.

Rozdział 31

Morgarath zatoczył koniem szeroki krąg. Horace wiedział, że przeciwnik lada chwila ruszy na niego, wykorzystując impet szarży i ciężar swojego miecza, by próbować wysadzić go z siodła. Kierując swego wierzchowca kolanami, ruszył w przeciwnym kierunku, zsuwając puklerz z pleców, a następnie przekładając lewe ramię przez jego rzemienie. Spojrzał za siebie. Dojrzał Morgaratha, który w odległości jakichś osiemdziesięciu metrów zawrócił właśnie i nabierał rozpędu, rozpoczynając natarcie. Horace uderzył piętami w boki swojego konia. Łomoczące kopyta obu wierzchowców to współgrały ze sobą, to znów rozbrzmiewały odrębnym rytmem, by zaraz na nowo złąć się w jeden loskot. Wiedząc, że jego przeciwnik dysponuje przewagą zasięgu, Horace postanowił pozwolić zadać mu pierwsze uderzenie, a potem spróbować kontrataku, gdy będzie go mijał. Teraz Morgarath był już całkiem blisko... i nagle uniósł się w strzemionach, by zadać z góry druzgocący cios. Horace wznosił tarczę nad siebie.

Uderzenie było tak miażdżące, a jego siłę spotęgował jeszcze wzrost Morgaratha oraz koński pęd, przy czym zbuntowany wielmoża z istic szatańską precyzją zgrał ze sobą te dwie siły. Horace aż ugiął się pod mocą ciosu tak potężnego, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie musiał znieść. Przyglądający się temu rycerze Duncana jęknęli głucho, widząc, że Horace omal nie wypadł z siodła już podczas pierwszego starcia.

Nawet nie miał co marzyć o zadaniu przeciwuuderzenia. Ledwo zdołał utrzymać się na końskim grzbiecie, gdy jego wierzchowiec odskoczył na bok, unikając uderzenia tylnych kopyt konia Morgaratha, wytresowanego do takich walk.

Lewe ramię Horace'a, na którym miał umocowaną tarczę, zdrętwiało całkowicie od strasznego ciosu. Potrzęsał nim, odjeżdżając, i zataczał niewielkie kręgi, aby odzyskać czucie. Dopiero po chwili poczuł tępy ból, który objął całą kończynę. Teraz dopiero ogarnął go prawdziwy strach. Nie znalazł żadnego sposobu, by przeciwstawić się miażdżącym uderzeniom miecza Morgaratha. Umysłowił

sobie, że całe jego szkolenie, wszystkie ćwiczenia i praktyki nie znaczą nic wobec wieloletniego doświadczenia Morgaratha.

Zawrócił i znów ruszył przed siebie. Za pierwszym spotkaniem starli się tarczą w tarczę. Teraz przeciwnik skierował konia tak, by przejechać po jego prawej stronie, a więc następne mordercze uderzenie będzie musiał sparować swym mieczem. Czuł suchość w ustach, gdy galopował przed siebie i rozpaczliwie usiłował przypomnieć sobie wszystko, czego nauczył się od Gilana.

Jednak Gilan nie przygotował go na atak o takiej sile. Horace zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu ryzykować, że tym razem lekki chwyt i napięcie mięśni dopiero w ostatniej chwili na nic się nie przydadzą. Jego knykcie zbieleły, gdy zacisnął dłoń na rękojeści, a potem nagle Morgarath był już przy nim i potężny dwuręczny miecz spadał na jego głowę. Horace w samą porę uniósł klingę swojego oręża i odbił cios.

Potężny trzask i zgrzyt stali o stal sprawiły, że przyglądający się znów wydali okrzyk. I znów Horace zachwiał się w siodle. Tym razem zdrętwiało mu prawe ramię – od palców aż po łokieć. Wiedział, że będzie musiał w jakiś sposób przełamać tę serię druzgocących ciosów. Nie miał jednak pojęcia, jak tego dokonać.

Usłyszał, że łomot końskich kopyt zmienił swój rytm niedaleko za nim i obróciwszy się, zrozumiał, że tym razem Morgarath nie odjechał na większą odległość, by nabrać impetu do

następnej szarży. Przeciwnie, niemal natychmiast przystąpił do kolejnego ataku, stawiając tym razem nie na maksymalną siłę impetu, lecz na to, by nie dać przeciwnikowi ani chwili wytchnienia. Dwuręczny miecz znów świsnął w powietrzu.

Horace ściągnął wodze, jego koń stanął dęba i obrócił się w miejscu na zadnich nogach. Chłopak przyjął kolejne uderzenie Morgaratha znów na swoją tarczę. Tym razem nie było ono równie silne, choć wystarczająco potężne. Chłopak w odpowiedzi zadał czarnemu władcy dwa błyskawiczne ciosy. Krótszy, a więc i lżejszy miecz Horace'a był szybszy od dwuręcznego miecza wroga. Lecz prawe ramię młodzieńca wciąż nie odzyskało pełnej sprawności, tak więc uderzeniu brakowało prawdziwej siły. Morgarath bez trudu, niemal wzdorliwie odbił je swoją tarczą, a potem wykonał następne cięcie, tym razem z góry, znów stając w strzemionach.

Jeszcze raz Horace przyjął je na puklerz. Stalowa blacha wygięła się niemal w pół od dwóch poprzednich ciosów i Horace zdał sobie sprawę, że jeszcze trochę, a nie będzie już z niej żadnego pożytku. Spiał konia ostrogami, by oddalić się od Morgaratha, z trudem odzyskując równowagę.

Dyszał ciężko, pot zalewał mu twarz. Wiedział, że zgrzał się nie tylko z wysiłku, ale i ze strachu. Potrząsnął desperacko głową, by strzepnąć krople potu zalewające mu oczy. Morgarath znów nacierał. Horace w ostatniej chwili zmienił kierunek galopu, ściągając głowę swego wierzchowca na lewo i przecinając drogę szarżującemu Morgarathowi, by uniknąć kolejnego ciosu wielkiego miecza. Morgarath zorientował się jednak i uderzył w bok, trafiając ostrzem swej klingi w jego tarczę.

Głownia ogromnego miecza wbiła się w stal i ugrzęzła. Korzystając z tego, Horace stanął w strzemionach i ciął z góry. Czarna tarcza uniosła się o ułamek sekundy zbyt późno i cios Horace'a odbił się od helmu Morgaratha. Zdołał uderzyć naprawdę mocno i jego ramię odczuło to dotkliwie, lecz tym razem miał przynajmniej tę satysfakcję, że dosięgnął przeciwnika. Ciął znowu, podczas gdy Morgarath szarpał się wściekle, by uwolnić swój miecz.

To drugie uderzenie Morgarath zdążył już przyjąć na tarczę, ale było ono jeszcze silniejsze od poprzedniego, toteż władca Deszczu i Nocy stęknął glucho i zachwiał się w siodle. Jego tarcza opadła nieco.

W następnej chwili ostrze Horace'a dało nura w lukę, która otwarła się, odsłaniając tułów przeciwnika. Chłopak pchnął Morgaratha w bok. Przez krótką chwilę obserwujący to starcie widzowie poczuli ulotny przyływ nadziei. Jednak czarna zbroja wytrzymała. Zadane z niekorzystnej pozycji pchnięcie

okazało się zbyt słabe. Morgarath odczuł je jednak, pod wgiętą blachą chrupnęło złamane zebro. Zaklął głośno z bólu i raz jeszcze szarpnął swym orężem.

Niestety! Dwuręczny miecz uwolnił się, a od potężnego szarpnięcia pękły skórzane paski mocujące puklerz do ramienia Horace'a. Pogięta i przedziurawiona tarcza wyleciała w powietrze. Horace znów zachwiał się niebezpiecznie w siodle, rozpaczliwie usiłując utrzymać równowagę. Morgarath znajdował się zbyt blisko, by wykorzystać długą klingę, więc uderzył głowicą rękojeści w szyszak chłopaka; widzowie jęknęli rozpaczliwie, widząc, jak Horace spada z siodła.

Jego stopa ugrzęzła w strzemieniu i przerażony wierzchowiec, który uciekł galopem, włókł go za sobą przez dobrych dwadzieścia metrów. Zapewne jednak uratował mu w ten sposób życie, bowiem wyniósł go spoza zasięgu morderczej klingi Morgaratha. Wreszcie Horace zdołał

uwolnić nogę i potoczył się w kłębach kurzu, wciąż ściskając w prawej dłoni rękojeść miecza.

Z trudem dźwignął się do pozycji stojącej, z oczami pełnymi potu i kurzu. Jak przez mgłę dostrzegł wroga, który pędził na niego. Chwytny miecz obiema dłońmi zdołał odparować kolejny cios, jednak był on tak silny, że rzucił Horace'a na kolana. W następnej chwili tylne kopyto trafiło go w bok, więc znów runął jak długi na ziemię, podczas gdy Morgarath oddalił się galopem.

Pośród widzów panowała pełna napięcia cisza. Na wargalach widowisko nie robiło większego wrażenia, ale żołnierze króla przyglądali się tej nierównej walce z milczącą zgrozą. Wszyscy wiedzieli, jaki będzie, jaki musi być jej koniec.

Powoli, z jękiem bólu, Horace dźwignął się na nogi. Morgarath zawrócił rumaka i ruszył do następnej szarży. Horace patrzył na zbliżającego się czarnego rycerza, wiedząc, że to starcie może skończyć się tylko w jeden sposób. Nagle, gdy biały wierzchowiec grzmiał już przed nim kopytami, skręcając w jego prawą stronę, co miało pozwolić Morgarathowi na zadanie ostatecznego uderzenia mieczem, w myślach chłopaka zrodził się desperacki pomysł. Horace nie miał pojęcia, czy zbroja ochroni go, czy też zginie na miejscu. Tak, zapewne zginie. Ale – zaśmiał się głucho sam do siebie – jeśli tego nie uczyni, zginie na pewno.

Zebrał się w sobie. Teraz koń Morgaratha był już o kilka metrów od niego, a jeździec uniósł miecz. W tej samej chwili Horace rzucił się pod końskie kopyta.

Widzowie wydali głośny okrzyk; przez chwilę w tumanach kurzu nic nie było widać. Kopyto uderzyło Horace'a w plecy, między łopatkami, a natychmiast potem zrobiło mu się ciemno przed oczyma, gdy drugie trafiło w jego szyszak z taką siłą, że przytrzymujący go pasek pękł i hełm spadł z głowy chłopaka. A potem Horace odczuł tyle uderzeń, że nie byłby w stanie ich policzyć; istniał już tylko ból i kurz, i nade wszystko straszliwy hałas.

Nieprzygotowany na takie samobójcze posunięcie wierzchowiec desperacko próbował go ominąć. Jego przednie nogi skrzyżowały się, koń potknął się, a potem runął na bok, upadając w pył i przebierając na oślep kopytami, które wciąż trafiały leżącego chłopaka. Morgarath, który w samą porę zdążył uwolnić stopy ze strzemion, przeleciał nad jego głową i także upadł. Miecz wypadł mu z ręki.

Rzucając przeraźliwie, biały koń powstał z trudem. Kopnął jeszcze raz leżącą postać, która go przewróciła, a potem odbiegł klusem. Horace jęknął, próbując wstać. Dźwignął się na kolana; do jego uszu jakby z oddali dotarły radosne okrzyki widzów.

Umilkły jednak wkrótce, bowiem nieruchoma w pierwszej chwili postać okryta czarną zbroją również się poruszyła.

Morgarath był tylko nieco oszołomiony, nic więcej. Wziął głęboki oddech i wstał. Rozejrzawszy się, dostrzegł swój miecz, który wbił się w ziemię i sięgnął po niego. Horace zmartwiało na widok rosłego rycerza, który zmierzał teraz ku niemu, mając za plecami słońce stojące nisko na południowym niebie. Dzierżył miecz obiema rękami. Horace, cały obolały, stał w miejscu, czekając na nieprzyjaciela. Znów szczęknęła stal. Morgarath zadawał cios za ciosem, a rycerski czeladnik bronił się rozpaczliwie.

Jednak za każdym z tych druzgocących uderzeń tracił siły. Zaczął się cofać, a Morgarath postępowal za nim, wciąż atakując.

W końcu miecz Horace'a opadł, bo chłopak nie był już w stanie dłużej utrzymać go w górze, a klinga Morgaratha świsnęła raz jeszcze, trafiając w jego głownię, która pękła na pół.

Mroczny władca cofnął się o krok z okrutnym uśmiechem na twarzy, podczas gdy Horace spoglądał w otępieniu na kikut miecza, który dzierzył w dłoni.

–Myślę, że zaraz będziemy kończyć – odezwał się Morgarath tym swoim pozbawionym wyrazu

glosem. Horace wciąż spoglądał na bezużyteczny miecz. Niemal odruchowo sięgnął lewą dłonią po

sztylet i wydobyl go z pochwy. Morgarath spostrzegł to i zaśmiał się. – Myślę, że nie na

wiele to ci się przyda – zakpił. A potem z rozkoszą uniósł swój miecz, wziął rozmach do ostatecznego już tym razem

ciosu, który miał przerąbać ciało Horace'a aż po pas.

O ułamek sekundy wcześniej Gilan zorientował się, co nastąpi w następnej chwili.

–O, Boże, on chce... -iw jego sercu wezbrała śmieszna nadzieja.

Ogromny miecz opadał w dół, rozcinając powietrze. A wówczas Horace, mobilizując resztę sił do ostatniego zrywu, rzucił się naprzód i skrzyżował oba ostrza, podtrzymując sztyletem klingę swego złamanego miecza.

Złączone główne zablokowały potężny cios Morgaratha. Ponieważ Horace dzięki wypadowi znalazł się bliżej czarnego rycerza, sparował uderzenie jego miecza tuż przy rękojeści. Dlatego właśnie nie odczuł ciosu tak silnie, a klinga Morgaratha ugrzęzła na moment między dwiema skrzyżowanymi ostrzami.

Kolana i tak ugięły się pod Horace'em, ale tylko nieznacznie; przez niedostrzegalnie krótką chwilę stali piersią w pierś. Horace ujrzał z bliska wykrzywioną grymasem zaskoczenia i wściekłości twarz szaleńca, który nie pojmował, co się stało. Potem zaś wściekłość ustąpiła miejsca niebotycznemu zdumieniu, kiedy Morgarath poczuł potworny ból rozdzierający jego ciało. Horace z całej siły pchnął go sztyletem; cienkie ostrze przeszło bez trudu między kółkami kolczugi i wbiło się w serce czarnego władcy.

Pan Deszczu i Nocy drgnął konwulsyjnie, a potem postać rycerza nagle jakby zwiotczała i Morgarath osunął się bezwładnie na ziemię.

Oslupiali widzowie spoglądali na tę scenę w milczeniu jeszcze przez kilka dłuższych chwil. A potem rozległy się ogłuszające okrzyki triumfu.

Rozdział 32

Na niedawnym polu bitwy panował zupełny chaos. Armia wargalów, pozbawiona w jednej chwili kontroli oraz siły, jakie dawał jej umysł Morgaratha, kłębiła się bezładnie. Stwory po prostu czekały, aż ktoś im wreszcie powie, co mają czynić dalej. Opuściła je wszelka napastliwość, większość z nich po prostu rzuciła broń i zaczęła rozlaźnić się w różnych kierunkach. Inni siedli na ziemi, mrużąc coś cicho do siebie. Bez Morgaratha groźni wargalowie nagle stali się nieszkodliwi jak małe dzieci. Ci, którzy przedzierali się ku Wąwozowi Trzech Kroków, zatrzymali się w miejscu, nie wydając żadnych odgłosów. Czekali spokojnie i cierpliwie, aż przejście się zwolni i będą mogli udać się w swe strony. Duncan przyglądał się temu wszystkiemu, nie wierząc własnym oczom.

–Teraz przydałaby się cała armia psów pasterskich, żeby zagonić ich do zagrody – rzekł do barona Aralda, na co doradca odpowiedział uśmiechem.

–Lepsze to od walki z nimi – stwierdził, z czym nie sposób było się nie zgodzić.

Nieco inaczej przedstawiała się sprawa z wyrzutkami stanowiącymi bezpośrednio otoczenie Morgaratha. Niektórych schwytano, ale wielu innych zdołało uciec na Mokradła. Crowley, dowódca Korpusu Zwiadowców, pomyślał nie bez goryczy, że czeka go, a jego ludzi także, jeszcze wiele dni spędzonych w siodle. Będzie musiał do tego zadania wyznaczyć oddział ekspedycyjny zwiadowców, zorganizować pościg za zbiegami i sprowadzić ich przed oblicze królewskiej sprawiedliwości. Tak to już zawsze bywa – stwierdził w myśli. – Gdy wszyscy inni wypoczywają i cieszą się zwycięstwem, zwiadowcy dalej muszą wykonywać czarną robotę.

Poranionego, potłuczonego i zakrwawionego Horace[^] zaniesiono do namiotu samego króla. Szaleńczy skok pod kopyta bojowego rumaka chłopak przyplacił licznymi obrażeniami. Miał kilka złamanych żeber, a oprócz tego krwawił z ucha. Jednak jakimś cudem żadna z ran nie była śmiertelna i osobisty uzdrowiciel króla, który natychmiast zbadał Horace'a, stwierdził z całą pewnością, że chłopak wkrótce się z tego wyliże. Sir Rodney zjawił się przy noszach, nim jeszcze zniesiono je z pola. Wąsy rycerza jeżyły się od gniewu, gdy stanął nad swym uczniem.

–Cóżes ty sobie myślał, do wszystkich diabłów? – zagrział, a Horace nagle zapragnął zapaść się pod

ziemię. – Kto ci kazał wyzywać Morgaratha? Jesteś tylko uczniem, chłopcze, a do tego piekielnie

nieposłusznym!

W tej chwili Horace marzył tylko o jednym, mianowicie, by jego mistrz przestał już krzyczeć. Niemal wolałby stanąć jeszcze raz twarzą w twarz z Morgarathem. Był na pół przytomny, mdliło go i kręciło mu się w głowie, a czerwone od gniewu oblicze sir Rodneya rozmazywało mu się przed oczyma. Słowa mistrza łomotały wewnątrz jego czaszki. Właściwie nie bardzo nawet wiedział, za co spotyka go ta bura. Uroiło mu się, że nie dokończył dzieła, że Morgarath żyje jeszcze, więc musi wstać i walczyć dalej. Jednak gdy próbował unieść się na łokciu, gniew Rodneya ustąpił nagle, a na jego surowym obliczu pojawił się wyraz zatroskania. Zdumiewająco delikatnym ruchem powstrzymał chłopaka, który opadł znów na nosze. Ujął jego dłoń i uściśnął ją mocno.

–Leż, chłopcze – powiedział. – Na dziś już wystarczy. Dobrze się spisales.

Tymczasem Halt już przeciskał się pośród ogłupiałych wargalów. Schodzili mu potulnie z

drogi, nie stawiając najmniejszego oporu. On zaś rozpaczliwie szukał Willa. Nigdzie jednak nie było ani śladu chłopca i królowy. Z szyderczych przechwałek Morgaratha wywnioskował, że Will wciąż żyje, istniała więc także szansa, iż również Cassandra, jak brzmiało prawdziwe imię Evanlyn, pozostała przy życiu. Morgarath nie rzekł o niej ani słowa, z czego należało wnioskować, że nie znalazł prawdziwej tożsamości dziewczyny. Oczywiście, właśnie po to przyjęła imię swej służącej, przez co czarny władca nigdy nie zorientował się, jak ogromną przewagę mógłby zyskać nad Duncanem.

Halt właśnie przecisnął się przez kolejną horde milczących i ogłupiałych wargalów, gdy usłyszał dochodzący z boku cichy jęk. Stał jak wryty. Ujrzał umierającego Skandianina opartego o pień drzewa. Wojownik leżał na boku, z wyprostowanymi przed siebie nogami i opuszczoną głową. Wielka plama krwi na jego kurcie znaczyła miejsce śmiertelnej rany. Obok leżał ciężki miecz, którego nie zdołał już utrzymać w ręce. Dłoń nieszczęśnika drgnęła, próbując wyciągnąć się w stronę oręża, a w następnej chwili umierający zwrócił ku Hakowi błagalne spojrzenie. Nordel, który słabł z minuty na minutę, dopuścił, by rękojeść miecza wysunęła się z jego uchwytu. Teraz był już bardzo bliski śmierci i wiedział o tym, a broń znalazła się poza jego zasięgiem. Halt uklęknął przy nim. Widział wyraźnie, że ze strony tego człowieka nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo; nieszczęśnik przebywał już jedną nogą w grobie i z pewnością niezdolny był do żadnego podstępu. Halt podniósł więc miecz i położył go w poprzek na udach Skandianina, potem ujął jego dłoń i zacisnął ją na oprawionej w skórę rękojeści.

–Dzięki... przyjacielu... – jęknął Nordel.

Halt podziwiał Skandian jako nieustraszonych wojowników i przykro mu było patrzeć na jednego z nich u bram śmierci – tak blisko ostatecznego kresu, że nie był już w stanie utrzymać miecza w dłoni.

Zwiadowca wiedział, jak wiele znaczyło to dla tych morskich rozbójników. Uniósł się powoli i już miał się odwrócić, gdy nagle coś go powstrzymało. Przecież Horace mówił, że Will i Evanlyn zostali pojmani właśnie przez Skandian. Może ten człowiek będzie coś wiedział. Znów przyklęknął na jedno kolano i odwrócił dłonią twarz mężczyzny w swoją stronę.

–Chłopiec – rzekł nagłym głosem. Wiedział, że zostało mu tylko parę minut. – Gdzie jest chłopiec?

Nordel zmarszczył brwi. Te słowa przypominały mu o czymś, ale teraz wszystko, co kiedykolwiek mu się przydarzyło, zdawało się tak odległe i pozbawione znaczenia...

–Chłopiec – powtórzył bezmyślnie. Halt nie mógł się powstrzymać i potrząsnął umierającym.

–Will – zbliżył twarz do oblicza Skandianina. – Chłopiec. Zwiadowca. Gdzie on jest?

W oczach Nordela pojawił się nagły błysk zrozumienia. Teraz pamiętał już tego chłopca. Dzielny chłopak, jakby był jednym z naszych. Nieźle się sprawił tam, przy moście. Mimo woli te ostatnie słowa wypowiedział na głos:

–...przy moście – wyszeptał, a Halt potrząsnął nim znowu.

–Tak! Chłopak. Przy moście. Gdzie on jest?

Nordel spojrzął na niego. Powinien sobie przypomnieć. Przecież ten obcy o surowym obliczu pomógł mu odzyskać miecz. Musi mu pomóc. Ale o czym miał sobie przypomnieć...?

–...Odeszli – wreszcie zdołał sobie uświadomić, o czym mowa. Gdyby tylko ten niezajomy

tak nim nie potrząsał. Nie, nie sprawiało mu to bólu, bo nie czuł już niczego. Tylko to potrząsanie wybijało go z ciepłego i błogiego snu, w który właśnie zapadał. Teraz twarz obcego widniała gdzieś daleko, w drugim końcu tunelu. A w tunelu rozlegał się echem głos:

–Odeszli? Dokąd? – nasłuchiwał tego echa. Podobał mu się ten odgłos. Przypominał mu o czymś... o czymś z jego dzieciństwa.

„Dokąd – dokąd – dokąd?” – echo rozległo się znów i nagle wszystko już pamiętał.

–Przez bagna – wyjaśnił. – Przez bagna do okrętów. Uśmiechnął się, kiedy udało mu się wypowiedzieć te słowa. Chciał pomóc nieznanemu i pomógł mu. I teraz, gdy znowu nadeszła fala ciepła i snu, nieznanemu już nim nie potrząsał. Nordel był mu za to wdzięczny. Halt wstał, spoglądając na Nordela.

–Dziękuję, przyjacielu.

A potem ruszył biegiem ku Abelardowi, który spokojnie skubał trawę i wskoczył na siodło.

Mokradła, o których mówił Skandianin, były rozległą połącją podmokłego gruntu porośniętego wysoką trawą, tu i ówdzie poprzecinaną krętymi strumieniami czystej wody, obfitującą w zdradliwe grzęzawiska i przez to powszechnie uważaną za obszar nie do przebycia. Jeden nierozważny krok i śmiałek, który odważył się tam zapuścić, zapadał się nieodwołalnie i bez ratunku w cuchnące błoto. Jeśli nawet komuś udało się ominąć pułapki grzęzawisk, nietrudno było się tam zgubić i błodzić aż do śmierci z wyczerpania. Również niejeden wędrowiec padł ofiarą jadowitych bagiennych węży. Tak więc ludzie rozsądni unikali Mokradel. Istniały jednak tajemne przejścia przez nie, znane tylko zwiadowcom – i Skandianom, którzy od niepamiętnych czasów tę właśnie drogę obierali, by zaskakiwać Aralueńczyków zbójceckimi napaściami. Kiedy Halt zagłębił się już na dobre w gąszcz wysokiej trawy, zsiadł z grzbietu Abelarda. W innych miejscach ufał nieomylnym kopytom swojego wierzchowca, ale w tej pełnej pułapek krainie bezpiecznego przejścia trzeba było wypatrywać przy każdym kroku, patrząc z bliska na ziemię. Nie zaszedł daleko, gdy ujrział ślady świadczące, że

niedawno tym samym szlakiem podążała grupa ludzi, a to dodało mu nadziei. Z pewnością pozostawili je Skandianie prowadzący ze sobą Willa i Evanlyn.

Ruszył teraz prędzej i niemal natychmiast musiał za to odpokutować, bowiem uczynił fałszywy krok i zapadł się aż po pierś w grząskie trzęsawisko. Na szczęście mocno trzymał w dłoni wodze Abelarda, który cofając się na wydaną przez swego pana komendę, wyciągnął go z bagna. Właśnie dlatego prowadził konika za sobą, zamiast siedzieć na jego grzbiecie. Halt powrócił na szlak, od którego oddalił się przez swą nieostrożność i znów ruszył przed siebie. Choć spieszyło mu się bardzo, teraz już kroczył z całą ostrożnością. Wkrótce odnalazł kolejne ślady, a wszystko wskazywało na to, że pozostawiono je niedawno. A więc doganiał Skandian. Tylko czy zdąży? Komary i bagiennie meszki roily się wokół niego, towarzysząc mu bezustannym brzęczeniem. Na bagnach panował skwar, którego nie łagodził nawet najmniejszy podmuch wiatru. Halt ociekał potem. Przemokłe ubranie stawało się coraz sztywniejsze, w miarę jak wysychało na nim cuchnące błoto. A w dodatku, kiedy Abelard wyciągał go z grzęzawiska, Halt stracił jeden but. Jednak nie zważając na to, przemierzał nierównym krokiem podmokły szlak. Wiedział, że jest coraz bliżej tych, których ścigał. Wiedział też jednak, że nieuchronnie zbliża się do kresu bagien. Dalej był już tylko morski brzeg, gdzie czekały skandyjskie okręty. Musiał dogonić Skandian, nim do nich dotrą. Jeśli Will znajdzie się

na jednym z tych wilczych statków, przepadnie już na zawsze. Zabiorą go przez Morze Białych Sztormów do skutej lodem skandyjskiej krainy, gdzie zostanie sprzedany jako niewolnik, skazany do końca życia na pracę ponad siły, bez żadnej nadziei na uwolnienie.

Pośród odoru zgnilizny panującego na grzęzawiskach, doszedł go powiew świeżego, słonego powietrza. Morze było już blisko! Przyspieszył kroku, stawiając wszystko na jedną kartę, byle tylko dogonić Skandian, nim dotrą do brzegu. Trawa stawała się gęstsza, a grunt pod stopami zwiadowcy z każdym krokiem coraz pewniejszy. Zaczął biec, słysząc za sobą stukot kopyt Abelarda. Jeszcze chwila i znalazł się na otwartej przestrzeni, a w jego nozdrza uderzył morski wiatr. Przed nim rozciągała się piaszczysta plaża. Niskie wydmy zasłaniały mu widok na wybrzeże. Wskoczył na siodło, nie zwalniając biegu i ruszył galopem. W kilka chwil przebył piaszczyste wzgórze, pochylony nad szyją konika, ponaglając go, by dał z siebie wszystko w tym ostatnim wysiłku. Ujrzał wilczy okręt stojący na kotwicy. U brzegu jacyś ludzie wsiadali właśnie do małej łódki, a Halt nawet z tej odległości rozpoznał drobną postać swojego ucznia.

–Will! – zakrzyknął, ale morski wiatr porwał jego słowa. Rękami i kolanami zmusił Abelarda do oszalałego galopu.

Wojownicy usłyszeli tętent kopyt. Stojący po pas w wodzie Erak, który wraz z Horakiem wypychał łódź na głębinę, spojrzal przez ramię i dostrzegł szarozieloną postać na kudłatym koniu.

–Na brodę Hergela! – krzyknął. – Prędszej!

Will, który siedział obok Evanlyn w środku łodzi, odwrócił się i ujrzał Haka odległego o niespełna dwieście metrów. Wstał, z trudem utrzymując równowagę na kołyszącej się łodzi.

–Halt! – zawołał, ale w tej samej chwili ciężka łapa Svengala powaliła go na dno.

–Siedz cicho! – rozkazał; tymczasem Erak i Horak wciągnęli się do łodzi, a wiosłarze wprawili ją w ruch, zmierzając na spotkanie fal.

Wiatr od morza, który porwał słowa Haka, sprawił, że cichy okrzyk chłopca dotarł jednak do uszu zwiadowcy. Dosłyszał go także Abelard i jeszcze przyspieszył klusa, pokonując piaszczysty brzeg długimi susami. Halt wypuścił teraz wodze z ręki, zsunął z ramienia łuk i założył strzałę na cięciwę. W pełnym pędzie wycelował i wystrzelił. Wiosłarz siedzący przy dziobie stęknął głucho, zaskoczony, i chwycił się za rękę, którą przebiła ciężka strzala Haka. Łódź zaczęła skręcać w bok, więc Erak przedostał się na jej dziób, odepchnął rannego i przejął jego wiosło.

–Wiosłujcie jak wszyscy diabli! – rozkazał. – Jeśli zdoła się do nas zbliżyć, wszyscy już jesteśmy martwi.

Prowadząc Abelarda kolanami, Halt wjechał w morze, prac przed siebie, byle za wszelką cenę dogonić łódź. Wypuścił kolejną strzałę, ale odległość była zbyt wielka, a cel unosił się i opadał na falach. W dodatku Halt nie mógł mierzyć w środek łodzi z obawy, że zrani Willa albo Evanlyn. Mógł tylko starać się zmniejszyć dystans, a następnie wyeliminować wiosłarzy jednego po drugim. Kolejna strzala wbiła się głęboko w belki łodzi, ledwie cal od ręki Horaka siedzącego przy sterze. Skandianin cofnął gwałtownie dłoń, jakby się sparzył. Nie zdążył jeszcze krzyknąć, kiedy kolejna strzala świsnęła w powietrzu i wpadła do wody tuż za rufą. Jednak łódź wciąż oddalała się, a Abelard stojący już po pierś w wodzie, nie mógł utrzymać

takiej szybkości, jak przedtem. Dzielny konik brnął mimo wszystko przed siebie, ale odległa wciąż o dobre sto metrów łódź dobijała już do wilczego okrętu. Halt przejechał jeszcze kilka metrów, a potem powstrzymał Abelarda: ujrzał bowiem dwie drobne postacie wciągane na pokład i dał za wygraną. Dwoje młodych pasażerów poprowadzono na rufę okrętu. Skandyjska załoga wyległa na jego pokład i stojąc przy relingu, zaczęła rzucać obelgi niewidocznej prawie pośród fal odległej postaci. Erak, gdy tylko znalazł się na okręcie, wrzasnął na nich, by skryli się natychmiast za masywnymi burtami.

–Chować lby, głupcy! To zwiadowca!

Ujrzał, jak Halt unosi swój łuk, a potem zobaczył jego ręce poruszające się z niewiarygodną prędkością. Wszystkie dziewięć strzał, jakie mu pozostało, znalazło się w powietrzu nim pierwsza uderzyła w swój cel. W ciągu dwóch sekund trafionych zostało trzech Skandian; dwóch jęczało z bólu, a trzeci nie wydawał żadnego odgłosu. Reszta załogi padła czym prędzej na pokład, zaś strzały świszczały i dudniły wokół nich. Erak wysunął ostrożnie głowę, by upewnić się, że Halt nie ma już więcej pocisków.

–W drogę! – rozkazał, ujmując wiosło, pełniące funkcję steru. Will, o którym przez chwilę wszyscy zapomnieli, przesuwał się nieznacznie w stronę burty. Tylko kilkaset metrów, a nikt go nie pilnował... Wiedział, że bez trudu przepłynąłby tę odległość i właśnie miał sięgnąć ręką do relingu, kiedy pomyślał o Evanlyn. Przecież nie może jej tak porzucić! Toteż gdy w następnej chwili wielka dłoń Horaka złapała go krzepko za kołnierz, nawet nie próbował się wyrwać, porzuciwszy już myśl o ucieczce. Okręt zaczął oddalać się od brzegu, a Will wpatrywał się w smaganą falami postać jeźdźca. Halt wciąż jeszcze był tak blisko... Łzy napłynęły mu do oczu, gdy usłyszał głos mistrza:

–Willu! Wytrwaj! Nie poddawaj się! Znajdę cię, dokądkolwiek cię zabiorą! Przetykając łzy, chłopiec uniósł ramię, by pożegnać nauczyciela.

–Halt! – wychrypiał, ale wiedział, że zwiadowca z pewnością tego nie dosłyszy. Za to raz jeszcze doszedł go głos Halta niosący się poprzez szum wichru i morskich fal:

–Znajdę cię!

A potem wiatr wypełnił wielki kwadratowy żagiel wilczego okrętu, który wówczas na dobre odbił od brzegu, płynąc coraz prędzej i prędzej ku północnemu wschodowi.

Jeszcze długo po tym, jak zniknął za horyzontem, samotny jeździec, którego wierzchowiec stał po pierś w wodzie, spoglądał w ślad za nim.

Jego usta poruszały się, wypowiadając bezgłośnie obietnicę, którą słyszał tylko on sam.

Koniec

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-07

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[ROK 643 WSPÓLNEJ ERY](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Koniec](#)